

84.7 C11A

3-63

BIBLIOTEKA
MISTRZÓW

ISAAC B. SINGER

AUTOR POWIEŚCI
„SZTUKMISTRZ Z LUBLINA”, „DWÓR”,
„SPUSCIZNA”, „SZUMOWINY”



SEANS I INNE OPOWIADANIA

PHANTOM  PRESS

Isaac B. Singer

SEANS
i inne opowiadania

Isaac B. Singer

SEANS
i inne opowiadania

Przełożyła
Grażyna Kurzątkowska

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
GDAŃSK 1993

Tytuł oryginału
The Seance and Other Stories

Redakcja
Izabela Kaczorowska
Hanna Karmolińska

© ilustracji
Maciej Olender

© projektu graficznego
Phantom Press International

Opracowanie graficzne
Agnieszka Wójkowska

Copyright © 1964, 1965, 1966, 1967. 1968 by Isaac Bashevis Singer
© Copyright for the Polish edition by
PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
GDĄSK 1993

Wydanie I

ISBN 83-7075-417-1

Pamięci mojej ukochanej siostry Mindy Esther

SEANS

Działo się to latem 1946 roku w salonie pani Kopicki przy Central Park West. Pojedyncza czerwona żarówka płonęła pod abażurem ozdobionym jednym z automatycznych rysunków pani Kopicki – koła z oczami, kwiaty z ustami, wielopalczone kielichy. Całe ściany zawieszono obrazami Lotty Kopicki. Malowała je w transie i pod dyktando swego przewodnika – Bagavar Kriszny, hinduskiego mędrca, który żył chyba w czwartym wieku. To on, Bagavar Kriszna, namalował pawia ze złotym ogonem, w środku którego widniało wyobrażenie Buddy, nieziemskie drzewa obwieszane lianami i fantastycznymi owocami, młode kobiety z planety Wenus, z ramionami jak gałęzie i sterczącymi z uszu srebrnymi siatkami – organami telepatii. Ponad obrazami, starymi meblami i półkami pełnymi książek igrały czerwone cienie. Okna były zasłonięte ciężkimi kotarami.

Przy okrągłym stole, na którym leżała magiczna tablica *onija*, trąbka i zwiędła róża, siedział doktor Zorasz Kaliszer, niski, o barczystych ramionach i głowie łysej z przodu, z tyłu zaś porośniętej rzadkimi kępkami żółto-siwych włosów. Spod płowych krzaczastych brwi spoglądała para przenikliwych oczu. Doktor Kaliszer prawie nie miał szyi – głowa osadzona była wprost na szerokich ramionach, co sprawiało, że wyglądał jak prymitywna afrykańska rzeźba. Jego zakrzywiony, płaski u nasady nos rozdwajał się na końcu. Na policzkach sterczał krótki zarost, ni to pozostałość brody, ni świeżo wyrzynające się owłosienie. Pomarszczona twarz była źle ogolona i zszarzała. Miał na sobie sztruksową marynarkę, biała koszulę pokrytą popiołem i plamami po kawie oraz krzywo związany krawat.

Rozmawiając z panią Kopicki, posługiwał się dziwną mieszaniną jidysz i niemieckiego.

– Co powstrzymuje naszego przyjaciela, Bagavar Krisznę? Czyżby zgubił drogę w niebiańskich sferach?

– Doktorze Kaliszer, proszę mnie nie popędzać – odpowiedziała pani Kopicki. – Nie możemy im rozkazywać... mają swoje powody i nastroje. Trochę cierpliwości.

– W porządku. Jak mus, to mus.

Doktor Kaliszer bębnił palcami w stół. Z każdego z nich wyrażała mała ruda kępka. Pani Kopicki złożyła głowę na oparciu wysyciełanego krzesła, przygotowując się do zapadnięcia w trans. W ciemnym świetle czerwonej żarówki można było dostrzec jej świeżo barwione włosy, czarne i bez połysku, układające się w małeńkie loczki, uróżowaną twarz o wystających kościach policzkowych, z szerokim nosem i z szeroko rozstawionymi oczyma z rzęsami mocno pociągniętymi tuszem. Doktor Kaliszer zawsze z niej drwił, mówiąc, że wygląda jak umalowany buldog. Mąż Lotty, Leon Kopicki, dentysta, umarł osiemnaście lat temu, nie pozostawiając po sobie dzieci. Wdowa utrzymywała się dzięki rocznej pensji z towarzystwa ubezpieczeniowego. W 1929 straciła majątek w krachu na Wall Street, lecz ostatnio znów zaczęła skupować papiery wartościowe za radą magicznej tablicy, planszy i kryształowej kuli. Pani Kopicki pytała nawet Bagavar Krisznę, jak obstawiać na wyścigach. W kilku przypadkach ujawnił jej w snach imiona wygrywających koni.

Doktor Kaliszer pochylił głowę i zasłonił dłońmi oczy, mamrocząc coś do siebie, jak to czynią ludzie samotni.

– Cóż, dość już naodgrywałem głupca. Ta noc jest ostatnia. Nawet kreplachem można się przejeść.

– Mówił pan coś, doktorze?

– Co? Nie, nic.

– Gdy mnie pan popędza, nie mogę wpaść w trans.

– Trans-szmans – mruczał doktor Kaliszer do siebie. Duch się spóźnia. Ot i wszystko. Z kogo ona chce zrobić głupca? Po prostu szalona – meszuga. – Nie popędzam cię, mam mnóstwo czasu – powiedział głośno. – Jeśli to prawda, co mówią Amerykanie o czasie, jestem drugim Rockefellerem.

Gdy pani Kopicki otworzyła usta, by odpowiedzieć, zadrżał jej podwójny podbródek wraz ze wszystkimi brodawkami, ukazując komplet olbrzymich sztucznych zębów. Nagle odrzuciła głowę

w tył i westchnęła. Zamknęła oczy, wydając pojedyncze fuknięcie. Doktor Kaliszer wpatrywał się w nią pytająco, ze smutkiem. Nie usłyszał jeszcze dźwięku otwierających się drzwi wejściowych, lecz możliwe, że słyszała go pani Kopicki, która miała chyba słuch wyostrzony jak u zwierzęcia. Doktor Kaliszer począł pocierać skronie i nos, potem skubał swoją rzadką bródkę. Był czas, gdy próbował analizować wszystko za pomocą własnego rozsądku, ale ten okres racjonalizmu dawno się już skończył. Od tamtej pory zbudował antyracjonalną filozofię, rodzaj ekstremalnego hedonizmu, który w erotyzmie widzi „Ding an sich”, a w rozsądku najniższy poziom egzystencji, entropię prowadzącą do absolutnego unicestwienia. Jego postawa stanowiła interesujący mariaż hartmanowskiej idei Nieświadomego z Kabałą rabiego Izaaka Lurii, zgodnie z którą wszystkie zjawiska, od najmniejszego ziarenka piasku aż po samego Najwyższego, to Kopulacja i Jedność. Właśnie z powodu takiego rozumowania doktor Kaliszer przeniósł się w 1939 z Paryża do Nowego Jorku, pozostawiając w Polsce ojca rabina, żonę, która nie chciała mu dać rozwodu, i kochankę Nellę, z którą przez lata żył w Berlinie, a potem w Paryżu. Tak się zdarzyło, że gdy doktor Kaliszer wyjechał do Ameryki, Nella pospieszyła do Warszawy odwiedzić swoich rodziców. Planował ściągnąć ją do Stanów Zjednoczonych, kiedy tylko znajdzie tłumacza, wydawcę i posadę na jednym z amerykańskich uniwersytetów.

W tamtych dniach doktor Kaliszer wciąż był pełen nadziei. Zaproponowano mu katedrę na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, wydawca w Palestynie zamierzał opublikować jedną z jego książek, w Zurychu i Paryżu drukowano mu eseje. Lecz wraz z wybuchem drugiej wojny światowej jego życie się załamało. Wydawca nagle zmarł, tłumacz do niczego się nie nadawał i, co gorsza, uciekł z lwią częścią rękopisu, którego kopii nie było. Recenzenci w żydowskiej prasie popadli w ton wrogości i zarzucali, że jest szarlatanem. Organizacje żydowskie, które załatwiały mu wykłady, teraz odwołały umówioną podróż. Zgodnie ze swą własną filozofią wierzył, że wszystkie cierpienia to nic innego, jak negatywna ekspresja kosmicznego erotyzmu: Hitler, Stalin, naziści, śpiewający piosenkę Horsta Wessela i zakładający Żydom żółte opaski, szukali tylko nowych form wyzwolenia seksualnego. Lecz doktor Kaliszer począł wątpić w swój system i popadł w depresję. Musiał opuścić hotel i zamieszkać w nędznie umeblowanym pokoju. Włoczył się w zniszczonym ubraniu, całymi dniami przesia-

dywał po kawiarniach. Wypijał niezliczone ilości kawy, palił kiepskie cygara, ledwie mogąc przeżyć za kilka dolarów, które otrzymywał co miesiąc od organizacji dobroczynnych. Napotkani wygnańcy wciąż rozprawiali o wizach dla tych, którzy pozostali w Europie, o paczkach z żywnością i lekami oraz możliwości przesyłania ich przez różne agencje, sposobach sprowadzenia krewnych z Polski przez Honduras, Kubę, Brazylię. Ale on, Zorasz Kaliszer, nikogo nie mógł ocalić przed nazistami. Raz tylko otrzymał list od Nelli.

Dopiero w Nowym Jorku zrozumiał, jak bardzo był przywiązany do swej kochanki. Bez niej stał się impotentem.

2

Wszystko było tak samo jak wczoraj i przedwczoraj. Bagavar Kriszna począł przemawiać swoim obco brzmiącym głosem, na wpół męskim, na wpół kobiecym, naśladując błędy gramatyczne pani Kopicki i jej wymowę. Lotta Kopicki pochodziła z wioski w Karpatach. Doktor Kaliszer nigdy nie odkrył, jakiej była narodowości – Węgierką, Rumunką, mieszkanką Galicji? Nie znała polskiego ani niemieckiego i tylko trochę angielski; nawet jej jidysz kulał po długich latach w Ameryce. W rzeczywistości była więc osobą pozbawioną własnego języka, a Bagavar Kriszna mówił, używając znanych jej żargonów. Na początek doktor Kaliszer zapytał Bagavar Krisznę o szczegóły jego ziemskiej egzystencji, ten jednak odpowiedział mu, że przebywając w niebiańskich apartamentach, zapomniał o wszystkim. Pamiętał jedynie, że mieszkał na przedmieściach Madrasu. Nie wiedział nawet, iż w tamtej części Indii mówiło się po tamilsku. Gdy Doktor Kaliszer próbował dyskutować z nim na temat sanskrytu, *Mahabharaty*, Ramajany czy Sakuntali, Bagavar Kriszna odpowiadał mu, że nie interesuje go już ziemski literatura. Bagavar Kriszna nie znał niczego poza kilkoma teozoficznymi i spirytualistycznymi broszurkami, które prenumerowała pani Kopicki.

Dla Doktora Kaliszera była to jedna wielka komedia; gdy jednak ktoś mieszka w zarobczonym pokoju i żołądek ma zniszczony od barowego jedzenia, gdy sześćdziesiątka na karku i brak jakiegokolwiek rodziny, wtedy ten ktoś staje się tolerancyjny dla ekscentryków różnego autoramentu. Przedstawiono go pani Kopicki w 1942, brał udział w dziesiątkach jej seansów, czytał automatycz-

ne pisma, podziwiał automatyczne rysunki, słuchał takichże symfonii. Kilka razy pożyczał od niej pieniądze, nie mogąc ich potem zwrócić. Jadał u niej wegetariańskie kolacje, jako że pani Kopicki nie tykała mięsa i ryb ani mleka, ani jajek, spożywając tylko owoce i warzywa, które rodzi matka ziemia. Wyspecjalizowała się w przygotowywaniu sałatek z orzechami, migdałami, granatami i awokado.

Z początku Lotta Kopicki chciała wciągnąć go w romans: Wszystkie duchy były zdania, że Lotta Kopicki i Zorasz Kaliszer wywodzą się z tego samego spirytualistycznego kręgu: z „Wielkiej Białej Łoży”. Nawet i Bagavar Kriszna zabawił się w swaty. Lotta Kopicki ustawicznie przekazywała doktorowi Kaliszerowi pozdrowienia od Mistrzów związanych z Tybetem, Atlantydą, Hierarchią Niebieską, Szambelą, Czwartym Królestwem Natury i Konsulatem Sanatu Kumara. W niebie, jak i na ziemi, w początkach lat czterdziestych miały miejsce różnorodne kryzysy. Moce stały w gotowości, członkowie áśramy szykowali wojnę przeciwko Kosmicznemu Złu. Hierarchia wysłała na planetę Ziemię misjonarzy, by ją oświecili i znaleźli wybrańców, kobiety i mężczyzn, którzy będą służyć nadzwyczajnym celom. Pani Kopicki przekonywała doktora Kaliszera, że jest mu przeznaczone odegrać doniosłą rolę w Odrodzeniu Wszechświata. Lecz doktor zlekceważył misję, zawiódł Mistrzów. Obiecał zadzwonić i nie uczynił tego. Całe miesiące spędził w Filadelfii, nie posyłając jej nawet kartki. Nie odezwał się po powrocie. Pobiegła w transie na Szóstą Aleję i zastała go w podartym płaszczu, brudnej koszuli i butach tak zniszczonych, że nie miały już obcasów. Nie starał się nawet o obywatelstwo amerykańskie, choć uciekinierzy mieli prawo je otrzymać, nie wyjeżdżając za granicę po wizę.

Teraz, w 1946, to, co przepowiedziała Lotta Kopicki, stało się prawdą. Wszyscy wyprowadzili się na tamten świat – jego ojciec, bracia, siostry i Nella. Bagavar Kriszna przynosił od nich wiadomości. Mistrzowie nadal pamiętali o doktorze i wciąż mieli co do niego plany w związku z Setną Konferencją Hierarchii. Nawet fakt, że jego rodzina została stracona w Treblince, Majdanku, Sztutowie, miał ścisły związek z Siłami Światła, z Postępem Karmy, Nowym Cyklem Lemurii i zadaniem poprowadzenia ludzkości ku nowym wyżynom Miłości i ku nowej Epoce Wody.

Przez ostatnich kilka tygodni wzywianie ducha Nelli w zwykły sposób nie satysfakcjonowało pani Kopicki. Doktor Kaliszer zyskał rzadką możliwość skontaktowania się ze zmaterializowaną

postać kochanki. Działo się to według następującego porządku: Bagavar Kriszna dawał doktorowi znak, że ma zejść ciemnym korytarzem do sypialni pani Kopicki. Tam, w ciemnościach, obok jej biura, ukazywała się postać, która mogła być Nella. Mamrotała coś do Kaliszera po polsku, szeptała do ucha pieszczotliwe słowa, przynosiła wiadomości o przyjaciółach i krewnych. Bagavar Kriszna wciąż na nowo upominał doktora, by nie dotykał zjawy, bo kontakt mógłby okazać się tragiczny w skutkach dla nich obojga; dla niego i pani Kopicki. Kilka razy, gdy szukał zbliżenia, duch wymykał mu się z ręcznie. Doktor Kaliszer, choć poruszony tymi wydarzeniami, miał jednak świadomość, że wszystko jest maskaradą. To nie była Nella, nie jej głos i zachowanie. Wiadomości, które otrzymywał, niczego nie udowadniały. O wszystkich tych ludziach wspominał pani Kopicki, ona zaś wypytywała. Tkwiła jednak w doktorze ciekawość: Kim jest zjawa? Po co gra przedstawienie? Może dla pieniędzy? Jednak fakt, że pani Kopicki zdolna była wynajmować duchy, dowodził, że oszukiwała już nie tylko samą siebie, lecz dopuszczała się szwindli wobec innych. Za każdym razem, gdy doktor Kaliszer schodził w dół ciemnego korytarza, mamrotał: „Szalona, meszuge, przekomiczna kobieta”.

Tego wieczora doktor Kaliszer ledwie mógł się doczekać sygnału Bagavar Kriszny. Zmęczyły go te bzdury. Od lat cierpiał na kłopoty z prostatą i doszło do tego, że musiał opróżnić pęcherz co pół godziny. Poradził się warszawskiego lekarza, który, mimo zakazu, praktykował w Ameryce po kryjomu. Ostrzegł doktora Kaliszera, że nie powinien odkładać operacji, gdyż mogą wyniknąć komplikacje. Ale Kaliszer ani nie miał pieniędzy na szpital, ani ochoty tam pójść. Próbował kąpieli, ciepłych okładów i leczenia pigułkami, które przywiózł z Francji. Usiłował nawet sam masować chory gruczoł. Miał już w zwyczaju odwiedzać łazienkę zaraz po przybyciu do pani Kopicki, ale dziś zlekceważył tę zasadę. Czuł ucisk na pęcherz. Surowe warzywa, które pani Kopicki podała mu do jedzenia, przyprawiły o skręt jelit.

– A więc jestem za stary na takie przyjemności – wymamrotał do siebie.

Gdy Bagavar Kriszna przemówił, doktor Kaliszer ledwo mógł się skupić.

– Co ta idiotka bełkocze? Nie jest nawet przyzwoitym bruchomówcą.

W chwili gdy Bagavar Kriszna dał umówiony znak, doktor Ka-

liszer wstał. Zawsze miał kłopoty z nogami, lecz nigdy nie drżały tak, jak dzisiejszego wieczora.

– W porządku, najpierw trzeba mi do łazienki – zdecydował.

Nie było łatwo dojść tam po ciemku. Doktor Kaliszer stąpał niepewnie, wyciągając ręce, żeby wymacać drogę. Gdy znalazł się na miejscu i otworzył drzwi, ktoś przyciągnął je z powrotem od środka. Doktor Kaliszer rozpoznał ją, dziewczynę. Był już tak roztrzęsiony, że zapomniał, w jakim celu tu przybył.

Pewnie przyszła się przebrać, pomyślał.

Było mu wstyd za siebie i za panią Kopicki.

– Po co jej to? Dla kogo gra tę komedię?

Oczy przyzwyczyły się do ciemności. Dojrzał sylwetkę dziewczyny. Łazienka miała wychodzące na ulicę okno, przez które padał słaby blask ulicznej latarni. Dziewczyna była niska, grubawa, o wydatnym biuście. Ubrana chyba tylko w bieliznę. Doktor Kaliszer stał w miejscu, zahipnotyzowany.

– Dostyc, to obrzydliwe! – chciał krzyknąć, ale język mu zdrętwiał.

Serce waliło i słyszał własny oddech.

Chciał wrócić, lecz obezwładniła go niemożność widzenia. Zachaczył o wieszak i wpadł na ścianę, rozbijając sobie głowę. Szedł tyłem. Coś spadło i stłukło się. Może to jedna z nieziemskich rzeźb pani Kopicki! W tym momencie zadzwonił telefon; niezwykle głośno i złowroźnie. Doktor Kaliszer drgnął. Poczul na nogach nagłe ciepło. Zmoczył się jak dziecko.

3

– A więc osiągnąłem dno – wymamrotał doktor Kaliszer do siebie. – Nadaję się na śmietnik.

Szedł w kierunku sypialni. Mokra miał nie tylko kalesony, ale i spodnie. Oczekiwał, że pani Kopicki podejmie telefon: nie raz bowiem budziła się ze swego transu, by rozprawiać o akcjach, obligacjach, dywidendach. Lecz telefon wciąż dzwonił. Dopiero teraz zorientował się, co takiego uczynił – zamknął drzwi od salonu, odcinając się od smużki czerwonego światła, która pomogłaby mu znaleźć drogę.

– Idę do domu – zdecydował.

Odwrócił się w stronę drzwi wyjściowych, ale doszedł do wniosku, że stracił orientację w tym labiryncie mieszkania. Uchwycił

klamkę i przycisnął. Usłyszał stłumiony krzyk. Znów przywędrował do łazienki. Wyglądało na to, że w środku nie było żadnego haczyka ani łańcucha. Znów zobaczył kobietę w gorsecie, ale tym razem miała twarz na wpół oświetloną. W ułamku sekundy spostrzegł, że jest w średnim wieku.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział, wycofując się pospiesznie. Telefon przestał dzwonić, a potem zaczął na nowo. Nagle doktor Kaliszer zauważył strumień czerwonego światła i usłyszał, że pani Kopicki podążyła w stronę telefonu. Przystanął.

– Pani Kopicki! – rzekł tonem pytająco-twierdzącym.

Pani Kopicki drgnęła.

– Już skończone? – zapytała.

– Nie czuję się dobrze, muszę wracać do domu.

– Niedobrze? Dokąd chce pan pójść? Co się dzieje? Serce?

– Wszystko.

– Proszę chwileczkę poczekać.

Pani Kopicki podeszła do niego, wzięła za ramię i poprowadziła z powrotem do salonu. Telefon dzwonił jeszcze przez jakiś czas, aż wreszcie ucichł.

– Odczuwa pan ucisk w sercu, czy tak? – dopytywała się pani Kopicki. – Proszę spocząć na kanapie, przyprowadzę lekarza.

– Nie, nie, nie potrzeba.

– Zrobię masaż.

– Mój pęcherz jest nie w porządku, prostata.

– Co takiego? Zapalę światło.

Chciał prosić, by tego nie robiła, ale natychmiast rozbłysło kilka lamp. Światło raziło go w oczy. Kobieta stała, patrząc na niego i na mokre spodnie. Potrząsała głową we wszystkie strony.

– Proszę, do czego prowadzi samotne życie.

– Rzeczywiście, wstyd mi.

– Co tam wstyd? Wszyscy się starzejemy. Nikt nie młodnieje. Był pan w łazience?

Doktor Kaliszer nie odpowiedział.

– Proszę poczekać, wciąż jeszcze mam jego ubrania. Przeczynałam, że kiedyś będą mi potrzebne.

Pani Kopicki wyszła z pokoju. Doktor Kaliszer przysiadł na brzegu krzesła, podkładając pod siebie chusteczkę. Siedział tak zdętwiały, mokry, z dziecięcym poczuciem winy i bezradności, lecz i wewnętrznej ciszy, która towarzyszy chorobie. Od lat obawiał się lekarzy, szpitali, a w szczególności pielęgniarek, które

wbrew kobiecemu wstydwowi traktują dorosłych mężczyzn jak niemowlęta. Teraz przygotowany był na wszelkie poniżenie ciała.

– Tak, jestem skończony, kaput...

– Filozofia? Jaka filozofia? Erotyzm? Czyj erotyzm? – przeprowadzał błyskawiczne podsumowanie swojej egzystencji.

Latą całe bawił się sloganami, nie dochodząc do żadnego wniosku. Tego, co stało się z nim, w nim, wszystkiego, co miało miejsce w Polsce, w Rosji, na planetach, na odległych galaktykach, nie da się sprowadzić do ślepej woli Schopenhauera ani do jego własnej, Kaliszera, teorii erotyzmu. Nie można tego wytłumaczyć substancją Spinozy czy monadami Leibniza ani dialektyką Hegla, ani też hecklowskim monizmem.

– Wszyscy oni po prostu żonglują słowami jak pani Kopicki. Na szczęście ja nie opublikowałem wszystkich tych moich gryzmołów. Cóż za pożytek z jakichś absurdalnych hipotez? W niczym nie pomagają... – rozmyślał.

Podniósł wzrok na wiszące na ścianie obrazy pani Kopicki, które w jaskrawym świetle przypominały dziecięce bazgroły. Z ulicy dochodziły odgłosy klaksonów, chłopięce pokrzykiwania i grzmiące echo metra, gdy przejeżdżał pociąg. Drzwi otworzyły się i weszła pani Kopicki z naręczem ubrań: marynarka, spodnie, koszula i kallesony. Wszystko to czuć było naftaliną i kurzem.

– Był pan w łazience? – zapytała kobieta.

– Co takiego? Nie.

– Nella się nie zmateriałizowała?

– Nie. Nie zmateriałizowała się.

– W porządku, proszę się przebrać. Niech pan się mnie nie wstydzi.

Złożyła odzież na kanapie i pochyliła się nad doktorem Kaliszerelem z oddaniem, jakby była jego krewną.

– Zostaniesz tutaj – stwierdziła. – Jutro poślę po twoje rzeczy.

– Nie, to nie ma sensu.

– Już gdy nas sobie przedstawiono, na Drugiej Alei, wiedziałam, że tak się stanie.

– Więc cóż? Niech będzie, jest mi to obojętne.

– Oni mówią mi o wszystkim zawczasu. Patrzę na kogoś i wiem, co się z nim stanie.

– A więc? Kiedy przyjdzie mój koniec?

– Będiesz żył jeszcze wiele lat. Jesteś tu potrzebny. Musisz skończyć swoją pracę.

– Moja praca jest tyle samo warta, co twoje duchy.

– Przecież są duchy, są! Nie bądź tak cyniczny. Patrzą na nas z góry, prowadzą za rękę, odmierzają nasze kroki. Jesteśmy o wiele ważniejsi w Cyklicznej Odnowie Wszechświata, niż sobie wyobrażasz.

W takim razie, dlaczego musisz wynajmować kobietę, by mnie zwodzić? – chciał zapytać, ale zmilczał.

Pani Kopicki znowu wyszła. Zdjąwszy spodnie i kalesony, doktor Kaliszer osuszył się chusteczką. Przez chwilę stał kompletnie ubrany od góry, ale bez spodni, jak jakiś zwariowany żartowniś. Potem wskoczył w parę luźnych kalesonów, zimnych jak całun. Wciągnął pasiaste spodnie, zbyt szerokie i zbyt długie na niego. Zawinął je tak, że obrąbek znalazł się na wysokości kolan. Sapał i parskał, co kilka sekund musiał robić przerwy dla odpoczynku. Nagle przypomniał sobie! Było dokładnie tak samo jak wtedy, gdy jako chłopiec zakładał ubrania swego ojca, który zdrzemnął się po szabasowym puddingu: białe ojcowskie spodnie, satynowy chałat, tałas, futrzany kapelusz. Teraz jego ojciec stał się kupką popiołu gdzieś w Polsce, a on, Zorasz, zakłada spleśniałe ubrania dentysty. Podszedł do lustra i przyjrzał się swojemu odbiciu. Pokazał nawet język, jak to robią dzieci. Potem położył się na kanapie. I znów odezwał się telefon, a pani Kopicki najwidoczniej go odebrała, bo-wiem tym razem dzwonek ucichł natychmiast. Doktor Kaliszer przymknął oczy i leżał spokojnie. Na nic już nie liczył. Nie było nawet o czym myśleć.

Przysnął i znalazł się w kawiarence na Czterdziestej Drugiej Ulicy, niedaleko Biblioteki Publicznej. Skubał po kawałku kruche ciasteczko. Pewien uciekinier opowiadał mu, jak ocalić krewnych w Polsce, przebijając ich w nazistowskie mundury. Później poprowadzi się ich na Biegun Północny, Biegun Południowy i przez Pacyfik. Przygotowano specjalnych agentów, by zaopiekowali się nimi w Tierra del Fuego, w Honolulu i Jokohamie... To dziwne, ale ten szmugiel miał coś wspólnego z jego własnym systemem filozoficznym, nie w pierwotnej wersji, lecz w nowej, która miesza erotyzm z pamięcią. Łącząc wszystkie te wyobrażenia, pytał sam siebie w zadziwieniu: Jaki rodzaj zależności może zachodzić pomiędzy seksem, pamięcią i wyzwoleniem ego? I jak to działa w czasie nieokreślonym? To kazuistyka. Nic innego jak tylko naginanie faktów. Oto sposób na wytłumaczenie mojej własnej im-

potencji. A jak mogę wrócić do Nelli, skoro jej już nie ma? Czyżby śmierć była niczym innym, jak seksualną amnezją? Obudził się i zobaczył panią Kopicki, schyloną nad nim z poduszką, którą zamierzała wsunąć mu pod głowę.

– Jak się czujesz?

– Czy Nella odeszła? – zapytał, zadziwiony własnymi słowami.

– Chyba się jeszcze nie obudziłem.

Oblicze pani Kopicki wyrażało cierpienie. Jej podwójny podbródek trzął się i drżał. Ciemne oczy przepełniała matczyzna wymówka.

– Śmiejesz się, co? Nie ma śmierci, wcale nie ma. Żyjemy wiecznie i kochamy wiecznie. Oto czysta prawda.

RZEŹNIK

Jojne Meir winien był zostać rabinem w Kołomyi. I ojciec, i dziad Meira zajmowali w mieście to stanowisko. Jednak zwolennicy dworu w Kazimierzu zgłaszali zdecydowany sprzeciw: tym razem nie pozwolą, aby chasyd z Turzyska został miejskim rabinem. Przekupili okręgowych urzędników i wysłali pismo do gubernatora. Po długich, burzliwych zmaganiach, kazimierscy chasydzi zwyciężyli nareszcie i ustanowili własnego rabina. Żeby zaś Jojne Meir nie został bez źródła zarobku, przydzielili mu rolę rytualnego rzeźnika.

Gdy Jojne Meir o tym usłyszał, zrobił się jeszcze bledszy niż zwykle. Zapewniał, że zarzynanie zwierząt to nie jest zajęcie dla niego. Ma miękkie serce, nie może znieść widoku krwi. Zebrali się wtedy wszyscy, żeby przemówić mu do rozsądku – starszyzna gminy, członkowie synagogi w Turzysku, teść, reb Gec Frampoler oraz żona, Rejce Dosze. Nowy rabin, reb Szolem Lewi Halberstam, wnuk rabina sądeckiego, odczuwał wyrzuty sumienia z powodu zajęcia czyjejś posady, nie chciał pozbawiać chleba młodszego od siebie człowieka. Turzycki rabin, reb Jakow Lejbełe, napisał do Jojne Meira list, w którym tłumaczył, że człowiek nie może być bardziej litościwy niż Wszchemogący, źródło wszelkiego współczucia. Gdy zarzynasz zwierzę koszerem nożem, pobożnie, uwalniasz duszę, która w nim mieszka. Wiadomo przecie, że dusze świętych często wstępują w ciała krów, drobiu czy ryb, by odpokutować grzechy.

Przekonany listem rabina, Jojne Meir poddał się. Dawno temu już był wyświęcony. Teraz wziął się za studiowanie praw obowiązujących rytualnego rzeźnika, a objaśnionych szczegółowo w „Ziarnie

Wołu”, „Szulchan Aruch” i Komentarzach. Pierwszy ustęp „Ziar-na Wołu” mówi o tym, że rytualny rzeźnik musi być człowiekiem bogobojnym, a Jojne Meir podporządkował się Prawu z zapalem większym niż kiedykolwiek.

Jojne Meir – niski, szczupły, z bladą twarzą, maleńką żółtą bródką, zakrzywionym nosem i zapadniętymi ustami, z piwnymi, zbyt blisko siebie osadzonymi oczami, które pełne były strachu – sływał z pobożności. Do modlitwy zakładał trzy pary filakterii: tę od Rasziego, tę od rabiego Tama i tę od rabiego Szerira Gaona. Wkrótce po tym, jak wyniósł się z domu teścia, począł przestrzegać wszystkich postnych dni i wstawać o północy do modlitw.

Jego żona, Rejce Dosze, lamentowała już, że Jojne jest nie z tego świata. Skarżyła się matce, że mąż nigdy nie zamieni z nią słowa i w ogóle nie zwraca na nią uwagi, nawet w dniach czystości. Przychodzi do niej w nocy tylko wtedy, gdy Rejce powraca z rytualnej łaźni – raz w miesiącu. Zwierzyła się, że mąż nie pamięta nawet imion własnych córek.

Zanim Jojne Meir zgodził się zostać rzeźnikiem, narzucił sobie nowe rygory. Jadł coraz mniej. Prawie przestał mówić. Gdy do drzwi zapukał jakiś żebrak, Jojne spieszył go powitać i oddawał swój ostatni grosz. Prawda wyglądała tak, że zarzynanie zwierząt wtrąciło Meira w melancholię, lecz nie ośmielił się zlekceważyć woli rabina. Tak było mi pisane – myślał sobie Jojne Meir. Zadawać mękę i cierpieć ją samemu, oto jego przeznaczenie. A tylko niebiosy wiedziały, jak bardzo cierpiał.

Jojne Meir bał się, że zemdleje, czyniąc po raz pierwszy swoją powinność, albo że zadrży mu ręka. Jednocześnie gdzieś w głębi serca pragnął popełnić jakiś błąd, co zwolniłoby go z narzuconego przez rabina obowiązku. Wszystko jednak poszło zgodnie z zasadami.

Nie jeden raz w ciągu dnia Jojne Meir powtarzał sobie słowa rabina: „Człowiek nie może współczuć bardziej niż źródło wszelkiego współczucia”. Powiedziane jest w Torze: „Będiesz ubijał ze swego stada i ze swojej trzody, tak jak ci rozkazałem”. Na Górze Synaj Mojżesz dowiedział się o sposobach uboju i otwierania zwierząt w poszukiwaniu nieczystości. Wszystko to jest cudem cudów – życie, śmierć, człowiek, zwierzę. Ci, których się nie ubija, i tak umierają od różnych chorób, cierpiąc często tygodniami i miesiącami. W lesie zwierzęta pożerają się nawzajem. W morzach ryba połyka rybę. Dom dla ubogich w Kołomyi pełen jest ka-

lek i paralityków, którzy leżą tam latami, brzydząc się samych siebie. Nikt nie ucieknie przed nieszczęściami tego świata.

Ale Jojne Meir wciąż nie mógł znaleźć pocieszenia.

Każde drgnienie zarzynanego ptaka powodowało skurcze w jego własnych wnętrznościach. Zabijanie zwierząt, małych czy dużych, sprawiało mu ból, jakby sam sobie podrzynał gardło. Ze wszystkich kar, które mogły go spotkać, zarzynanie było najgorsze.

Minęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd Jojne Meir został rzeźnikiem, lecz czas dłużył mu się bez końca. Miał poczucie, że nurza się we krwi i limfie. W uszach wciąż brzmiało mu gdakanie kur, pianie kogutów, porykiwanie wołów, muczenie i beczenie krów i kóz, odgłosy trzepoczących skrzydeł i tupoczących po podłodze kopyt. Ciała zwierząt nie słuchały żadnych usprawiedliwień ni wyrzutów sumienia – każde z nich opierało się na swój własny sposób, próbowało uciec, jakby walcząc ze Stwórcą o ostatni oddech.

A Jojne Meir tracił rozum od pytań. Wiadomo, że dla stworzenia świata Nieskończony musiał przyćmić swą jasność; nie może być wolnej woli bez bólu. Ale skoro zwierzęta nie otrzymały wolnego wyboru, dlaczego muszą cierpieć? Jojne Meir drżał, patrząc, jak pomocnicy ćwiartują krowy toporami i obdzierają je ze skóry, zanim biedne zwierzęta wydadzą ostatnie tchnienie. Kobiety oskubywały z piór wciąż jeszcze żywe kury.

Jest taki zwyczaj, że rytualny rzeźnik otrzymuje śledzionę i flaki każdej krowy. W domu Jojne Meira nie brakowało więc mięsa. Rejce Dosze warzyła zupy w garnkach wielkich jak kotły. W przestronnej kuchni trwało nieustanne gotowanie, smażenie, duszenie, pieczenie, mieszanie i odcedzanie. Rejce Dosze znów była w ciąży i brzuch jej sterczał wyraźnie. Wielka i solidnie zbudowana, miała trzy siostry, wszystkie okrągłe jak i ona. Siostry przychodziły z dziećmi. Teściowa, matka Rejce Dosze, codziennie przynosiła słodycze i łakocie własnego wypieku. Choć kobieta nie powinna pozwolić, by słyszano jej głos, służąca Rejce Dosze, córka nosiwody, wyśpiewywała piosenki, człapała bosa z rozpuszczonymi włosami, a jej donośny śmiech rozbrzmiewał w całym domu.

Jojne Meir chciał uciec od świata materialnego, lecz ten deptał mu po piętach. Stale czuł zapach rzeźni. Próbował szukać zapomnienia w Torze, ale odkrył, że Tora też pełna jest ziemskich spraw. Zabrał się do Kabały, chociaż wiedział, że nikt, kto nie ukończył czterdziestu lat, nie jest w stanie zgłębić jej tajników.

Niemniej jednak brnął poprzez „Traktat Chasyda”, „Sad”, „Księgę Stworzenia” i „Drzewo Życia”. Tam, w wyższych dziedzinach, nie było śmierci ani zarzynania, ani bólu, żadnych żołądków i trzewi, żadnych serc czy też płuc albo wątrób, nie było błon i nieczystości.

Którejś nocy Jojne Meir podszedł do okna i spojrzął na niebo. Księżyc roztaczał wokół siebie łunę. Każda z gwiazd świeciła i migała, skrywając swój własny, niebiański sekret. Gdzieś, ponad Światem Czynów, ponad konstelacjami, fruwały Anioły i Serafini, i Święte Koła, i Święte Zwierzęta. W Raju objawiono duszom tajemnice Tory. Każdy święty cadyk dziedziczył trzysta i dziesięć światów i spletał koronę dla Najwyższego. Im bliżej Tronu Chwały, tym jaśniejsze jest światło, tym ostrzejszy blask, tym mniejszy jest orszak grzeszników.

Jojne Meir wiedział, że człowiek, nawet gdy nie prosi o śmierć, gdzieś w głębi duszy może pragnąć końca. Nabawił się wstrętu do wszystkiego, co miało związek z ciałem. Nie mógł już nawet chodzić do rytualnej łaźni razem z innymi mężczyznami. U każdego pod skórą widział krew. Każdy kark kojarzył mu się z nożem. Ludzkie istoty, tak jak zwierzęta, mają lędźwia, żyły, jelita, pośladki. Jedno cięcie i ci twardzi ojcowie rodzin padliby jak woły. Jak mówi Talmud, wszystko, co ma spłonąć, już jakby było spalone. Jeśli końcem człowieka jest rozkład, robaki, smród, to i na początku jest on niczym więcej niż kawałem zepsutego mięsa.

Jojne Meir teraz już rozumiał, dlaczego sędziwy wiek upodabnia ciało do klatki-więzienia, w którym tkwi dusza, czekając na dzień uwolnienia. Dopiero teraz pojął znaczenie słów Talmudu „Dobrem jest śmierć”. Jednak człowiek nie ma prawa wyrwać się ze swego więzienia. Człowiek musi czekać na strażnika, aż przyjdzie zdjąć łańcuchy i otworzyć bramę.

Jojne Meir wrócił do łóżka. Przez całe życie sypiał na pościeli z pierza, pod puchową kołdrą, wspierając głowę na puchowej poduszce; teraz nagle uświadomił sobie, że leży na pierzu wyrwanym z gęsich ciał. Na drugim łóżku, tuż obok Meira, chrapała Rejce Dosze. Od czasu do czasu wydawała z nozdrzy świst i nadymała usta. Córki Jojne Meira wciąż jeszcze biegały do wiadra za potrzebą, człapiąc bosymi stopami o podłogę. Spały razem i czasami potrafiły szeptać i chichotać do północy.

Jojne Meir pragnął synów, którzy mogliby studiować Torę, ale Rejce Dosze rodziła dziewczynkę za dziewczynką. Gdy były małe, Jojne Meir niekiedy pieszczotliwie szczypał je w policzek. Ilekroć

uczestniczył w uroczystościach obrzezania, zawsze przynosił im kawałek ciasta. Czasami potrafił nawet najmłodszą z córek pocałować w głowę. Ale teraz były już dorosłe. Najwidoczniej wdały się w matkę. Rosły wszere. Rejce Dosze narzekała, że za dużo jedzą i robią się zbyt grube. Wciąż podbierały z garnków smaczne kąski. Najstarsza, Basze, szykowała się do zamążpójścia. Dziewczęta kłóciły się i obrzucały nawzajem wyzwiskami, a już za chwilę czesały sobie włosy i plotły warkocze. Bez końca paplały o sukienkach, butach, pończochach, żakietach i majtkach. Śmiały się i płakały, szukały wszy we włosach, biły się, myły i całowały.

– Nie wtrącaj się, zostaw dzieci w spokoju! – krzyczała Rejce Dosze, gdy próbował je skarcić. – Zadbaj lepiej, żeby twoje córki nie chodziły nagie i bose – besztła.

Po co im tyle różnych rzeczy? Jojne Meir nie mógł się nadziwić, dlaczego trzeba tak wiele uwagi poświęcać ubieraniu i własnemu ciału.

Zanim został rzeźnikiem, rzadko był w domu i nie wiedział prawie, co się w nim dzieje. Lecz teraz często zostawał i obserwował zajęcia kobiet. Dziewczęta biegały zbierać jagody i grzyby; spotykały się z córkami sąsiadów. Znosiły do domu kosze chrustu. Rejce Dosze smażyła dżemy. Przychodzili krawcy z ubraniami do przymiarki, a szewcy mierzyli kobietom stopy. Rejce Dosze sprzeczała się ze swą matką o wyprawę dla Basze. Jojne Meir słyszał rozmowy o jedwabnej sukience, aksamitnej sukience, o różnych spódnicach, płaszczach i futrach.

Teraz, gdy leżał bezsennie, wszystkie te słowa pobrzmiwały mu w uszach jak echo. Opływali w luksusy, bo on, Jojne Meir, zaczął zarabiać pieniądze. Gdzieś tam, w łonie Rejce Dosze, rośnie nowe dziecko, lecz Jojne Meir wyraźnie przeczuwał, że to będzie dziewczynka.

– Cóż, trzeba cieszyć się z tego, co zsyłają niebiosy – upomniął sam siebie.

Nakrył się i teraz było mu za gorąco. Poduszka pod głowę dziwnie stwardniała, jakby wśród piór utkwiał jakiś kamień. On, Jojne Meir, też przecież ma ciało: stopy, brzuch, piersi, łokcie. Czuł kłucie we wnętrzościach i suchość w ustach.

Usiadł.

– Ojczy w niebiosach, tchu mi brakuje!

2

Elul to miesiąc żałoby. W minionych latach przynosił poczucie wzniosłego ukojenia. Jojne Meir kochał chłodne wiatry dochodzące z lasów i ściernisk. Długo mógł wpatrywać się w bładniebieskie niebo i rozproszone chmury przypominające mu len, w który na święto Kuczek owija się cytryny. W powietrzu połyskiwało babie lato. Liście na drzewach pożółkły jak szafran. W ćwierkaniu ptaków Jojne słyszał melancholię Dni Pokutnych, kiedy to człowiek czyni rachunek sumienia.

Ale dla rzeźnika elul to zupełnie co innego. Na Nowy Rok ubija się bardzo dużo zwierząt. Przed Dniem Pojednania ludzie składają ofiarę z drobiu. Na wszystkich podwórzach pieją koguty i gdczą kury, a każde ze stworzeń przeznaczone jest na śmierć. Potem nadchodzi święto Szafasów, dzień Gałęzi Wierzby, Aceret, dzień Radości Tory i szabas Genesis. Szczególnie to chwile dla rzeźnika. Miliony żywych jeszcze zwierząt spośród drobiu i bydła skazane są na śmierć.

Jojne Meir nie spał już w nocy. Gdy tylko się zdrzemnął, zaraz opadały go senne widziadła. Krowy przybierały ludzki kształt, miały brody i pejsy, i jarmułki na rogach. Jojne Meir zabierał się do zarzynania cielęcia, a ono zamieniało się w dziewczynę. Jej kark drżał, błagała o litość. Uciekła do domu nauk, brocząc krwią po całym podwórzu. Śniło mu się nawet, że zamiast owcy zarznął Rejce Dosze.

W jednym ze swoich koszmarnych snów słyszał, jak zarzynana koza wydaje ludzki głos. Z poderżniętym gardłem skoczyła na niego i chciała ubość, przeklinając po hebrajsku i aramejsku, plując na niego i tocząc pianę. Jojne Meir obudził się zlany potem. Jakiś kogut piał niczym dzwon, a inne odpowiadały mu jak chór wiodącemu głosowi. Jojne Meirowi wydawało się, że drób pieje pytania, protesty, że lamentuje chórem nad nieszczęściem, które nad nim wisi.

Jojne Meir nie mógł znaleźć ukojenia. Siadał, targał pejsy obiema rękami, wiercił się.

- Co się stało? – spytała rozbudzona Rejce Dosze.
- Nic, nic.
- Czemu tak się rzucasz?
- Daj mi spokój.
- Przestraszyłeś mnie!

Po chwili Rejce Dosze zaczęła chrapać na nowo. Jojne Meir

wstał z łóżka, umył ręce i ubrał się. Zamierzał posypać głowę popiołem i odmówić nocną modlitwę, ale usta nie chciały szeptać świętych słów. Jak mógł opłakiwać zburzenie Świątyni, skoro zbrodnia odbywa się tutaj, w Kołomyi, a on, Jojne Meir, jest Tytusem, Nabuchodonozorem!

Powietrze w domu było duszne. Śmierdziało potem, tłuszczem, brudną bielizną, moczem. Jedna z jego córek mamrotała coś przez sen, inna pojękiwała. Trzeszczały łóżka. Z kredensów dochodził szmer. Pod piecem stała klatka, w której Rejce Dosze trzymała drób ofiarny na Dzień Pojednania. Jojne Meir słyszał skrobanie myszy i cykanie świerszczy. Wydawało mu się, że może też usłyszeć, jak robaki drążą sufit i podłogę. Nieprzeliczone stworzenia otaczają człowieka, a każde ma swoją własną naturę i swoje własne pretensje do Stwórcy.

Jojne Meir wyszedł na podwórze. Tutaj wszystko było chłodne i świeże. Opadła już rosa. Na niebie połyskiwały gwiazdy, jak to w środku nocy. Jojne Meir oddychał głęboko. Spacerował po wilgotnej trawie, pomiędzy liśćmi i krzewami. Zmoczył skarpety aż do kostek. Podeszedł do drzewa i przystanął. Wydało mu się, że dostrzegł gniazda pośród gałęzi. Usłyszał świergot rozbudzonych piskląt i rechot żab z bagna za wzgórzem.

– Czy one w ogóle nie śpią, te żaby? – dziwił się Jojne Meir. – Mają ludzki głos.

Odkąd Jojne Meir został rytualnym rzeźnikiem, jego myśli całkowicie pochłaniał los żywych istot. Zadawał sobie przeróżne pytania. Skąd biorą się muchy? Czy rodzą się z łona matek, czy wylęgają z jaj? Skoro wszystkie muchy w zimie giną, skąd latem biorą się nowe? A sowa, która zagnieździła się pod dachem synagogi – co robi, gdy przychodzą mrozy? Zostaje tam czy odlatuje do ciepłych krajów? I jak cokolwiek może żyć w trzaskającym mrozie, gdy ledwie można wytrzymać pod pierzyną?

W Jojne Meirze wzbierała jakaś nie znana dotąd miłość do wszystkiego, co pełza i fruwa, rodzi się i roi. Nawet taka mysz – czy to jej wina, że jest myszą? Cóż ona robi złego? Wszystko, czego potrzebuje, to okruszyna chleba i sycypta sera. Więc dlaczego kot tak jej nienawidzi?

Jojne Meir kręcił się w ciemnościach w tę i z powrotem. Może rabin ma rację. Człowiek nie może i nie powinien mieć więcej liłości niż Pan wszechświata. Jednak on, Jojne Meir, był chory z za-

lu. Jak można modlić się o przeżycie kolejnego roku albo o przychylność Niebios, jeśli się innym odbiera życiodajne tchnienie?

Jojne Meir pomyślał, że Mesjasz nie może zbawić świata dopóty, dopóki zwierzęta spotyka niesprawiedliwość. Prawda jest taka, że wszystko winno zbuntować się przeciwko śmierci: każde ciele, ryba, komar, motyl. Nawet w robaku, który pełza po ziemi, tli się boża iskierka. Zabijając stworzenie, zabijasz Boga...

– O, ja nieszczęśliwy, tracę zmysły! – mamrotał Jojne Meir.

Na tydzień przed Nowym Rokiem przyszedł gorący czas dla rzeźnika. Przez okrągły dzień Jojne Meir stał nad kadzią, zarzynając kury, koguty, gęsi, kaczki. Kobiety pchały się, kłóciły, każda chciała być pierwsza. Inne żartowały, śmiały się i dowcipkowały. Fruwały pióra, podwórze pełne było gdakania, gęgania i wrzasku kogutów. Od czasu do czasu drób zawodził niczym ludzka istota.

Jojne Meir czuł, jak wypełnia go dojmujący ból. Zanim nadzedł ten dzień, rzeźnik miał jeszcze nadzieję, że zdoła się przyzwyczaić do swego zajęcia. Ale teraz wiedział: choćby to robił sto lat, nie pozbędzie się swego cierpienia. Kolana mu drżały, a brzuch był wzdęty. W ustach wzbierała gorycz. Rejce Dosze i jej siostry też stały na podwórzu. Rozmawiały z kobietami, życząc każdej błogosławionego Nowego Roku i wyrażając pobożną nadzieję, że za rok znów się spotkają.

Jojne Meir obawiał się, że nie ubija już zgodnie z prawem. Jakaś czerń zalewała mu oczy; potem wszystko robiło się złoto-zielone. Wciąż sprawdzał ostrze noża na opuszkę wskazującego palca, by się upewnić, czy nie jest stępione. Co kilkanaście minut musiał opróżnić pęcherz. Kąsały go komary, a spośród gałęzi wrony krały na niego.

Stał tak do zmierzchu, aż kadź wypełniła się krwią.

Po wieczornych modlitwach Rejce Dosze podała mu kaszę gryczaną i pieczeń. Lecz choć od rana nic nie miał w ustach, nie mógł jeść. Gardło miał zaciśnięte, czuł ciężar w przełyku i ledwie udało mu się przełknąć pierwszy kęs. Wyrecytował Szemę rabiego Izaka Lurii, wyznał grzechy i bił się w piersi jak człowiek śmiertelnie chory.

Jojne Meir sądził, że nie będzie mógł zasnąć tej nocy, ale oczy same mu się zamknęły, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki i odmówił ostatnie przed snem błogosławieństwo. Wydawało mu się, że oczyszcza ubitą krew z odpadów, rozcinając jej brzuch, wrywając płuca i nadmuchując je. Co by to miało oznaczać?

Przecież to było zajęcie pomocników. Płuca robiły się coraz większe; zajęły cały stół i puchły do góry, aż pod sufit. Jojne Meir przestał dmuchać, lecz płaty płuc same się powiększały. Najmniejszy pęcherzyk trząsał się i drżał, jakby miał zamiar pęknąć. Nagle w szybę okienną uderzył świst, pokasływanie i wzbierający lament. To dybuk zaczynał mówić, krzyczeć, śpiewać, wylewając potoki wersów, cytatów z Talmudu i Zohar. Płuca uniosły się i poprunęły, żeglując w powietrzu jak skrzydła. Jojne Meir chciał uciec, ale drzwi zasłaniał czarny byk o czerwonych oczach i pomalowanych rogach. Byk zacharczał i otworzył paszczę pełną długich zębów.

Jojne Meir obudził się rozdygotany. Jego ciało było złane potem. Czuł, jakby głowę miał spuchniętą i wypełnioną piaskiem. Nogi leżały na sienniku, bezwładne jak kłody. Zebrał siły i usiadł. Ubrał się i wyszedł. Noc wisiała ciężką, nieprzeniknioną, gęstą ciemnością godziny poprzedzającej wschód słońca. Od czasu do czasu, nie wiedzieć skąd, nadchodził powiew wiatru, jak oddech kogoś niewidzialnego.

Dreszcze przechodziły Meirowi po plecach, jakby ktoś łaskotał go piórem. Coś łkało w nim z odcieniem szyderstwa.

– I co z tego, że rabi tak powiedział? – mówił do siebie. – Nawet jeśli Wszechmogący Bóg tak rozkazał, to co? Dam sobie radę bez nagrody w przyszłym świecie! Nie potrzebuję żadnego Raju ani Lewiatana, ni Dzikiego Wołu. Niech mnie rozciągają na łożu nabitym gwoździami. Niech mną ciskają z procy. Nie chcę żadnych łask od ciebie, Boże! Nie boję się już twojego Sądu! Wypieram się Izraela! Jestem zatwardziałym grzesznikiem! – płakał Jojne Meir. – Mam więcej współczucia niż Bóg Wszechmogący – więcej, więcej. On jest okrutnym Bogiem, Mężem Wojny, Bogiem Zemsty. Nie będę mu służył. To zdeprawowany świat.

Jojne Meir śmiał się, ale łzy spływały mu po policzkach parzącymi kroplami.

Podążył do spiżarni, gdzie trzymał swe noże, ostrzałki i nóż obrzędowy. Zebrał je wszystkie i wrzucił do dołu w wychodku. Wiedział, że bluźni, że bezcześci święte narzędzia i że jest szalony, ale nie chciał już dłużej pozostawać normalnym.

Wyszedł i skierował kroki w stronę rzeki, mostu, lasu. A tałas i filakterie? Nie potrzebował ich. Pergamin zrobili z krowiej skóry, a pudełka filakterii ze skóry cielęcą.

– Ojczy na Niebie, tyś wymyślił rzeźnika! – płakał w Meirze ja-

kiś głos. – Tyś wymyślił rzeźnika i Anioła Śmierci! Cały świat to rzeźnia!

Pantofel zsunął się z nogi Jojne Meira, lecz zaniechał go, krocząc w jednym i w samej skarpetce. Począł nawoływać, krzyczeć, śpiewać.

– Tracę nad sobą kontrolę – pomyślał. – A to przecież jawna oznaka szaleństwa...

Otworzył podwoje swego mózgu, a szaleństwo wpływało, zalewając wszystko. Z sekundy na sekundę Jojne Meir stawał się coraz bardziej zbuntowany. Odrzucił jarmułkę, schwycił frędzle modlitewne i powyrywał, rozerwał na strzępy kamizelkę. Opanowała go moc, swoboda człowieka, który zrzucił wszystkie brzemiona.

Czepiały się go rozszczekane psy, lecz je odpędził. Drzwi otwierały się z hukiem. Wybiegali z nich bosi mężczyźni z jarmułkami oblepionymi pierzem. Zbiegły się też kobiety w szlafrokach i czepkach nocnych. Wszyscy krzyczeli, próbowali zagrozić mu drogę, ale Jojne Meir wymknął się im.

Niebo poczerwieniało jak krew, a krągła czaszka wyłoniła się z tego krwistego morza jak z łona rodzącej kobiety.

Ktoś pobiegł do pomocników rzeźnika zawiadomić, że Jojne Meir stracił rozum. Przybiegli z kijami i liną, ale Jojne Meir był już za mostem i mknął po zżętych polach. Biegł i wymiotował. Upadał i znów się podnosił, kalecząc o rżysko. Pasterze wyprowadzający konie nocą na pastwiska szydzili z niego i obrzucali końskim łajnem. Dzwony biły jak przy pożarze.

Jojne Meir słyszał krzyki, jęki i tupot nóg. Grunt począł opadać i Jojne Meir stoczył się w dół. Dobięgi do lasu, przeskakiwał ponad kępkami mchu, kamieniami i rwącymi potokami. Wiedział jedno – to nie rzeka roztacza się przed nim, ale krwawe bagno. Krew płynęła ze słońca, z gnijących pni. Z gałęzi zwisały jelita, wątroby, nerki. Ochłapom zwierząt wyrastały nogi i chlustały w niego żółcią i śluzem. Nie sposób było uciec. Otoczyły go miriady krów i drobiu, gotowych brać odwet za każde draśnięcie, każde zranienie, każde poderżnięte gardło i wyrwane pióro.

– Wszyscy mogą zabijać i każdy mord jest dozwolony – skandowały, brocząc krwią z przetyków.

Jojne Meir wybuchnął łkaniem, które odbiło się po lesie echem kilku głosów.

– Okrutnik! Morderca! Pożeracz zwierząt! – wołał, podniósłszy pięść do nieba.

* * *

Pomocnicy szukali swojego rzeźnika dwa dni, ale go nie znaleźli. Zajnwełe, właściciel młyna, przybył do miasta z wiadomością, że ciało Jójne Meira znajduje się w rzece, przy grobli. Utonął.

Członkowie towarzystwa pogrzebowego natychmiast pobiegli po zwłoki. Wielu świadków mogło stwierdzić, że Jójne Meir zachowywał się jak szaleniec i rabin wykluczył zbrodniczy czyn nieboszczyka. Ciało zmarłego oczyszczono i pochowano obok grobów ojca i dziada. Rabi osobiście wygłosił mowę.

Jako że był to czas świąteczny i Kołomyi groziło niebezpieczeństwo, że zostanie bez mięsa, gmina pospiesznie wybrała dwóch posłańców, by sprowadzili nowego rzeźnika.

UMARŁY SKRZYPEK

W mieście Szydłowiec, które leży pomiędzy Radomiem a Kielcami, niedaleko od Gór Świętokrzyskich, mieszkał niejaki reb Szeftel Węgrower. Oficjalnie człowiek ten był kupcem zbożowym, ale wszystkich zakupów i sprzedaży dokonywała jego żona, Zajse Fajge. Kupowała od właścicieli ziemskich lub chłopów pszenicę, kukurydzę, jęczmień oraz grykę i wysyłała do Warszawy. Część ziarna dawała do zmielenia i sprzedawała mąkę do sklepów i piekarń. Zajse Fajge posiadała też spichrz i miała pracownika Zalkinda. Pomagał jej w interesach i wykonywał wszystkie prace, które wymagały męskiej ręki; nosił worki, doglądał koni i służył jako woźnica, gdy Zajse Fajge wybierała się na jarmark czy z wizytą do właściciela ziemskiego.

Reb Szeftel wierzył głęboko, że Tora to najbardziej wartościowy towar ze wszystkich. Wstawał o świcie i chodził do domu nauki, by tam zgłębiać Gemarę, Adnotacje i Komentarze, Midrasz i Zohar. Wieczorami czytał lekcje z Miszny wraz ze Stowarzyszeniem. Reb Szeftel poświęcił się także sprawom gminy i był gorliwym radzymińskim chasydem.

Reb Szeftel niewiele był wyższy od karła, lecz miał brodę najdłuższą w Szydłowcu i w całej okolicy. Sięgała mu ona do kolan i wydawało się, że zawiera wszystkie kolory: czerwony, żółty, a nawet kolor siana. Podczas Tiszabe-aw, gdy dowcipnisie obrzucali wszystkich rzepami, broda Reb Szeftela zawsze była ich pełna. Z początku Zajse Fajge próbowała je wyjmować, ale reb Szeftel nie pozwalał na to, bo przy okazji wrywała mu z brody również i włosy. A broda u mężczyzny to oznaka żydowskości i przypomnienie, że został stworzony na podobieństwo boże. Rzepy tkwiły

w brodzie, dopóki same nie wypadły. Reb Szeftel nie podkręcał pejsów, uważając to za głupi zwyczaj. Zwisły mu do ramion. Kępka włosów rosła mu też na nosie. Studiując święte księgi, palił długą fajkę.

Gdy Reb Szeftel stał przy pulpicie w synagodze, w tałesie i filakteriach, wyglądał jak starożytny przodek. Miał wysokie czoło i krzaczaste brwi, a w oczach bystre spojrzenie uczonego łączyło się z dobroduszością bogobojnego człowieka. Reb Szeftel zadawał sobie rozmaite pokuty. Nie pił mleka, jeśli nie był świadkiem udoju. Nie jadł mięsa poza szabasem i świętami, i tylko gdy sprawdził uprzednio rzeźnicki nóż. Chodziły słuchy, że w wigilię Pesach kazał przyodziać kota w skarpety, by nie przyniósł do domu ani okruszyny zakwaszonego chleba. Każdej nocy wiernie odprawiał modlitwy o północy. Ludzie gadali, że choć odziedziczył po ojcu i dziadku zbożowy interes, wciąż nie potrafił odróżnić żyta od pszenicy.

Zajse Fajge była o głowę wyższa od swego męża, a w młodości słynęła jako piękność. Właściciele ziemscy, którzy kupowali od niej zboże, zasypywali ją komplementami, lecz przyzwoita żydowska kobieta nie zwraca uwagi na takie czcze gadanie. Zajse Fajge kochała męża i poczytywała sobie za honor, że może pomagać mu w służbie Wszchemogacemu.

Urodziła dziewięcioro dzieci, ale zostało im tylko troje: żonaty syn Jedydiasz, który zamieszkał z teściem we Włodawie, chłopiec Cadok Majer, jeszcze w chederze, i dorosła córka, Lejbe Jenteł. Lejbe Jenteł była zaręczona i miała wyjść za mąż, lecz narzeczony, Ozer, przeziębził się i umarł. Ów Ozer miał opinię cudownego dziecka i uczonego. Jego ojciec stał na czele gminy w Opolu. Chociaż Lejbe Jenteł widziała Ozera tylko przy spisywaniu zaręczynowego aktu, jednak gorzko płakała, usłyszawszy złą wiadomość. Niemal natychmiast zasypano ją propozycjami małżeństwa, jako że dziewczyna miała już swoich siedemnaście lat. Ale Zajse Fajge sądziła, iż lepiej będzie zaczekać, aż córka oswoi się z nieszczęściem.

Narzeczony Lejbe Jenteł opuścił ten świat zaraz po Pesach. Teraz nastał już cheszwan. Święto Szałasów rozpoczyna zwykle porę deszczu i śniegów, jednak tegoroczna jesień była łagodna. Na błękitnym niebie świeciło słońce, jak po Szawuot. Chłopi narzekali, że na polach zaczną dojrzewać oziminy, co może popsuć plony. Ludzie bali się też, by ciepła pogoda nie sprowadziła epidemii. Jednocześnie ceny zboża wzrosły o trzy grosze za pud, a dochody

Zajse Fajge poszły w górę. Zgodnie z przyjętym zwyczajem, żona w każdy szabasowy wieczór przedstawiała reb Szeftelowi wykaz tygodniowych zarobków, a on natychmiast zastanawiał się nad podziałem – na dom nauki, na dom modlitw, na naprawę świętych ksiąg, na mieszkańców przytułku dla ubogich, na wędrownych żebraków. Nie brakowało potrzeb w dziedzinie dobroczynności.

Jako że Zajse Fajge miała służącą Dunię, a i sama była dobrą gospodynią, Lejbe Jenteł nie zajmowała się raczej domowymi sprawami. Miała swój własny pokój, w którym zwykle przesiadywała, czytając powieści. Czasem przepisywała litery. Gdy przeczytała już wszystkie książki, w sekrecie pożyczala nowe z półki swego ojca. Potrafiła również dobrze szyć i haftować. Lubiła ładnie się ubierać. Lejbe Jenteł odziedziczyła urodę po matce, lecz rude włosy pochodziły od ojca. Tak jak ojcowska broda, jej włosy były niezwykle długie – sięgały poniżej pasa. Od wypadku z Ozerem twarz dziewczyny, zawsze tak blada, stała się jeszcze bledsza i bardziej delikatna. Oczy miała zielone.

Reb Szeftel poświęcał swej córce mało uwagi. Prosił tylko Boga, by zesłał jej przyzwoitego męża. Jednak Zajse Fajge widziała, że córka rośnie jak dziki chwast. Wciąż miała zachcianki i fanaberie. Nie pozwalała, by wspomniano w jej obecności o śledziu czy rzodkiewkach. Nie mogła patrzeć na ubite ptactwo czy na solenie lub peklowanie mięsa. Jeśli natknęła się na muchę w kaszy, do końca dnia nie wzięła niczego do ust. Nie miała w Szydłowcu żadnych przyjaciół. Tłumaczyła, że dziewczęta w mieście są pospolite i zacołane; gdy tylko wyjdą za mąż, stają się zaniedbane i niechlujne. Kiedykolwiek miała iść między ludzi, pościła dzień wcześniej, ze strachu, że mogłaby zwymiotować. Choć była piękna, inteligentna i wykształcona, zawsze jej się zdawało, że ludzie ją wyśmiewają i wytykają palcami.

Zajse Fajge wiele razy chciała porozmawiać z mężem o kłopotach, których przysparza im córka, lecz nie chciała odrywać go od studiów. Poza tym, mógł i tak nie zrozumieć kobiecych problemów. Na wszystko miał jedną odpowiedź. W tych kilku przypadkach, kiedy Zajse Fajge próbowała wyjawic mu swoje lęki, odpowiadał tylko: „Jeśli Bóg da, wyjdzie za mąż i zapomni o wszystkich tych głupstwach”.

Po nieszczęściu z Ozerem Lejbe Jenteł zachorowała z żalu. Nie spała po nocach. Matka słyszała w ciemnościach szlochania. Lejbe Jenteł wciąż chodziła napić się wody, opróżniała całe dzbanki

i matka nie mogła się nadziwić, w jaki sposób jej żołądek może tyle pomieścić. Jakby, Boże uchwaj, jakiś płomień trawił ją od środka, pożerając wszystko.

Niekiedy Lejbe Jenteł rozmawiała z matką jak ktoś niespełna rozumu. Zajse Fajge pomyślała sobie, że lepiej, żeby dziewczyna unikała ludzi. Ale jak długo można utrzymać coś w sekrecie? Szeptano już w mieście, że z Lejbe Jenteł jest coś nie w porządku. Bawiła się z kotem. Chodziła na samotne spacery ulicą gojów, która prowadziła na cmentarz. Gdy ktoś się do niej zwrócił, bladła i odpowiadała od rzeczy. Niektórzy myśleli o niej, że jest głucha. Inni posądzali o zabawę w czary. Widziano ją w księżycową noc, jak spaceruje po pastwisku za mostem, jak schyla się, zbierając kwiaty i zioła. Kobiety, gdy o niej mówiły, spluwały, by odpędzić diabła.

– Biedactwo, nie ma szczęścia i chora w dodatku – mówiły.

2

Lejbe Jenteł miała się ponownie zaręczyć, tym razem z młodym mężczyzną z Zawiercia. Reb Szeftel posłał swata, żeby sprawdził wybrańca, ten zaś wrócił z wiadomością, że Szelke Motel jest uczonym. Sporządzono akt zaręczynowy, który czekał tylko na podpisanie.

Zona swata, Trajne, była wraz z mężem w Zawierciu (mieli tam córkę) i opowiadała potem Zajse Fajge, że Szelke Motel jest nieduży i ciemny. Niezbyt urokliwy, ale za to bardzo mądry. Ponieważ był sierotą, gospodynie zapewniały mu posiłki; każdego dnia w tygodniu jadał w innym domu. Lejbe Jenteł słuchała bez słowa.

Kiedy Trajne odeszła, Zajse Fajge przyniosła córce kolację – kaszę gryczaną i pieczeń z sosem. Ale Lejbe Jenteł nie tknęła jedzenia. Kotęsała się nad talerzem jak na modlitwie. Prawie natychmiast powróciła do swego pokoju. Zajse Fajge ziewnęła i też poszła do łóżka. Reb Szeftel położył się wcześniej, żeby wstać do nocnych modlitw. Dom ucichł. Tylko świerszcz za piecem śpiewał swą nocną piosenkę.

Nagle coś rozbudziło Zajse Fajge. Z pokoju Lejbe Jenteł dochodziło stłumione sapanie, jakby ktoś się dusił. Zajse Fajge pobiegła do córki. W jasnym świetle księżycy ujrzała dziewczynę siedzącą na łóżku z rozczochranymi włosami i twarzą białą jak papier. Usiłowała powstrzymać łkanie.

– Córeczko, co się stało? O, ja nieszczęśliwa! – zawołała Zajse Fajge.

Pobiegła do kuchni, zapaliła świeczkę i wróciła do Lejbe Jenteł, niosąc kubek wody, aby ją spryskać, jeśli, Boże uchowaj, dziewczyna zemdleje.

Lecz w tym momencie z ust Lejbe Jenteł wydobył się męski głos:

– Nie ma potrzeby mnie cucić, Zajse Fajge – zakrzyknął głos. – Nie mam zwyczaju mdleć. Przynieś mi lepiej kapeczkę wódki.

Zajse Fejge stała ośłupiała z przerażenia. Woda wylała się z kubka.

Reb Szeftel wstał także. Pospiesznie umył ręce, nałożył szlafrok i pantofle, po czym udał się do pokoju córki.

– Życzę miłego przebudzenia, reb Szeftelu. Poczęstuj mnie kielichem – suszy mnie – przywitał go męski głos. – Może być śliwowica, cokolwiek, żebyśmy tylko przepłukał gardło.

Mąż i żona wiedzieli już, co się stało: to dybuk wstąpił w Lejbe Jenteł.

– Kim jesteś? Czego chcesz? – drżącym głosem zapytał reb Szeftel.

– Moje nazwisko nic ci nie powie – odpowiedział dybuk. – Ty jesteś w Szydłowcu uczonym, a ja jestem skrzypkiem z Pińczowa. Ty wysiadujesz ławkę, a ja ściszałem młódki. Ty wciąż tkwisz w Świecie Wyobraźni, a ja jestem po wszystkim. Kopnąłem w kalendarz i spróbowałem już tego, co potem. Poznałem tu blaski i cienie, a teraz wracam na tę grzeszną ziemię – nie ma dla mnie miejsca ni w niebie, ni w piekle. Dziś w nocy wyfrunąłem do Pińczowa, ale zgubiłem drogę i trafiłem do Szydłowca – jestem muzykiem, nie woźnicą. Ale teraz jedno jest ważne – pali mnie w gardle.

Zajse Fajge dostała napadu dreszczy. Świeca w jej ręce trzęsła się tak straszliwie, że przypaliła brodę reb Szeftela. Chciała krzyknąć, wzywać pomocy, ale głos uwiązał jej w gardle. Zmiękły pod nią kolana i musiała oprzeć się o ścianę, by nie upaść.

– Jak ci na imię? – zapytał dybuka reb Szeftel, tarmosząc pejsy.

– Getsel.

– Dlaczego wstąpiłeś właśnie w moją córkę? – zapytał zrezygnowany ojciec.

– A czemu nie? To ładna dziewczyna. Nienawidzę brzydul – zawsze tak było i zawsze będzie.

I tutaj dybuk zaczął sypać grubymi dowcipami i nieprzyzwoitymi historyjkami, zarówno w jidysz, jak i w żargonie muzyków.

– Nie każ mi czekać, droga Fajge – zawołał na koniec. – Przyńś mi szklaneczkę czegoś mocniejszego. Wyszłem na wiór. Pali mnie w przełyku, a w kiszkiach łaskocze.

– Dobrzy ludzie, pomóżcie! – lamentowała Zajse Fajge.

Upuściła świecę, a reb Szeftel schylił się po nią pospiesznie, bo płomień łatwo mógł podpalić drewniany dom.

Mieszkańcy miasteczka zbiegli się mimo późnej pory. Wszędzie są ludzie, których coś gryzie – nie mogą spać w nocy. Tewje, nocny stróż, myślał, że wybuchł pożar, i biegł ulicą, pukając kijem w okiennice. Wkrótce dom reb Szeftela był pełen ludzi.

Lejbe Jenteł miała wytrzeszczone oczy, usta wykrzywione jak u paralityka, a głos, który się z niej dobywał, nie mógł pochodzić z gardła kobiety.

– Przyniesiecie mi tę szklaneczkę wódki czy nie? Na co, u diabła, czekacie?

– A jeśli nie przyniesiemy? – zapytał Zajnweł rzeźnik. Właśnie wracał z rzeźni do domu.

– Jeśli nie, zdemaskuję was wszystkich, święci hipokryci. I sekrety waszych żon – niech się spalą ze wstydu.

– Dać mu wódki! Dać mu się napić! – rozległo się ze wszystkich stron.

Jedenastoletni syn reb Szeftela, Cadok Majer, też się rozbudził od tego poruszenia. Wiedział, gdzie ojciec trzyma brandy, którą pije w szabat po rybie. Otworzył kredens, napełnił szklaneczkę i zaniósł siostrze. Reb Szeftel oparł się o komodę, bo nogi odmawiały już posłuszeństwa. Zajse Fajge opadła na krzesło. Sąsiedzi spryskali ją octem, by nie zemdłała.

Lejbe Jenteł wyciągnęła rękę, chwyciła szklanę i wychyliła. Ci, którzy stali blisko, nie mogli uwierzyć własnym oczom. Twarz dziewczyny nawet nie drgnęła.

– Nazywacie to wódką? – rzekł dybuk. – To woda, oto co wam powiem – hej, chłopcze, przynieś mi butelkę!

– Nie dawaj jej! Nie dawaj jej! – płakała Zajse Fajge. – Ona się otruje, Boże zachowaj!

– Bez obawy, Zajse Fajge. Nic mnie nie może znowu zabić. Jak dla mnie, twoja brandy jest słabsza niż cukierek – odpowiedział dybuk chrapliwie i zaśmiał się.

– Nie dostaniesz więcej, dopóki nie powiesz nam, kim jesteś i jak się tu dostałeś – oznajmił rzeźnik Zajnweł.

Jako że nikt poza nim nie ośmielił się zwrócić do ducha, Zajnweł postanowił pełnić rolę rozmówcy.

– Czego chce tutaj ten od mięsa? – zapytał dybuk. – Wracaj do swoich podgardli i flaków!

– Powiedz nam, kim jesteś!

– Mam się powtarzać? Jestem Getsel, skrzypek z Pińczowa. Lubiłem rzeczy, przeciwko którym inni też nic nie mają, i gdy się przekręciłem, diabliki wzięły mnie w obroty. Nie mogłem iść do raju, a w piekle za gorąco, jak na mój gust. Diabły to dla mnie koniec. Więc nocą, gdy stróż się wyniósł, zniknąłem. Miałem zamiar iść do mojej żony, oby zgniła żywcem, ale było ciemno i w zamian dostałem się do Szydłowca. Popatrzyłem przez ścianę i zobaczyłem tę dziewczynę. Serce podskoczyło mi w piersiach i przeniknąłem do jej duszy.

– Jak długo zamierzasz zostać?

– Na zawsze i jeden dzień.

Reb Szeftel prawie zaniemówił z przerażenia, ale przypomniał sobie o Bogu i doszedł do siebie.

– Zły duchu, rozkazuję ci opuścić ciało mej niewinnej córki i iść tam, gdzie nie chodzą ludzie i nie stąpają zwierzęta. Jeśli nie, wypędzimy cię Świętymi Imionami, ekskomuniką, dźwiękiem baraniego rogu – zakrzyknął.

– Za chwilę się przestraszę! – drwił dybuk. – Myślisz, że jesteś taki silny, bo masz długą brodę?

– Zuchwały draniu, zdrajco Izraela! – krzyczał reb Szeftel ze złością.

– Lepszy szczerzy szalbierz niż fałszywy świętoszek – odpowiedział dybuk. – Możesz tumanić szydłowieckich półgłówków, ale Getsel, skrzypek z Pińczowa, zna się na rzeczy. Mówię ci, daj mi butelkę, albo sprawię ci niespodziankę.

Rozległ się hałas za drzwiami. Ktoś obudził rabina, który przyszedł, prowadząc ze sobą Bendita, woźnego. Bendit niósł kij, Święty Róg i Księgę anioła Raziela.

3

Kiedy już weszli do sypialni, na rozkaz rabina, reb Jeruchima, rozległ się dźwięk świętego Rogu. Woźny ułożył na blasze stos gorących węgli, które rabin polał wonnymi olejkami. Gdy pokój wypełnił się dymem z ziół, zaklinał złego świętymi przysięgami z Zo-

har, z Księgi Stworzenia i innych ksiąg Kabały, aby opuścił ciało kobiety Lejbe Jenteł, córki Zajse Fajge. Ale duch nieczysty wszystkiemu się opierał. Zamiast odejść, podśpiewywał sobie skoczne piosenki. Grzmiał jak kontrabas, jęczał jak cymbały, gwizdał jak flet i dudnił jak bęben.

Zbrakłoby papieru, żeby opisać wszystko, co dybuk wyprawiał i mówił tej nocy i podczas następnych – jego bezwstydnie żarty, bluźnierstwa przeciwko Bogu, obelgi pod adresem mieszkańców miasta, wszystkie niegodziwości, których popełnieniem się chełpił, szyderstwa, wybuchy śmiechu i płaczu, potoki cytatów z Tory i błazeńskie żarty, a wszystko to w przyśpiewkach i rymowankach.

Dybuk odzywał się dopiero, gdy się ściemniło. W ciągu dnia Lejbe Jenteł leżała w łóżku wyczerpana i najwyraźniej nie pamiętała, co działo się w nocy. Myślała, że jest chora, i czasami błagała matkę, by wezwała doktora lub dała jej jakieś lekarstwa. Przeważnie drzemała, mocno zaciskając oczy i usta.

Jako że zaklęcia i święte przedmioty szydłowieckiego rabina nie pomagały, reb Szeftel pojechał szukać rady u rabina w Radzyminie. Wyjechał z domu wczesnym rankiem. Ładna pogoda ustąpiła miejsca wiatrowi i śniegom. Zasypało drogi i trudno było dojechać do Radzyna, nawet saniami. Mijały tygodnie, a od reb Szeftela nie nadchodziły żadne wieści. Zajse Fajge tak była dotknięta nieszczęściem, że aż zachorowała i jej pomocnik Zalkind musiał przejąć cały interes.

Zimowe wieczory są długie, a próżniacy szukają sposobów na spędzenie czasu. Zaraz po zmierzchu gromadzili się w domu Zajse Fajge, by posłuchać, co mówi dybuk, i podziwiać jego popisy. Zajse Fajge zabroniła im niepokoić córkę, lecz ciekawość mieszkańców miasteczka była tak wielka, że sami otwierali drzwi i wchodzili.

Dybuk wiedział wszystko i miał słówko dla każdego, stosownie do jego pozycji i zachowania. Najczęściej obrzucał błotem i popiołem cieszących się uznaniem przywódców gminy oraz ich żony. Każdemu mówił dokładnie, kim jest: skąpcem lub oszustem, pochlebcą lub żebrakiem, flejtuchem albo snobem, próżniakiem czy bandytą. Z handlarzami koni rozmawiał o koniach, a z rzeźnikami o wołach. Nie zapomniał o młynarzu Chaimie, co pod wagą, na której ważył mąkę dla chłopów, podwieszał ciężarek. Jukełe, złodzieja, zapytał o ostatnią kradzież. Jego dowcipy i szyderstwa wprawiały w zadziwienie i rozśmieszały. Nawet starsi mieszkańcy nie mogli powstrzymać się od uśmiechu. Dybuk wiedział o spr-

wach dla obcego sekretnych, więc zebrani pojęli jasno, że mają do czynienia z duszą, przed którą niczego nie da się ukryć, bowiem przenika ona wszystkie tajemnice. Chociaż zły duch każdego zawstydział, chcieli cierpieć własną hańbę, by w zamian zobaczyć upokorzenie innych.

Kiedy dybuk zmęczył się wyliczaniem mieszkańcom miasteczka ich grzechów, z powrotem chełpił się swoimi własnymi wyczynami. Nie minęła noc bez rewelacji o nowym występku. Dybuk nazywał wszystko po imieniu, niczego nie ukrywając. Zapytali go kiedyś, czy żałuje wszystkich tych okropności.

– A nawet jeśli żałuję, czy to może coś zmienić? – odpowiedział. – Wszystko jest zapisane na górze. Za zjedzenie jednej robaczywej śliwki dostaje się sześćset osiemdziesiąt dziewięć batów. Za jeden moment pożądania tygodniami obracają cię na łożu z gwoździ.

Między jednym a drugim dowcipem wyśpiewywał, mruczał i udawał instrumenty tak zręcznie, że nikt z żywych nie mógłby się z nim równać.

Któregoś wieczora do rabina przybiegła żona nauczyciela z wiadomością, że ludzie tańczą do muzyki dybuka. Rabi, założywszy płaszcz i kapelusz, pospieszył do domu Zajse Fajge. Tak, kobiety i mężczyźni tańczyli razem w jej kuchni. Rabi zbeształ ich i ostrzegł, że dopuszczają się świętokradztwa. Stanowczo zakazał Zajse Fajge wpuszczać do domu pospólstwo. Ale Zajse Fajge leżała w łóżku chora, a jej chłopiec, Cadok Majer, mieszkał teraz u krewnych. Gdy tylko rabin wyszedł, próznicy powrócili do swojej zabawy – tańczyli Taniec Nożyczek, Taniec Niezgody, kozaka i Wodny Taniec. Trwało to do północy, dopóki dybuk nie zachrapał i Lejbe Jenteł nie zasnął.

W kilka dni później znowu po mieście rozeszły się wieści: drugi dybuk wstąpił w Lejbe Jenteł, tym razem kobieta. I znowu rozpalony tłum pchał się do domu. I choć Lejbe Jenteł wydawała teraz głos kobiecy, nie był to jej delikatny głosik, lecz ordynarny skrzek jędzy. Ludzie pytali nowego dybuka, kim jest, a on odpowiedział, że nazywa się Bejle Cłowe i przybywa z Płocka, gdzie służył za barmankę w gospodzie, a potem został dziwką.

Bejle Cłowe mówiła inaczej niż skrzypek Getsel, z niskim akcentem swoich stron i domieszką słów zniemczonych, nie znanych w Szydłowcu. Język Bejle Cłowe nawet pomocników rzeźnika i świniopasów przyprawiał o rumieniec. Śpiewała rubaszne piosenki i żołnierskie przyśpiewki. Mówiła, że przez osiemdzie-

siąt lat tułała się po pustkowiach. Wcielała się w kota, indyka, węża i szarańczę. Przez dłuższy czas jej dusza mieszkała w żółwiu. Ktoś wspomniał skrzypka Getsela i zapytał, czy wie, że mieszkał w tej samej kobiecie.

– Ani go nie znam, ani znać nie chcę – odpowiedziała.

– Dlaczego? Czyżbyś nagle stała się cnotliwa? – zapytał Zajnweł, pomocnik rzeźnika.

– Kto by chciał umarłego skrzypka?

Ludzie zaczęli wzywać Getsela, prosząc go, aby przemówił. Chcieli usłyszeć, jak obydwaj dybuki rozmawiają ze sobą. Ale skrzypek Getsel milczał.

– Nie widzę tu żadnego Getsela – oznajmiła Bejle Cłowe.

– Może się chowa? – odezwał się ktoś.

– Gdzie? Potrafię wyczuć mężczyznę na kilometr.

W środku tego poruszenia wrócił reb Szeftel. Postarzał się i był nawet niższy niż przedtem. Brodę miał przyprószoną siwizną. Przywiózł z Radzymina talizmany i amulety, aby porozwieszać je w kątach mieszkania i na szyi Lejbe Jenteł.

Ludzie spodziewali się, że dybuk będzie się opierał i walczył przeciwko amuletom, jak to czynią złe duchy w zetknięciu ze świętymi przedmiotami. Ale Bejle Cłowe milczała, gdy amulety zawisły na szyi Lejbe Jenteł.

– Co to takiego? Poświęcony papier toaletowy? – zapytała po chwili.

– To Święte Imiona od radzyńskiego rabina! – krzyknął reb Szeftel. – Jeśli w tej chwili nie zostawisz mojej córki w spokoju, one nie dadzą spokoju tobie!

– Powiedz rabinowi w Radzyminie, że pluję na jego amulety – odezwała się kobieta zuchwale.

– Dziwka! Diablica! Wiedźma! – wrzeszczał reb Szeftel.

– Co on sobie wyobraża, ten krótki piątek? Kawał chłopa – nic, tylko kości i broda!

Reb Szeftel przywiózł ze sobą błogosławione sześciogroszowe monety, kawałek zaklętego bursztynu i inne magiczne przedmioty, od których Diabelskie Zastępy trzymają się z daleka. Jednak wyglądało na to, że Bejle Cłowe niczego się nie boi. Szydliła z reb Szeftela i zapowiadała, że przyjdzie w nocy zawiązać mu węzeł na brodzie.

Tej nocy reb Szeftel odmawiał Szemę świętego Izaaka Lurii. Spał w ubraniu z frędzlami i z Księgą Stworzenia oraz nożem pod

poduszką – jak kobieta w połogu. Jednak w środku nocy obudził się i poczuł na twarzy niewidzialne palce. Jakaś ręka grzebała w jego brodzie. Reb Szeftel chciał krzyczeć, ale ręka zakryła mu usta. Rankiem Reb Szeftel obudził się z brodą całą w warkoczykach, sztywnych jak od kleju.

Chociaż była to sprawa niewesoła, chasydzi, zwolennicy rabiego z Warki, uczcili ten dzień w swoim domu nauki miodowym ciastem i brandy. Byli zagorzałymi przeciwnikami radzymińskiego rabina i teraz mieli dowód, że nie zna on Kabały. Uczniowie rabina z Warki poradzili reb Szeftelowi udać się tam w podróż, lecz on ich zignorował i teraz miał za swoje.

4

Pewnego wieczora, gdy Bejle Cłowe wychwalała swą niegdyśszą piękność i opowiadała o wszystkich mężczyznach, którzy za nią ganiali, nagle odezwał się skrzypek z Pińczowa.

– Ciekawe po co? – zapytał drwiąco. – Byłaś jedyną babą w Płocku?

Przez chwilę wszyscy milczeli. Wyglądało na to, że Bejle Cłowe odjęło mowę. Po chwili wybuchnęła szorstkim śmiechem.

– Więc tu jest – wyskrobek! Gdzie się schowałeś? W żółci?

– Jeśli ty jesteś ślepa, ja mogę być niemy. No dalej, babciu, nawijaj. Twoja historyjka miała już siwą brodę, gdy ja jeszcze byłem w powijkach. Na twoim miejscu wyniosłbym się z takimi opowiastkami do głupców z Chełma. W Szydłowcu poza mną jest też dwóch albo trzech inteligentnych ludzi.

– To mi mędrzec, co? – rzekła Bejle Cłowe. – Pozwól, że coś ci powiem. Za żywego skrzypka-wyskrobka nie dałabym grosza – a co dopiero mówić o umarłym! Wracaj, zechciej wybaczyć, do swego miejsca spoczynku. Brakuje tam ciebie na pińczowieckim cmentarzu. Trupom, które modlą się w nocy, brakuje jednego szkieletu do kworum.

Ludzie słyszący kłótnię dwóch dybuków byli tak oszołomieni, że zapomnieli o śmiechu. Już to męski głos wydobywał się z Lejbe Jenteł, już to kobiecy. „R” pińczowskiego skrzypka było miękkie, zaś płockiej ladacznicy twarde.

Co do Lejbe Jenteł, odpoczywała wsparta na dwóch poduszkach, twarz miała bladą, rozpuszczone włosy i zamknięte oczy. Nikt nie widział, żeby poruszała ustami, chociaż gapie wypełniali pokój po brzegi. Zajse Fajge nie była w stanie ich wypchnąć, a nie

miała nikogo do pomocy. Reb Szeftel nie przychodził już na noc do domu. Sypiał w domu nauki. Służąca Dunia porzuciła pracę w środku roku. Zalkind, pomocnik Zajse Fajge, wracał na noc do domu, do żony i dzieci. Ludzie wchodzili i wychodzili, jakby dom nie należał do nikogo. Ilekroć któryś z szanowanych członków gminy przychodził, aby zbesztać to wesołe bractwo za naśmiewanie się z nieszczęsnej dziewczyny, obydwaj dybuki obrzucały go przekleństwami i obelgami. Zaś ludzi z miasta obdarowały dybuki nowymi przezwiskami: Rejce-pracusz, Mіндеł-żarłok, Jekel-twardziel, Dwosze-kurtyzana. Niekiedy goje, nawet i z miejscowych wyższych sfer, przychodzili zobaczyć zjawisko, a dybuki dowcipkowały z nimi po polsku. Pewien właściciel ziemski powiedział w gospodzie, że najlepszy teatr w Warszawie nie może się równać z przedstawieniem w wydaniu dwóch nieżywych łajdaków z Szydłowca.

Reb Szeftel, tak niezłomny w swej lojalności wobec radzyمیńskiego rabina, poddał się nareszcie i pojechał na spotkanie z rabinem Warki. Może on temu zaradzi.

Tymczasem dwa dybuki prowadziły swój dialog. Utał się przesąd, że kobieta zawsze przegada mężczyznę, jednak skrzypek z Pińczowa okazał się godnym płockiej ladacznicy. Skrzypek obwieszczał ze złością, że to nie honor kłócić się z dziwką – dziewczyną z dyplomem w dziedzinie nierządu – ale zachęcała go do tego rozhukana młodzież.

– Odpowiedz jej! Nie pozwól, żeby miała ostatnie słowo – gwizdali, nawoływali, klaskali w ręce, tupali nogami.

Wojna docinków stopniowo zamieniała się w gawędziarstwo. Bejle Cłowe opowiedziała, że jej matka, pobożna i zdolna kobieta, urodziła swemu mężowi, chasydowi i próżniakowi, ośmioro dzieci, wszystkie dziewczęta. Gdy Bejle Cłowe pojawiła się na świecie, jej ojciec tak był zdegustowany, że poszedł z domu. Z pomocą różnych sztuczek zebrał podpisy stu rabinów, zezwalających mu na ponowny ożenek, a jej matka została opuszczoną żoną. By utrzymać rodzinę, co dzień rano chodziła na targ sprzedawać studentom jesiwy gorącą fasolę. Zgłosił się pewien nikczemny nauczyciel z kozią bródką i pejsami zwisającymi aż po ramiona, by ćwiczyć z Bejle Cłowe modlitwy, ale zgwałcił ją. Miała wtedy niespełna osiem lat. Gdy Bejle Cłowe przeszła do opowieści o tym, jak to została barmanką, jak chłopcy ją podszcypywali, przeklinali, ciągnęli za włosy i jak kobieta, która wyglądała na pobożną, zwabiła ją do

dalekiego miasta i zaprowadziła do burdelu, wsłuchane dziewczęta wybuchnęły płaczem. Młodzi mężczyźni też przecierali oczy.

Skrzypek Getsel zadawał jej pytania. Kim byli goście? Ile płacili? Ile musiała oddawać stręczycielom, a ile jej zostawało na życie? Czy poszła kiedyś do łóżka z Turkiem albo z czarnuchem?

Bejle Cłowe odpowiadała na wszystkie pytania. Młodzi hulacy dręczyli ją na swój sposób, a starzy lubieżnicy też nie dawali wytchnienia od swoich zachcianek. Tamta kobieta zabierała jej ostatni grosz, a chleb zamykała w kredensie. Sutener chłostał ją mokrym rzemieniem i wbijał igły w pośladki. Od postów i tęsknoty za domem zapadła na gruźlicę i skończyła w domu dla ubogich, wypluwszy płuca. A ponieważ została pochowana za ogrodzeniem i nikt za nią nie zmówił Kadyszu, natychmiast opadły ją miliony demonów, chochlików, szyderców i boboków. Anioł Duma zapytał ją o wers, który zaczyna się jej imieniem, a gdy nie wiedziała, rozłupał jej grób ognistą różgą. Błagała, by przyjęto ją do piekła, bo tam kara trwa tylko dwanaście miesięcy, ale Nieczyści porwali ją na pustkowie. Opowiadała, że idąc tamtędy, znalazła się nad dołem, który był drzwiami do Gehenny. Dniem i nocą dochodziły z dołu jęki grzeszników, odbywających tam karę. Zabrali ją nad Stężałe Morze, gdzie nieruchomo trwały statki porozbijane przez sztormy, z wymarłą załogą i kapitanami pozamienianymi w kamienie. Bejle Cłowe znalazła się także na ziemiach zamieszkałych przez olbrzymy z dwiema głowami i jednym okiem na czole. Rodzi się tam niewiele kobiet, a każda z nich ma sześciu mężów.

Skrzypek Getsel też zaczął opowiadać o swoim życiu. Mówił o przygodach na ślubach i balach u wyższych sfer i o tym, co działo się później, w zaświatach. Stwierdził, że grzesznicy nie pokutują, nawet w Krainie Umarłych. Choć poznali już prawdę, ich duszami wciąż targają żądze. Szulerzy grają w niewidzialne karty, złodzieje kradną, oszuści oszukują, a cudzołożnicy nadal dopuszczają się swych plugawych czynów.

Mieszkańcy miasta, którzy słyszeli to wszystko, stali w zadziwieniu.

– Jak to możliwe, żeby ktoś grzeszył, skoro gnije w ziemi? – zapytał rzeźnik Zejnwęł.

Getsel wytłumaczył, że to jednak dusza, a nie ciało, czerpie przyjemność z grzechu. Dlatego karze się duszę. Poza tym ciała mogą być różne – z dymu, z pajęczyny, z cienia – i mogą być przydatne przez jakiś czas, dopóki Anioł Zagłady nie rozerwie ich na

kawałki. Są na pustkowiach i w otchłaniach takie zamki, gospody, ruiny, które zapewniają schronienie przed Sądem, a czasem i Aniołowie Zemsty dają się przekupić przysięgami albo i specjalnymi pieniędzmi, których nie widać, ale używa się ich w szynkach i burdelach Krainy Umarłych.

Gdy któryś z próżniaków wykrzyknął, że to niewiarygodne, Getsel wezwał Bejle Cłowe, by potwierdziła jego słowa.

– Powiedz nam, Bejle Cłowe, co tak naprawdę robiłaś przez wszystkie te lata? Recytowałaś Psalmy czy włóczyłaś się po bagnach i pustkowiach, obcując z demonami, zmorami i Malachajami?

Zamiast odpowiedzieć, Bejle Cłowe zachichotała i odkaszlnęła.

– Nie mogę mówić – zaschło mi w ustach.

– O tak, dajcie kropelkę – wtrącił Getsel i gdy ktoś przyniósł kufel brandy, Lejbe Jenteł wychyliła jego zawartość jak wodę.

Nie otwierała oczu, a twarz jej nawet nie drgnęła. Dla każdego stało się jasne, że jest całkowicie we władaniu dybuków, bez czucia.

Zajnął, rzeźnik, zorientował się, że między dwoma dybukami zapanowała zgoda.

– Czemu wy dwoje nie zostaniecie mężem i żoną? – zapytał. – Dobrana z was para.

– A co byśmy robili po ślubie? – zastanowiła się Bejle Cłowe. – Odprawiali modły z modlitewnika?

– Robilibyście to samo, co i inne poślubione pary.

– Ale jak? Zrobiliśmy już swoje. Tak czy siak, nie ma czasu – nie zabawimy tu już zbyt długo.

– Czemu nie? Lejbe Jenteł jest jeszcze młoda.

– Rabi z Warki to nie radzyński półgłówek – wyjaśniła Bejle Cłowe. – Sam Asmodeusz boi się jego talizmanów.

– Rabi z Warki może mnie pocałować tam, gdzie wiesz... – oburzył się Getsel. – Ale nie mam zamiaru zostać oblubieńcem.

– Co, narzeczona ci się nie podoba? – wrzasnęła Bejle Cłowe. – Gdybyś wiedział, kto chciał mnie poślubić, drugi raz byś zdechł.

– Skoro teraz mi wymyśla, czego mogę się później spodziewać? – żartował Getsel. – Poza tym ona jest taka stara, że mogłaby być moją prababką – o siedemdziesiąt lat starsza ode mnie, jak by nie liczyć.

– Bałwan. Miałam dwadzieścia siedem lat, gdy kopnęłam w kalendarz, i już nie mogę się starzeć. A ty, ile masz lat, osesku? Szczęśliwie dobiegasz sześćdziesiątki.

– Obyś dostała tylu wrzodów na swoim opasłym cielsku, ilu lat mi brakuje do pięćdziesięciu.

– Daj mi to ciało, a nie będę się spierać o wrzody.

Tych dwoje ciągnęło swe spory, a tłum ich podjudzał, aż w końcu dybuki doszły do porozumienia. Kto nie słyszał, jak umarła narzeczona i umarły oblubieniec targowali się o posag, wyprawę, prezenty, ten nigdy nie będzie wiedział, co potrafią duchy nieczyste.

Bejle Cłowe zauważyła, że dawno już zapłaciła za wszystkie swoje przewiny, przeto stała się czysta jak dziewica.

– Czy w ogóle jest coś takiego jak dziewica? – roztrząsała. – Każda dusza gościła niezliczoną ilość razy i w mężczyznach, i w kobietach. Nie ma w niebiosach nowych dusz. Duszę myje się w kotle, jak talerze przed Pesach. Oczyszcza się ją i z powrotem wysyła na ziemię. Wczorajszy żebrak dziś jest magnatem. Żona rabina zostaje woźnicą. Koniokrad przeobraża się w kogoś ze starszyzny gminy. Rytualny rzeźnik wraca jako wół. Więc o co ten rwetes? Wszystko jest ulepione z tej samej gliny – kot i mysz, myśliwy i niedźwiedź, starzec i niedorostek.

Co do Bejle Cłowe, w poprzednim wcieleniu była kupcem zbożowym, służącą mleczarza, żoną rabina, nauczycielem Talmudu.

– Pamiętasz coś z Talmudu? – zapytał Getsel.

– Gdyby Anioł Zapomnienia nie dał mi prztyczka w nos, na pewno bym sobie przypomniiała.

– Co powiecie o mojej narzeczonej? – dowcipkował Getsel. – Cięty jęzor. Kamień by przekonała. Gdyby moja żona wiedziała, na kogo ją zamieniam, utopiłaby się w wiadrze pomyj.

– Twoja żona miała w łóżku towarzystwo, jeszcze zanim ostygłeś...

Po mieście rozeszła się dziwna wiadomość: jutro wesele w domu reb Szeftela; skrzypek Getsel i Bejle Cłowe zostaną mężem i żoną.

5

Gdy rabin usłyszał, co się święci, wystosował pismo zakazujące komukolwiek uczestnictwa w czarnych zaślubinach. Posłał woźnego Bendita, aby stał na straży przy drzwiach reb Szeftela i nikogo nie wpuszczał. Jednakże tej nocy nadeszła gęsta śnieżycza i zrobiło się okrutnie zimno. Wiatr wiał silnymi podmuchami i gwizdał we wszystkich kominach. Bendit był obsypany śniegiem od stóp do głów i wyglądał jak bałwan ulepiony przez dzieciaki. Żona przysłała po

niego i na wpół zamrożonego zabrała do domu. Gdy tylko zaczął zapadać zmierzch, gawiedź zebrała się w domu Szeftela. Niektórzy przynieśli butelki wódki lub brandy, inni suszoną baraninę i miodowe ciasto.

Jak zazwyczaj, Lejbe Jenteł spała przez cały dzień i nie obudziła się nawet wtedy, gdy zboląta matka wlała do jej ust kilka łyżek rosołu. Lecz pociemniało i dziewczyna usiadła. W domu panował taki ścisk, że nie można było się ruszyć.

Zajnęł, rzeźnik, wystąpił w roli gospodarza.

– Oblubienico, czy pościłaś w dniu twoich zaślubin? – zapytał.

– Umarli tak jedzą, jak i wyglądają – odpowiedziała sprytnie Bejle Cłowe.

– A ty, oblubieńcu, czy jesteś gotowy?

– Niech najpierw ona pokaże posag.

– Możesz wziąć wszystko, co mam – kurzu kupkę i spleśniałą skorupkę...

Getsel udowodnił tego wieczora, że jest nie tylko wytrawnym muzykiem, ale też może służyć jako rabin, kantor i weselny błazen. Na początek zagrał na smutną nutę i odmówił dla narzeczonej i dla siebie „Bóg jest pełen miłosierdzia”. Potem zagrał radosną melodię, dołączając stosowne żarty. Upomniął narzeczoną, by była wierną żoną, by się ubierała i dbała o siebie, i dobrze gospodarzyła. Ostrzegł parę, że musi pamiętać o dniu śmierci, i zaśpiewał:

Placz, moja panno, póki łez wystarczy.

Nawet umarłak lęka się złych snów.

Czy życie za grobem to pasmo rozpaczy,

Skoro kochanka leży u twych stóp?

Widmo z widmem idą w tany,

A trup z trupem szuka pary.

Anioł i diabeł straszą swym wezwaniem.

Trumna się stała ich ślubnym postaniem.

Choć było to szyderstwo, a nie ślub, wiele też połało się z kobiecych oczu. Mężczyźni wzdychali. Wszystko odbywało się zgodnie ze zwyczajem. Getsel wygłaszał kazania, śpiewał, grał. Goście mogli słuchać jednocześnie zawodzenia skrzypiec, dźwięku klarнету, gwizdu trąbki, jęku kobzy. Getsel udał, że okrywa narzeczoną welonem, i zagrał melodię towarzyszącą tej ceremonii. Po marszu weselnym wyrecytował przy akompaniamencie dzwonka słowa „Tyś jest uświęcony”. Wygłosił przemówienie narzeczonego i zapowiedział ślubne prezenty: lustro okryte całunem, mały wore-

czek gruntu z Ziemi Świętej, pogrzebową łyżkę oczyszczającą, zepsuty zegar. Gdy wydawało się, że przybyli sposepniali, Getsel zarządził kozaka. Próbowali tańczyć, ale było zbyt ciasno, by zrobić krok. Kiwali się i gestykulowali.

Nagle Bejle Cłowe poczęła jęczeć.

– Oj, Getselu!

– Co takiego, mój gołąbku?

– Dlaczego to nie może być naprawdę? Nie urodziłyśmy się martwi!

– Ba! Rzeczywistość we własnej osobie wisi na włosku.

– Dla mnie to nie zabawa, głupiec z ciebie.

– Gdziekolwiek jesteśmy, pijmy i zachowajmy spokój. Radujmy się i radźmy sobie, dopóki wszystkie ognie piekielne nie ugasną.

Przyniesiono szklanke wina i Lejbe Jenteł opróżniła ją do ostatniej kropli. Potem roztrzaskała naczynie o ścianę, a Getsel zaintonował przyśpiewkę chłopców z chederu:

Noe powiedział: tży chowaj na potem,

Wszak każde słowo niejasne jak mgła.

Czy żywi muszą chorować na śmierć?

Pijmy więc wino, niech chwila ta trwa!

Zajse Fajge nie mogła znieść tego dłużej. Schorowana, wstała z łóżka, owinęła się szalem i udała się do pokoju córki, szurając pantoflami. Usiłowała rozepchnąć tłum wokół siebie.

– Bestie! – krzyknęła. – Torturujecie moje dziecko!

– Nie przeszkadzaj, stara zrzędo! – wrzasnęła na nią Bejle Cłowe. – Lepszy zgniły skrzypek niż jakiś płaz z Zawiercia!

6

W środku nocy za drzwiami rozległy się kroki i głosy. Reb Szeftel powrócił z Warki, niosąc torbę pełną nowych amuletów, zaklęć i talizmanów. Wraz z nim weszli chasydzi od rabina z Warki, gotowi rozpedzić tłum.

– Wynoście się, szumowiny! – krzyczeli, potrząsając szalami.

Kilku młodzieniaszków próbowało walczyć z chasydami, jednak szydłowiecki tłum zmęczony był tak długim stanieniem i wszyscy zaczęli wychodzić.

– Bracia, nie dajcie się tym świętym półgłówkom! Niech posmakują waszych pięści! Hej, ty, chojraku! – dał się za nimi Getsel.

– Tchórze! Bękarty! Myszy! – skrzeczała Bejle Cłowe.

Kilku chasydów z Warki oberwało raz czy dwa, lecz po chwili wrzawa ucichła. Chasydzi wpadli do pokoju, wyklinając dybuki.

Opiekun synagogi w Warce, reb Awigdor Jawrower, podbiegł do łóżka Lejbe Jenteł i usiłował zawiesić jej na szyi zakłete przedmioty. Lecz dziewczyna prawą ręką strąciła mu kapelusz i jarmużkę, a lewą ciągnęła za brodę. Inni chasydzi próbowali go uwolnić, ale Lejbe Jenteł rzucała się na wszystkie strony. Kopała, biła i draapała. Jeden z mężczyzn otrzymał raz w policzek, drugiego pociągnęła za pejs, trzeciemu splunęła sążnście w twarz, a czwarty dostał kukuksa w żebra. By przestraszyć pobożnych, krzyczała, że ma nieczyste dni. Potem zdarła koszulę, odsłaniając swą wstydlivość. Kto nie zacisnął oczu, zauważył, że jej brzuch jest wzdęty jak bęben. Z lewa i z prawa wystawały dwie bulwy, wielkie jak głowy, stało się więc jasne, że siedzą tam duchy. Getsel ryczał jak lew, wył jak wilk, syczał jak wąż. Nazywał rabina z Warki eunuchem, błaznem, pawianem, obrażał wszystkich świętych mędrców, bluźnił przeciwko Bogu.

Reb Szeftel osunął się na podłogę i siedział jak płaczka. Zakrył twarz obiema rękami i kiwał się jak nad trupem. Zajse Fajge schwyła miotłę, próbując odgonić mężczyzn, którzy tłoczyli się przy jej córce, lecz odepchnęli ją na bok, aż upadła na ziemię. Sąsiadki pomogły jej wstać. Czepek zsunął się z głowy Zajse, odsłaniając огоłą głowę z siwymi odrostami. Podniosła obie pięści.

– Oprawcy, mordujecie mi dziecko! Panie na niebie, ześlij na nich przekleństwo faraona! – wołała szlochając.

Na koniec któryś z młodszych chasydów uchwycił dłonie i nogi Lejbe Jenteł, po czym przywiązał je swymi szarfami do łóżka. Potem nałożył jej na szyję amulety rabina z Warki.

Getsel, spokojny podczas walki, teraz przemówił.

– Powiedzcie swemu cudownemu szefowi, że jego zaklęcia są parszywe.

– Nieszczęśniku, siedzisz w piekle i jeszcze się buntujesz? – grzmiał reb Awigdor Jawrower.

– Piekło jest pełne takich jak ty.

– Pies, łajdak, degenerat!

– Czemuż to klniecie, wszy? – wyła Bejle Cłowe. – Czy to nasza wina, że ten święty idiota rozdaje fałszywe talizmany? Lepiej zostawcie dziewczynę w spokoju. Nie robimy jej żadnej krzywdy. Jej dobro jest naszym dobrem. Pamiętajcie, że my też jesteśmy Ży-

dami – nie Tatarami. Nasze dusze też stały na górze Synaj. Jeśliśmy zblądzieli w życiu, chciejcie zauważyć, że już spłaciliśmy długi.

– Dziwka, ladaczniczka, wywłoka, wynocha stąd – krzyczał jeden z chasydów.

– Pójdę, kiedy zechcę.

– Todruś, zadmij w Święty Róg – długim dmuchnięciem!

Święty Róg wypełnił noc przesywającym jękiem.

– Dmij na gorące, dmij na zimne, kogo to obchodzi? – Bejle Cłowe śmiała się i drwiła.

– Teraz dźwięk urywany!

– Nie dość ci twoich wrzasków?

– Szatan, Amalekita, apostata!

Mijały godziny, a dybuki pozostawały niewzruszone. Niektórzy z chasydów z Warki poszli do domu. Inni wsparli się o ścianę, gotowi walczyć do ostatka sił. Rozhukana młodzież, która przedtem się rozbiegła, powracała teraz z kijami i nożami. Chasydzi radzyńskiego rabina usłyszeli, że talizmany z Warki nie pomogły, i przyszli to świętować.

Reb Szeftel podniósł się z podłogi i począł błagać dybuki z boleścią.

– Jeśli jesteście Żydami, winniście mieć żydowskie serca. Spójrzcie, co się stało z moją niewinną córką. Leży zniewolona jak owca przygotowana na rzeź. Moja żona jest chora. Ja sam też podpadłem na zdrowiu. Interes leży odłogiem. Jak długo będziecie nas męczyć? Nawet w mordercach tli się iskierka litości.

– Nad nami się nikt nie lituje.

– Docenię waszą skruchę. Powiedzione jest w Biblii: „Jego wygnańcy nie są przepędzeni sprzed Jego oblicza. Żadna żydowska dusza nie jest skazana na zawsze”.

– Co dla nas zrobisz? – zapytał Getsel. – Pomożesz nam jęczeć?

– Będę za was czytał Psalmy i recytował Misznę. Będę dawał jałmużny. Będę mówił dla was Kadysz przez okrągłych dwanaście miesięcy.

– Nie jestem jednym z twoich chłopków. Nie oszukasz mnie.

– Nigdy nikogo nie oszukałem.

– Przysięgnij, że dotrzymasz słowa! – rozkazał Getsel.

– O co chodzi, Getsel? Już cię korci, by mnie opuścić? – zapytała Bejle Cłowe ze śmiechem.

– Żal mi starych ludzi – rzekł Getsel ziewając.

– Chcesz ze mnie zrobić porzuconą żonę już pierwszej nocy?

– I ty chodź, jak dasz radę.

– Dokąd? Za Góry Ciemności?
– Gdzie nas oczy poniosą.
– Chciałeś powiedzieć oczodoły, komediancie!
– Przrzeknij, reb Szeftelu, że dotrzymasz wszystkich swoich obietnic – powtórzył skrzypek Getsel. – Dokonaj świętej przysięgi. Jeśli złamiesz słowo, wrócę tutaj z całym zastępem grzeszników i rozniosę twoje kości na cztery wiatry.

– Nie przrzekaj, reb Szeftelu, nie przrzekaj. Taka przysięga to obraza Boskiego Imienia – zaklinali chasydzi.

– Przysięgnij, mój mężu, przysięgnij. Jeśli nie – wszyscy zginemy.

– Drogie dusze, przysięgam wiernie wypełnić wszystko, czego się podjąłem. Będę dla was studiował Misznę. Będę odmawiał Kaddysz przez dwanaście miesięcy. Powiedzcie mi, kiedy zmarliście, a będę palił świece ku waszej pamięci. Jeśli na waszych mogiłach nie ma nagrobków, pojedę na wasze cmentarze i wzniosę je.

– Po naszych grobach dawno już nie ma śladu. Chodź, Bejle Cłowe, idziemy. Swit wstaje nad Pińczowem.

– Chochliku, i po co wystrychnąłeś żydowską córę na dudka? – wyrzucała mu Bejle Cłowe.

– Hej, ludzie, z drogi! – krzyknął Getsel – albo wstąpię w któregoś z was!

Był taki ścisk, że choć drzwi stały otworem, nikt nie mógł wyjść. Pospadały kapelusze i jarmułki. Szły w strzępy ubrania. Spod tłumy unosił się zduszony płacz. Niektórzy chasydzi poupadali, a inni po nich deptali. Lejbe Jenteł otworzyła usta szeroko i rozległ się strzał jak z pistoletu. Przewróciła oczami i opadła na poduszkę, biała jak śmierć. Po pokoju rozszedł się smród – plugawe tchnienie grobu. Zajse Fajge podeszła do córki na miękkich nogach i rozwiązała ją. Brzuch dziewczyny był teraz płaski i pomarszczony jak u kobiety po porodzie. Reb Szeftel przekonywał później, że z nozdrzy Lejbe Jenteł wyskoczyły dwie ogniste kule i wyfrunęły przez okno. Pękła szyba, a dwie grzeszne dusze, wydostawszy się przez szczelinę, powróciły do Świata Iluzji.

7

Lejbe Jenteł leżała chora. Lekarze zalecili bańki i pijawki; upuszczali jej krwi, ale dziewczyna wcale nie otwierała oczu. Kobieta z Towarzystwa Opieki nad Chorymi, która doglądała jej nocą, opo-

wiadała, że słyszała za oknem smutne melodie i głos Getsela błagający, aby zdjęła z szyi dziewczyny amulety i wpuściła go. Słyszała także chichot Bejle Cłowe.

Szczeniściem Lejbe Jenteł zaczęła wracać do zdrowia, ale prawie przestała mówić. Siedziała na łóżku i gapiła się w okno. Zima dobiegła końca. Jaskółki powróciły z ciepłych krajów i zaczęły budować gniazda pod okapami dachów. Ze swego łóżka Lejbe Jenteł widziała dach synagogi, gdzie para bocianów naprawiała zeszłoroczne gniazdo.

Reb Szeftel i Zajse Fajge obawiali się, że nikt już nie zechce ożenić się z Lejbe Jenteł, ale Szelmeke Motel napisał z Zawiercia o swej gotowości do małżeństwa, jeśli posag wzrośnie o jedną trzecią. Reb Szeftel i Zajse Fajge wyrazili natychmiastową zgodę. Po Szawuot Szelmeke Motel pojawił się w szydlowieckim domu modlitwy – nie wyższy niż chłopiec z chederu, ale o wielkiej głowie na cienkiej szyi i z mocno skręconymi pejsami, które sterczały jak para rogów. Miał cienkie brwi i ciemne oczy, patrzące w dół, na czubek nosa. Gdy tylko wszedł do domu nauki, wyjął Gemarę i zaczął studiować. Siedział tak, szepcząc i mamrocząc, dopóki nie przyszli go zabrać na ceremonię zaręczyn.

Na zaręczynowy posiłek reb Szeftel zaprosił tylko kilku wybranych, bo odkąd jego córkę opętały dybuki, miał wielu wrogów, zarówno wśród radzywińskich chasydów, jak i tych z Warki. Zgodnie ze zwyczajem, mężczyźni siedzieli przy jednym stole, kobiety przy drugim. Narzeczony wygłosił zaimprovizowane przemówienie na temat Kamiennego Wołu. Takie wykłady trwają zwykle pół godziny, tymczasem minęły już dwie, a oblubieniec wciąż mówił swoim wysokim, świdrującym głosem, pomagając sobie szerokimi gestami. Wykrzywił się, ciągnął pejsy, szczypał w policzek, na którym zaczynała już wyrastać broda, chwycił się za ucho. Od czasu do czasu usta wykrzywił uśmiech, ukazując poczerwiałe, wąskie jak gwoździe zęby.

Lejbe Jenteł ani na chwilę nie spuściła go z oka. Kobiety namawiały ją na ciasto, dżem, miód. Ale Lejbe Jenteł zacisnęła usta i patrzyła.

Goście pokastywali i wiercili się, na wszystkie sposoby dając do zrozumienia, że czas już zakończyć orację, aż wreszcie narzeczony przestał mówić. Przyniesiono mu kontrakt zaręczynowy, lecz nie od razu go popisał. Najpierw przeczytał pismo od początku do

końca. Najwidoczniej był krótkowidzem, bo podniósł kartkę aż pod sam nos. Potem zaczął się targować.

– Tałas ma mieć srebrny warkocz.

– Będzie miał taki warkocz, jakiego sobie zażyczysz – zgodził się reb Szeftel.

– Napisz tak.

Zrobiono dopisek na marginesie. Narzeczony czytał dalej.

– Chcę mieć Talmud drukowany w Słowacji – zaznaczył.

– Bardzo dobrze, będzie ze Słowacji.

– Napisz.

Po wielu targach i poprawkach narzeczony podpisał kontrakt: Szelmeke Motel, syn zmarłej Katriel Godł. Litery podpisu były małeńkie jak kropki po muchach.

Reb Szeftel podał kontrakt Lejbe Jenteł i wręczył jej pióro.

– Nie podpiszę – odezwała się wtedy wyraźnym głosem.

– Córko, przynosisz mi wstyd!

– Nie będę z nim żyła.

Zajse Fajge zaczęła szczypać się w pomarszczone policzki.

– Ludzie, idźcie do domu! – zawołała.

Zdmuchnęła świece w lichtarzach. Niektóre z kobiet rozpaczały wraz ze zhańbioną matką; inne karcity narzeczoną. Lecz dziewczyna nie odezwała się do nikogo. Po niedługim czasie w domu zrobiło się ciemno i pusto. Służąca poszła pozamykać okiennice.

Reb Szeftel zwykle odprawiał modlitwy w synagodze wśród najzacniejszych, ale tego ranka nie pokazał się w świętym miejscu. Zajse Fajge nie wyszła po zakupy. Drzwi domu reba Szeftela były zamknięte, a okna pozastłaniane okiennicami. Szelmeke Motel natychmiast powrócił do Zawiercia.

Po jakimś czasie reb Szeftel znów pojawił się na modlitwach w synagodze, Zajse Fajge znów wychodziła z koszykiem po zakupy, ale Lejbe Jenteł nie pokazywała się już na ulicy. Ludzie myśleli, że rodzice gdzieś ją wywieźli, lecz Lejbe Jenteł siedziała w domu. Nie wychodziła z pokoju i nie chciała z nikim rozmawiać. Gdy matka niosła jej talerz zupy, najpierw pukała, jak to robią wśród szlachty. Lejbe Jenteł ledwie próbowała jedzenia i Zajse Fajge wysyłała resztki do domu dla ubogich.

Jeszcze przez kilka miesięcy swatki przychodziły z propozycjami, lecz odkąd dybuk przez nią przemawiał i ponieważ okryła hańbą narzeczonego, Lejbe Jenteł nie mogła liczyć na dobrą partię. Reb Szeftel próbował uzyskać wybaczenie od młodego człowieka,

lecz ten wyjechał gdzieś do jesiwy na Litwę. Rozpowiadano, że powiesił się na własnym szalu. Stało się wtedy jasne, że Lejbe Jenteł zostanie starą panną. Jej młodszy brat, Cadok Mejer, zdążył już dorosnąć i ożenił się z dziewczyną z Będzina.

Reb Szeftel umarł pierwszy. Miało to miejsce jednej z zimowych nocy, w czwartek. Reb Szeftel wstał do północnych modlitw. Stał przy pulpicie z popiołem na głowie i odmawiał lament na zburzenie Świątyni. Jakiś żebrak spędzał tę noc w domu modlitwy. Około trzeciej nad ranem mężczyzna obudził się i wrzucił do pieca kilka ziemniaków, by je upiec. Nagle usłyszał głuchy odgłos. Wstał i zobaczył, że reb Szeftel leży na podłodze. Spryskał go wodą z dzbana, lecz dusza już odeszła.

Mieszkańcy miasteczka opłakiwali reb Szeftela. Ciało nie zabrano do domu. Aż do czasu pogrzebu leżało w domu nauki ze świecami wokół głowy. Rabi i kilku miejskich uczonych wygłaszali mowy. W piątek Lejbe Jenteł i jej matka odprowadzały trumnę. Lejbe Jenteł od głowy aż po czubki stóp spowijał czarny szal; widać było tylko kawałek jej twarzy, białej niczym śnieg na cmentarzu. Dwaj synowie mieszkali daleko od Szydłowca, a nie dało się odłożyć pogrzebu aż na po szabasie; to zniewaga dla ciała, zwlekać zbyt długo z pochówkiem. Reb Szeftela złożono na spoczynek obok grobu starego rabina. Wszystkim wiadomo, że pochowani w piątkowe popołudnie nie czują ciężaru grobu, bo Anioł Duma odkłada w wigilię szabasu swą ognistą różgę.

Zajse Fajge zwlekała jeszcze kilka lat, ale wiedła dzień po dniu. Gaśła jak świeczka. W ostatnim roku nie uczestniczyła już w interesach, zdając się całkowicie na pomocnika, Zalkinda. Zaczęła wstawać o świcie, by modlić się w żeńskiej synagodze. Często chodziła na cmentarz, gdzie całym ciałem przywierała do grobu reb Szeftela. Umarła nagle, jak jej mąż. Stało się to podczas wieczornych modlitw w Jom Kipur. Zajse Fajge przez cały dzień lamentowała, stojąc przy barierce oddzielającej żeńską część domu modlitwy od męskiej. Sąsiadki, widząc jej woskowoblądą twarz, nalegały, by przerwała swój post, bo ludzkie życie jest ważniejsze od wszystkich praw. Jednak Zajse Fajge odmówiła. Gdy kantor zaintonował „Otwórzcie się bramy Niebios”, Zajse Fajge wyjęła z zanadru fiołkę kropli trzeźwiących. Ale fiołka wypadła jej z rąk, a ona osunęła się prosto na pulpit. Kobiety podniosły krzyk i pobiegły po lekarza, ale Zajse Fajge przeniosła się już do Świata Prawdy.

– Córko moja... – to były jej ostatnie słowa.

Tym razem odłożono pogrzeb aż do przybycia obu synów. Po przyjeździe siedzieli w żałobie z siostrą. Lecz Lejbe Jenteł unikała obcych. Ci, co przyszli modlić się z opłakującymi i pocieszyć ich, zastali tylko Jedydiasza i Cadoka Majera. Lejbe Jenteł siedziała zamknięta w swoim pokoju.

Nic nie zostało z dobytku reb Szeftela. Ludzie szemrali, że pomocnik zagarnął pieniądze do własnej kieszeni, lecz nie dało się tego udowodnić. Reb Szeftel i Zajse Fajge nie prowadzili żadnych ksiąg. Wszystkie rachunki rozpisywali kawałkiem kredy na ścianie szafy. Po siedmiu dniach opłakiwania synowie wezwali Zalkinda na dwór rabina, a on chciał przysięgać w obliczu Świętych Zwojów i czarnych świec, że nie tknął grosza z pieniędzy swych pracodawców. Rabi nie zgodził się na taką przysięgę. Twierdził, że człowiek, który może złamać przykazanie „Nie kradnij”, może równie dobrze postąpić wbrew przykazaniu „Nie wzywaj imienia Boga swego nadaremnie”.

Gdy sąd się zakończył, synowie odjechali do domów. Lejbe Jenteł została ze służącą. Zalkind przejął interesy i posyłał Lejbe Jenteł zaledwie dwa guldeny tygodniowo na żywność. Z czasem odmówił nawet i tego, śląc tylko kilka groszy. Służąca odeszła szukać pracy gdzie indziej.

Teraz Lejbe Jenteł nie miała już posługaczki i zmuszona była pokazywać się na ulicy. Jednak nigdy nie wychodziła za dnia. Opuszczała dom tylko po zmroku, czekając, aż ulice opustoszeją, a ze sklepów znikną klienci. Pojawiała się nagle, jakby znikąd. Właściciele sklepów obawiali się jej. Szczekały za nią psy z chrześcijańskich podwórek.

Latem czy zimą, od głowy aż po czubki palców owijała się długim szalem. Wchodziła do sklepu i zapominała, po co przychodzi. Często dawała więcej pieniędzy, niż od niej chcieli, jakby nie umiała już liczyć. Kilka razy widziano ją, jak kupuje wódkę w gospodzie u gojów. Nocny stróż Tewje słyszał kiedyś Lejbe Janteł spacerującą w nocy po domu. W dodatku mówiła do siebie.

Dobre przyjaciółki Zajse Fajge wiele razy próbowały odwiedzić dziewczynę, ale drzwi zawsze były zamknięte. Lejbe Jenteł nigdy nie przychodziła do synagogi modlić się w święta za dusze umarłych. W miesiącach nisan i elul ani razu nie poszła odwiedzić grobów rodziców. Nie piekła w piątek szabasowego chleba, nie wkładała do pieca na noc pieczeni i prawdopodobnie nie błogosławiła świec. Nawet w święte dni nie zjawiała się w żeńskiej synagodze.

Ludzie zaczęli zapominać o Lejbe Jenteł – jak gdyby umarła. Jednak wciąż żyła. Niekiedy znad komina jej domu unosił się dym. Czasami późną nocą widziano, jak szła do studni po wodę. Ci, którym udało się ją zobaczyć, przysięgali, że nie postarzała się ani o jeden dzień. Jej twarz zbladła nawet jeszcze bardziej, włosy zrudziały i urosły. Mówiono, że Lejbe Jenteł bawi się z kotami. Niektórzy szeptali o jej kontaktach z demonem. Inni sądzili, że to dybuk do niej powrócił. Zalkind wciąż dostarczał do jej domu miarkę mąki, zostawiając ją w spiżarni, u wejścia do sieni. Zaopatrywał też Lejbe Jenteł w drewno na opał.

Początkowo przy tej samej ulicy mieściło się kilka innych żydowskich domostw, lecz stopniowo właściciele wyprzedawali je gojom. Do jednego z domów wprowadził się rzeźnik i wybudował wokół niego wysokie ogrodzenie. Inny zamieszkały był przez głuchą starą wdowę, która spędzała dni sprzedając len. U jej stóp czuwał ślepy pies.

Minęły lata. Któregoś dnia w miesiącu elul, wczesnym rankiem, gdy rabin siedział w domu nauk i pisał komentarze, popijając herbatę z samowaru, zapukał do drzwi nocny stróż Tewje. Opowiedział rabinowi, że widział Lejbe Jenteł na drodze wiodącej do Radomia. Dziewczyna miała na sobie długą białą sukienkę. Szła bosa i bez chustki na głowie. Towarzyszył jej mężczyzna z długimi włosami i pudłem na skrzypce. Księżyc w pełni świecił jasno. Tewje chciał na nich zawołać, lecz, jako że postacie nie rzucały cienia, zdjął go strach. Gdy znowu spojrzął, para zniknęła.

Rabi kazał Tewjemu zaczekać, aż wierni zgromadzą się w synagodze na poranne modlitwy. Wtedy Tewje opowiedział ludziom o dziwnym zjawisku i dwaj mężczyźni – woźnica i rzeźnik – udali się do domu reb Szeftela. Pukali, lecz nikt nie odpowiadał. Wyłamali drzwi i ujrzeni Lejbe Jenteł nieżywą. Leżała na podłodze pomiędzy stertami śmieci, w długiej koszuli i boso, z rozpuszczonymi rudymi włosami. Było jasne, że już od bardzo wielu dni jest martwa – tydzień, a może nawet więcej. Kobiety z towarzystwa pogrzebowego pospiesznie zabrały ciało, żeby umyć umarłą. Gdy przygotowując całun, otworzyły szafę, wyfrunęła z niej chmura moli, wypełniając dom jak chmura szarańczy. Wszystkie ubrania były zjedzone, prześcieradła spleśniałe i zgniłe.

Jako że Lejbe Jenteł nie odebrała sobie życia, a wykazywała wszystkie oznaki szaleństwa, rabin pozwolił pochować ją obok rodziców. Pół miasta odprowadzało ciało na cmentarz. Powiadomio-

no braci i przybyli później, aby sprzedać dom i zamówić kamień na grób siostry.

Każdy się domyślał, że mężczyzną, który ukazał się z Lejbe Jenteł na drodze do Radomia, był umarły skrzypek z Pińczowa. Dunia, była służąca Zajse Fajge, wyjawiała kobietom, że Lejbe Jenteł nie mogła zapomnieć o swoim umarłym narzeczonym Ozerze. Zaś Ozer stał się dybukiem, aby przeszkodzić w małżeństwie ze Szelmelem Motlem. Ale gdzież Ozer, uczony i syn bogatego człowieka, nauczył się grać i zachowywać jak weselny błazen? I dlaczego ukazał się na drodze do Radomia przebrany za skrzypka? I dokąd szedł tej nocy z umarłą Lejbe Jenteł? A co się stało z Bejle Cłowe? Niebios a i ziemia sprzysięgły się, by prawda pozostała na zawsze nieznana.

Minęło jeszcze kilka lat, lecz nikt nie zapomniał o umarłym skrzypku. Słyszano go, jak nocą grał w wyziębionej synagodze. Nikły dźwięk jego skrzypiec rozbrzmiewał w łaźni, w domu dla ubogich, na cmentarzu. Mówiło się w mieście, że przychodzi na wesela. Niekiedy, pod koniec wesela, gdy szydłowiecka kapela przestała już grać, ludzie wciąż słyszeli przeciągłe nuty i wiedzieli, że to umarły muzyk.

Jesienią, gdy opadły liście i wiatry wiały od Gór Świętokrzyskich, w kominach często rozbrzmiewały niskie dźwięki melodii, cieniutkiej jak włos i smutnej jak świat. Słyszały ją nawet dzieci.

- Mamo, kto to gra? – pytały wtedy.
- Śpij, dziecinko. To umarły skrzypek – odpowiadała matka.

WYKŁAD

Jechałem do Montrealu, gdzie miałem wygłosić wykład. Był środek zimy i ostrzeżono mnie, że temperatura jest tam o dziesięć stopni niższa niż w Nowym Jorku. Gazety donosiły o grzęznących w śniegu pociągach i wioskach rybackich odciętych od świata, do których żywność i medykamenty trzeba dostarczać drogą powietrzną.

Przygotowałem się do podróży jak do wyprawy na biegun północny. Na dwa swetry włożyłem ciężkie palto, spakowałem też ciepłą bieliznę i butelkę koniaku, na wypadek, gdyby pociąg utknął gdzieś wśród pól. W kieszeni na piersi miałem rękopis, który zamierzałem odczytać – optymistyczny raport o przyszłości języka jidysz.

Z początku wszystko szło gładko. Jak zwykle na dworzec przybyłem na godzinę przed odjazdem pociągu i dlatego nie mogłem znaleźć bagażowego. Na stacji roiło się od podróżnych, więc przyglądałem się im, próbując odgadnąć, kim są, dokąd zdążają i po co.

Żaden z mężczyzn nie był ubrany tak grubo jak ja. Niektórzy mieli nawet na sobie wiosenne płaszcze. Kobiety wyglądały promiennie i elegancko w swych futrach z norek i bobrów, nylonowych pończochach i szykownych kapeluszach. Niosły kolorowe torby i ilustrowane magazyny, paliły papierosy, śmiejąc się i szczeniąc z tym poczuciem bez troski, które zawsze mnie zadziwiało. To było tak, jakby nie wiedziały nic o problemach świata czy o pytaniach egzystencjalnych, jakby nigdy nie słyszały o śmierci, chorobie, wojnie, nędzy, zdradzie czy nawet o tym, że można nie zdążyć na pociąg, zgubić bilet lub zostać obrabowanym. Flirtowały jak młode dziewczyny, połyskując krwistoczerwonymi paznokcia-

mi. Na stacji panował tego ranka chłód, ale wydawało się, że nikt poza mną tego nie odczuwa. Zastanawiałem się, czy ci ludzie wiedzą, że kiedyś żył Hitler. Czy słyszeli o morderczej machinie Stalina? Może i tak, ale co szkodzi jednemu ciału, że jakieś inne jest torturowane?

Czułem swędzenie pod wełnianą bielizną. Zrobiło mi się gorąco. Jednak od czasu do czasu po plecach przebiegał mi dreszcz. Zastanawiałem się nad wykładem, w którym przepowiadałem jidysz świetlaną przyszłość. Czemu nagle stałem się takim optymistą? Czyż jidysz nie ginie na naszych oczach?

Zawsze wydawały mi się cudem punktualne przyjazdy amerykańskich pociągów i łatwość, z jaką się do nich wsiadało. Pamiętam podróże w Polsce, kiedy to żydowskich pasażerów nie wpuszczano do przedziałów – musiałem wtedy wisieć na poręczach. Pamiętam strajki kolejarzy, gdy pociągi zatrzymywano w połowie drogi na wiele godzin i nie sposób było przepchnąć się w gęstym tłumie do łazienki.

Ale teraz byłem tutaj, usadowiony na miękkim siedzeniu, tuż przy oknie. W przedziale działało ogrzewanie, nie było tobołów, wysokich futrzanych czap, żadnych kożuchów, żadnych pakunków ani żandarmów. Nikt nie jadł chleba ze słoniną. Nikt nie pił wódki z butelki. Nikt też nie pomstował na Żydów za zdradę państwa. Właściwie w ogóle nikt nie mówił o polityce. Gdy tylko pociąg ruszył, olbrzymi Murzyn w białym fartuchu zapowiedział lunch. Pociąg nie łoskotał, lecz sunął gładko po szynach wzdłuż zamrożonej Hudson. Za oknami błyskały światła i lśnił śnieg. Ptaki, które pozostały tu na zimę, latały niespokojnie ponad skutą lodem rzeką.

Im dalej jechaliśmy, tym pejzaż stawał się bardziej zimowy. Pogoda ulegała zmianie co kilka kilometrów. To sunęliśmy przez gęstą mgłę, to się przejaśniało i ponad srebrną dalą znów świeciło słońce.

Nagle pociemniało i zaczął padać śnieg. Zmierzchało. Ekspres nie jechał już, lecz czołgał się powoli i ostrożnie, jakby badał drogę. Wyglądało na to, że w pociągu zepsuło się ogrzewanie. Zmarzłem i musiałem założyć palto. Inni pasażerowie udawali przez chwilę, że nie zauważyli niczego, jakby nie mieli ochoty przyznać zbyt pochopnie, że jest im zimno. Jednak wkrótce zaczęli tupać nogami, narzekać, chichotać nerwowo i szperać w walizkach w poszukiwaniu swetrów, szalików, butów i Bóg wie czego jeszcze.

Podniosły się kołnierze, dłonie wsunęły w rękawy. Na twarzach kobiet stężały makijaże i zaczęły się osypywać jak tynk.

Stopniowo rozwiewa się amerykański sen i wraca cierpka polska rzeczywistość. Ktoś pije whiskey z butelki, ktoś je chleb i parówkę, żeby rozgrzać żołądek. Jest też i tłumek przy toaletach. Trudno zrozumieć, jak to możliwe, ale podłoga w przedziale wilgotnieje, jest zabłocona. Szyby w oknach skuwa lód, a mróz ozdabia wymyślnymi wzorami.

Nagle pociąg staje. Wyglądam na zewnątrz i widzę rzadki las. Drzewa są chude i pokrzywione, i choć pokryte śniegiem, wyglądają goło i żałośnie, jak po pożarze. Słońce wprawdzie już zaszło, ale na zachodzie wciąż połyskują purpurowe plamy. Śnieg nie jest już biały, lecz fioletowy. Wrony przechadzają się po nim, machając skrzydłami, a ja słyszę ich krakanie. Śnieg pada szarymi, ciężkimi bryłami, jak gdyby strażnicy Składnicy Śniegu, tam na górze, byli zbyt leniwi, aby ukształtować go w płatki. Pasażerowie spacerują od przedziału do przedziału, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Konduktorzy i inni pracownicy kolei biegają w tę i z powrotem. Zapytani o coś, nie zatrzymują się, lecz odburkują oschle.

Jesteśmy niedaleko kanadyjskiej granicy i dominium Wuja Sama za chwilę się skończy. Niektórzy pasażerowie zaczynają zdejmować swój bagaż: będą musieli wkrótce pokazać go celnikom. Naturalizowani Amerykanie przygotowują dokumenty stwierdzające ich obywatelstwo i oglądają własne fotografie, chcąc się jakby upewnić, że papier nie jest sfalszowany.

Jeden czy dwóch podróżnych decydują się zejść po stopniach pociągu, lecz toną w śniegu po kolana. Po chwili wspinają się na powrót do wagonu. Zmierzch zwleka jeszcze przez jakiś czas, potem zapada noc.

Obserwuję ludzi, dla których pogoda jest pretekstem do zawierania znajomości. Kobiety zaczynają ze sobą rozmawiać i pojawia się nieoczekiwana zażyłość. Także i mężczyźni utworzyli grupkę. Wszyscy się o coś dowiadują. Każdy komuś coś radzi. Ale na mnie nikt nie zwraca uwagi. Siedzę sam, ofiara własnej izolacji od świata, wstydlivości i alienacji. Zaczynam czytać, a to prowokuje wrogość, bo czytanie książki w takich okolicznościach zostaje poczytane jako zniewaga i wyzwanie rzucone pozostałym pasażerom. Wyłączam się ze społeczeństwa i wszystkie twarze mówią do mnie milcząco: Nie potrzebujesz nas i my nie potrzebujemy ciebie. Jednak to ty będziesz musiał zwrócić się do nas, a nie odwrotnie...

Otwieram swoją wielką, ciężką walizę, wyjmuję butelkę koniaku i popijam po trochu. Potem przywieram twarzą do zimnej szyby i próbuję wyjrzeć na zewnątrz. Ale wszystko, co widzę, to odbicie wnętrza przedziału. Wydaje się, że dookoła świat zniknął. Solipsystyczna filozofia biskupa Berkeley'a przyćmiła wszystkie systemy. Nie pozostaje nic innego, jak czekać, aż boska idea pociągu uwięzionego w zaspach przejdzie w stan boskiej idei ruchu i dobrnie na miejsce.

Biada mojemu wykładowi! Jeśli znajdę się na miejscu w środku nocy, nikt nie będzie na mnie czekał. Przyjdzie mi szukać hotelu. Gdybym choć miał powrotny bilet. Czyż jednak kapitan Scott, zaginiony wśród polarnych lodów, był w lepszej sytuacji po tym, jak Amundsen odkrył biegun południowy? Wiele dałby za to, by móc siedzieć w jasno oświetlonym przedziale pociągu. Nie, człowiek nie powinien grzeszyć narzekaniem.

Koniak rozgrzał mnie. Opary alkoholu unoszą się z pustego żołądka do mózgu. Drzemię i czuwam jednocześnie. Upiływają całe minuty, pozostawiając po sobie tylko mgnienie. Słyszę głosy, lecz zupełnie nie rozróżniam słów. Tonę w upojnej obojętności. Jeśli o mnie chodzi, pociąg może stać choćby trzy dni i trzy noce. Mam w walizce pudełko krakersów – nie umrę z głodu. Po głowie chodzą mi najrozmaitsze myśli. Coś we mnie szepce senne słowa i wyrażenia.

Dieslowski silnik musi się bardzo wyęczać. Dochodzi do mnie skrzypienie, klekot, pomruki jakby olbrzymiego wołu czy mitycznego stalowego byka. Wielu z pasażerów przeszło do baru lub wagonu restauracyjnego, ale ja jestem zbyt leniwy, aby wstać. Wydaje mi się, że wrosłem w siedzenie. Bierze nade mną górę dziecięcy upór: Pokażę im, że żadne wydarzenie nie jest w stanie mnie poruszyć. Jestem ponad zwykłą codzienność.

Każdy, kto przechodzi – z samego końca aż na początek i odwrotnie – spogląda na mnie i wydaje mi się, że każdy tworzy własny sąd o kimś takim jak ja. Ale czy ktoś się domyśla, że jestem żydowskim pisarzem spóźnionym na wykład? Z pewnością nikomu nie przychodzi to do głowy. Wiedzą o tym tylko siły wyższe.

Pociągam kolejny łyk i jeszcze jeden. Nigdy nie umiałem pojąć upodobania do picia, ale teraz widzę, jaka siła tkwi w alkoholu. Ten płyn zawiera w sobie sekrety nirwany. Nie spoglądam już na zegarek. Jest mi wszystko jedno, gdzie będę spał. Kpię w duchu z wykładu, który przygotowałem. I cóż, jeśli się nie odbędzie? Lu-

dzie usłyszą mniej kłamstw! Gdybym mógł otworzyć okno, wyrzuciłbym rękopis precz, między drzewa. Niech papier i atrament zjednoczą się z kosmosem, gdzie nie ma błędów i kłamstw. Atomy i cząsteczki są niewinne; to części boskiej prawdy.

2

Pociąg przybył na miejsce dokładnie o pół do trzeciej. Nikt na mnie nie czekał. Opuściłem stację i uderzył mnie podmuch lodowatego nocnego wiatru, od którego nie uchroni żadne palto ani swetry. Wszystkie taksówki zostały natychmiast rozchwywane. Wróciłem na stację, gotowy przesiedzieć na ławce całą noc.

Nagle spostrzegłem kulawą kobietę i młodą dziewczynę. Patrzyły w moim kierunku i wskazywały na mnie palcami. Przystanąłem i obejrzałem się. Chroma kobieta stała podparta na dwóch krótkich laskach. Była pomarszczona i rozczochrana niczym stare kobiety w Polsce, lecz jej czarne oczy mówiły, że to raczej choroba i załamanie niż starość. Strój także przypominał mi Polskę. Miała na sobie coś w rodzaju futrzanego bezrękawnika oraz buty z obcasami i cholewkami, takie jakich nie widziałem już od lat. Na ramiona zarzuciła wełniany szal obszuty frędzlami, taki jak szal mojej matki. Natomiast młoda kobieta ubrana była szykownie, ale też raczej po słowiańsku.

Po chwili wahania zbliżyłem się do nich.

– Czy pan N.? – zapytała dziewczyna.

– Tak, to ja – odpowiedziałem.

Kulejąca kobieta poruszyła się gwałtownie, jakby chciała odrzucić swoje laski i klasnąć w dłonie. W tym samym momencie wybuchnęła zawodzącym płaczem, tak doskonale mi znanym.

– Dobry Boże na niebie! – zawodziła. – Mówiłam córce, to on, ale zaprzeczała. Poznałam pana! Gdzie pan szedł z tą walizką? To cud, że pan wrócił. Nigdy bym sobie nie wybaczyła! No i co teraz powiesz, Binele? Twoja matka potrafi jeszcze pomyśleć. Jestem tylko kobietą, ale też córką rabina, a uczeni mają oko do ludzi. Raz tylko spojrzałam i pomyślałam sobie – to on! Lecz dziś jajko jest mądrzejsze od kury. Powiedziała: „Nie, to niemożliwe”. I wtedy pan zniknął. Kto wie – przyznawałam już sama przed sobą – jestem tylko człowiekiem, każdy może się pomylić. Lecz gdy zobaczyłam, że pan wraca, byłam już pewna. Drogi panie, czekałyśmy tu na pana od pół do ósmej wieczorem. Nie byłyśmy same; przy-

szała też cała grupa nauczycieli, naukowców, a także kilku pisarzy. Ale gdy robiło się coraz później, ludzie odjeżdżali do domów. Mają przecież żony, dzieci. Niektórzy muszą wstawać rano do pracy. Lecz ja powiedziałam do córki: Nigdzie nie pójde. Nie pozwolę, by mój ulubiony pisarz, którego każde słowo jest dla mnie jak perła, przybył tutaj i nie zastał nikogo. Jeśli chcesz, moje dziecko – powiedziałam do niej – możesz jechać do domu i położyć się. Czym jest sen? Gdy byłam młoda, myślałam, że jeśli nie prześpisz choć jednej nocy, świat się zawali. Lecz Hitler dał nam lekcję. Dał nam lekcję, której nie zapomnę, póki nie położą mi skorupki na pościeli. Patrzy pan na mnie i widzi starą, chorą kobietę, kalekę, ale ja ciężko pracowałam w obozach hitlerowskich. Kopałam rowy i ładowałam wagony kolejowe. Czy było coś, czego nie robiłam? To właśnie tam nabawiłam się reumatyzmu. W nocy spaliśmy na drewnianych pryzkach, zbyt podłych nawet dla psa, i byliśmy tak głodni, że...

– Później będziesz miała dość czasu, by porozmawiać, mame – przerwała jej córka. – Jest środek nocy.

Dopiero wtedy przyjrzałem się jej bliżej. Miała postać i wygląd młodej dziewczyny, ale z pewnością dochodziła już do trzydziestki. Była niska, szczupła, jasne włosy szesane do tyłu upięte miała w kok. Chorobliwie bladą twarz pokrywały piegi. Miała piwne oczy, zaokrąglone czoło, zadarty nos, wąskie wargi i wydłużony podbródek. Dookoła szyi zawiązała męski szalik. Przypominała mi chasydzkiego chłopca.

Tych kilka słów wypowiedziała z prowincjonalnym polskim akcentem, o którym zdążyłem już zapomnieć przez te lata w Ameryce. Sprawiała, że pomyślałem o chlebie razowym, ziarnach kminu, twarogu i o nosiwodach dźwigających wodę ze studni w drewnianych wiadrach, przewieszonych na drążku przez ramiona.

– Dziękuję, ale jestem cierpliwym słuchaczem – powiedziałem.

– Gdy matka zacznie mówić o tamtych latach, może to trwać cały tydzień i jeszcze jeden dzień...

– Cicho, cicho, twoja matka nie jest tak szalona, jak myślisz. To prawda, że zszarpano nam tam nerwy. Dziwię się, że nie biegamy teraz po ulicach kompletnie pomyleni. Ale powiem panu i o niej! Jak ją pan tutaj widzi, ona też była w Auschwitz, czekając na piec. Nie wiedziałam nawet, że żyje. Pewna byłam, że zginęła, i może pan sobie wyobrazić matczyną rozpacz! Myślałam: Poszła w ślad swoich trzech braci. Lecz po wyzwoleniu odnalazłyśmy się. Czego

od nas chcieli, bestie? Mąż mój był świętym człowiekiem, pisarzem. Synowie pracowali ciężko na kawałek chleba, bo wypisywanie mezuz nie przynosiło zbytnich dochodów. Mój mąż zaś częściej pościł, niż jadł. Na jego twarzy malowała się boża łaska. Moch synów pozabijali, mordercy...

– Proszę, mame, przestań.

– Przystanę, przestanę. Zresztą, czy to wiadomo, jak długo jeszcze pożyję? Ale ona ma rację. Przede wszystkim, drogi panie, musimy zadbać o pana. Prezydent podał mi nazwę hotelu – wszystko dla pana zarezerwowali – lecz moja córka nie słyszała, co powiedział, a ja zapomniałam. To zapominanie to całe nieszczęście. Zostawiam coś i nie wiem, gdzie. Wciąż czegoś szukam i tak mijają całe moje dni. Więc może, mój drogi pisarzu, spędzisz tę noc z nami? Nasze mieszkanie nie jest zbyt wygodne – zimne i nędzne. Lecz lepiej chyba u nas niż nigdzie. Zadzwońabym do prezydenta, ale boję się budzić go po nocy. Ma taki temperament! Nie chcę go obrazić, ale wciąż krzyczy, że nie jesteśmy dość cywilizowani. „Niemcy są cywilizowani – odpowiadam mu wtedy – proszę iść do nich...”

– Niech pan jedzie z nami, zaraz będzie świtać – powiedziała do mnie córka. – Powinien był to napisać, zamiast mówić; a jeśli już powiedział, czemu nie mnie, tylko mame. Ona wszystko zapomina. Zakłada okulary i płacze: „Gdzie moje okulary?” Czasami nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Wezmę pańską walizkę.

– Co też pani mówi? Sam mogę ją nieść, nie jest wcale ciężka.

– Nie jest pan przyzwyczajony do dźwigania, a ja tam nauczyłam się nosić ciężkie ładunki. Gdyby pan widział kamienie, które podnosiłam, nie uwierzyłby pan własnym oczom. Mnie samej trudno już teraz wierzyć. Czasem wydaje się, że wszystko to było jakimś złym snem...

– Wielkie nieba, ależ nie będzie pani niosła mojej walizki. O nic więcej nie proszę...

– To dżentelmen, miły i delikatny mężczyzna. Od razu się domyślałam, gdy tylko przeczytałam go po raz pierwszy – wtrąciła matka. – Nie uwierzy pan, ale nawet w obozach czytaliśmy pana opowiadania. Po wojnie zaczęli nam przysyłać książki i trafiła mi się jedna z pana powieści. Nie pamiętam, jaki miała tytuł, ale przeczytałam ją i ciemność ustąpiła z mego serca. „Binele, rzekłam – była już wtedy ze mną – znalazłam skarb.” Takie wypowiedziałam słowa...

– Dziękuję, dziękuję bardzo.

– Proszę mi nie dziękować, proszę nie dziękować. To ja powinienam dziękować panu. Przyczyną wszystkich nieszczęść są ludzie głusi i ślepi. Nie dostrzegają drugiego człowieka, więc się nad nim znęcają. Tułamy się pośród ślepych złoczyńców... Binele, nie pozwól, by nasz drogi gość niósł walizkę...

– Tak, proszę mi ją dać!

Musiałem błagać Binele, żeby zostawiła mój bagaż. Próbowwała niemalże wyrwać mi go z rąk.

Wyszliśmy na zewnątrz i podjechała taksówka. Nie było łatwo wtaszczyć do niej matkę. Wciąż trudno mi zrozumieć, jak dała radę przyjść tu na stację. Musiałem podnieść ją i usadzić w środku. W trakcie tej operacji upuściła laskę, której Binele i ja musieliśmy szukać w śniegu. Taksówkarz zaczął już narzekać i przeklinać w swoim kanadyjskim francuskim. W końcu auto ruszyło, przedzierając się i kręcąc po ledwie oświetlonych ulicach, pokrytych śniegiem i przywalonych górami lodu. Na opony pozakładane były łańcuchy, lecz mimo to taksówka kilka razy wpadła w poślizg.

Wjechaliśmy wreszcie w ulicę, która przypominała małe miasteczko w Polsce: całkowicie zaciemniona, wąska, z drewnianymi domami. Schorowana kobieta pospiesznie otworzyła portmonetkę, ale ja zapłaciłem, zanim zdążyła wydobyć pieniądze. Obie kobiety skarciły mnie, a kierowca domagał się, byśmy wyszli możliwie jak najszybciej. Musiałem dosłownie wynieść z taksówki kaleką kobietę. I znów trzeba było szukać jej laski w głębokim śniegu. Później córka i ja pomogliśmy jej wejść po schodach, na wpół prowadząc ją, na wpół ciągnąc. Otworzyły drzwi i nagle uderzył mnie dawno już zapomniany zapach: spleśniałe ziemniaki, gnijąca cebula, cykorja i coś jeszcze, czego nawet nie umiałbym nazwać. W jakiś cudowny sposób matka i córka potrafiły przywieźć tu ze sobą z ich starego domu w Polsce całą atmosferę skrajnej nędzy.

Zapaliły lampę naftową i zobaczyłem postrzępione tapety na ścianach, podłogę z surowych desek i pajęczyny w każdym kącie. Piecyk naftowy był popsuty, a w pokojach hulał przeciąg. Na ławie stały poobtłukiwane garnki, wyszczerbione talerze, kubki bez uszu. Dostrzegłem nawet miotłę na stercie śmieci. Myślę, że żaden scenograf nie sprawiłby się lepiej, odtwarzając biedę Starego Kraju.

– Co za bałagan, prawda? – poczęła przeproszać Binele. – Tak się spieszyliśmy, jadąc na stację, nie miałyśmy nawet czasu zmyć talerzy. A zresztą, po co tu myć i sprzątać? To stara, podupadła ru-

dera. Właścicielka pamięta tylko o jednym: żeby przyjść każdego miesiąca po czynsz. Jeśli spóźnisz się jeden dzień, gotowa podebrać ci gardło. W końcu jednak, po tym wszystkim, przez co przeszliśmy tam, to pałac...

I Binele roześmiała się, pokazując usta pełne szeroko rozstawionych zębów ze złotymi plombami, które z pewnością zrobione były jeszcze za oceanem.

3

Przygotowały mi posłanie na składanym łóżku w maleńkim pokoiku z okratowanymi oknami. Binele przykryła mnie dwoma kocami, a na wierzchu rozpostarła moje palto. Wciąż jednak było zimno jak na dworze. Leżałem pod tymi wszystkimi okryciami i nie mogłem się rozgrzać. Nagle przypomniałem sobie o moim rękopisie. Gdzie jest tekst wykładu? Miałem go przecież w palcie, w kieszeni na piersiach. Bojąc się wstać, w obawie, że posłanie może się zawalić, próbowałem go odnaleźć, ale nie było. Przeszukałem marynarkę, która wisiała na krześle tuż obok, lecz i tu nie znalazłem. Miałem pewność, że nie schowałem go do walizki, bo otwierałem ją tylko po to, by wyjąć koniak. Zamierzałem otworzyć ją też dla celników, lecz oni tylko pomachali do mnie na znak, że to niepotrzebne.

Pojałem, że tekst zaginął. Ale jak? Matka i córka poinformowały mnie o przełożonym na następny dzień terminie wykładu, tylko co będę czytał? Pozostała jeszcze jedna nadzieja: może tekst wypadł z kieszeni, gdy Binele okrywała mnie paltem. Badałem podłogę, próbując nie narobić hałasu, lecz posłanie skrzypiało przy najmniejszym ruchu. Wydawało mi się nawet, że skrzypi na zapas, gdy tylko zamierzam się poruszyć. Rzeczy martwe nie są wcale takie martwe...

Matka i córka najwyraźniej nie spały jeszcze. Z sąsiedniego pokoju słychać było szept i pomruki. Sprzeczały się o coś po cichu, ale o co?

Pomyślałem sobie, że zaginięcie rękopisu to przypadek freudowski. Od początku nie byłem zadowolony z tego eseju. Jego ton był zbyt podniosły. Ale o czym będę mówił? Popadnę w zakłopotanie już na samym początku, jak ten mówca, który zaczął wykład od: „Perec był osobliwym człowiekiem” i potem nie mógł już wykrztusić ani słowa.

Gdybym tylko mógł zasnąć! Nie zmrzyłem oka także i poprzedniej nocy. Gdy mam publicznie występować, nie mogę spać przez szereg nocy. Strata rękopisu była prawdziwą tragedią! Próbowałem zamknąć oczy, ale same się otwierały. Coś mnie ukąsiło, ale gdy tylko postanowiłem się podrapać, posłanie zatrzęśło się i zawyło jak chory człowiek w boleściach.

Leżałem cichy, napięty, całkiem rozbudzony. Gdzieś z dziury dobiegało skrobanie myszy, a potem usłyszałem dźwięk, jakby jakaś bestia z piłą i kłami zmagająca się z parkietem. Niemożliwe, żeby mysz czyniła taki hałas. Jakiś potwór próbuje podciąć fundamenty domu.

– No tak, ta przygoda będzie moim końcem! – powiedziałem do siebie. – Żywy stąd nie wyjdę.

Leżałem zdrętwiały, nie drgnąwszy nawet. Miałem zatkany nos, więc wdychałem lodowate powietrze ustami. Czułem, jakbym miał zwężone gardło. Chciałem kaszleć, ale obawiałem się obudzić matkę i córkę. Kaszel mógł też spowodować, że łóżko się zawali... Wyobrażę sobie, że podczas wojny przebywam w niewoli hitlerowskiej. Niech i ja tego zakosztuję...

Wyobraziłem sobie, że jestem gdzieś w Treblince czy w Majdanku. Cały długi dzień ciężko pracowałem. Teraz leżę na pryczy. Nazajutrz pewnie zrobią „selekcję” i jeśli nie będę w formie, wyślą mnie do pieca... Pożegnałem się w duchu z kilkoma bliskimi mi ludźmi. Musiałem się zdrzemnąć, bo ubudził mnie głośny płacz.

– Mame! Mame! Mame!... – krzyczała Binele.

Drzwi otworzyły się z hukiem.

– Pomocy! Matka nie żyje! – zawołała.

Chciałem wyskoczyć z łóżka, ale zawaliło się pode mną, i zamiast skakać, musiałem się podnieść.

– Co się stało? – krzyknąłem.

– Jest zimna! Gdzie są zapalki? Niech pan wezwie doktora! Niech pan wezwie doktora! Niech pan zapali światło! O, mame!... Mame! Mame! – wrzeszczała Binele.

Ponieważ nie palę, nigdy nie noszę przy sobie zapalek. W piżamie przeszedłem do sypialni. W ciemnościach zderzyłem się z Binele.

– Jak tu można wezwać doktora?

Nie odpowiedziała.

– Ludzie, ludzie, pomóżcie! – wołała, otworzywszy drzwi na korytarz. – Moja matka nie żyje!

Krzyczała z całych sił, tak jak krzyczą kobiety w małych żydo-

wskich miasteczkach w Polsce, ale nikt nie odpowiadał. Próbowałem szukać zapalek, wiedząc doskonale, że i tak ich nie znajdzie w tym dziwnym domu. Binełe wróciła i znów zderzyliśmy się po ciemku. Przyłgnęła do mnie z nieoczekiwaną siłą.

– Pomóż mi! Pomóż! Nie mam już nikogo na tym świecie! Ona była dla mnie wszystkim! – zawodziła.

I uderzyła w oszalały lament, zostawiając mnie oniemiałego i w osłupieniu.

– Znajdź zapalki! Zaświeć lampę! – krzyknąłem w końcu, choć wiedziałem, że to na marne.

– Proszę wezwać doktora! Proszę wezwać doktora! – jęczała, niewątpliwie zdając sobie sprawę z bezsensowności swego żądania.

Niemal siłą zaciągnęła mnie do łóżka, na którym leżała jej matka. Wyciągnąłem ręce i dotknąłem ciała kobiety. Począłem szukać jej dłoni, znalazłem i próbowałem zmierzyć tętno, lecz nie było żadnego tętna. Ręka zwisała ciężko i bezwładnie. Była zimna, tak jak zimne bywają tylko rzeczy martwe. Wydawało się, że Binełe zrozumiała, co robię, i przez chwilę zachowała ciszę.

– I co, i co? Ona nie żyje?... Nie żyje!... Miała chore serce!... Pomóż mi! Pomóż!

– Cóż mogę pomóc? Nic nie widzę! – powiedziałem do niej, a moje słowa zabrzmiały dwuznacznie.

– Proszę mi pomóc!... Proszę mi pomóc!... Mame!

– Czy są w tym domu jacyś sąsiedzi? – zapytałem.

– Jest pijak nad nami...

– Może on ma zapalki?

Binełe nie odpowiedziała. Nagle pojąłem, jak bardzo jest mi zimno. Powiniennem włożyć coś na siebie, by nie nabawić się zapalenia płuc. Dostałem dreszczy i szcząkałem zębami. Ruszyłem w kierunku pokoju, w którym spałem, lecz znalazłem się w kuchni. Zawróciłem i omal nie przewróciłem Binełe. Była na wpół naga. Nie chcący dotknąłem jej piersi.

– Załóż coś! – powiedziałem. – Przeziębisz się!

– Nie chcę żyć! Nie chcę żyć!... Nie miała prawa iść na ten dworzec!... Błagałam ją, ale ona jest taka uparta... Nic nie zjadła. Nie wypita choćby nawet szklanki herbaty... Co ja teraz zrobię? Dokąd pójdę? O mame, mame!

Wtedy nagle zrobiło się cicho. Binełe poszła pewnie na górę zapukać do drzwi pijaka. Zostałem w ciemności sam na sam z trupem. Opanował mnie dawno zapomniany, paniczny strach. Mia-

łem koszmarne uczucie, że zmarła kobieta próbuje zbliżyć się do mnie, chwycić zimnymi rękoma, przycisnąć mocno i pociągnąć za sobą. Ostatecznie to ja byłem odpowiedzialny za jej śmierć. Wysilek, na który się zdobyła, żeby mnie powitać, zabił ją. Ruszyłem w kierunku drzwi wyjściowych, jakbym gotów był uciec prosto na ulicę. Potknąłem się o krzesło i stłukłem kolano. Za mną rozczapierzały się kościste palce. Przedziwne istoty nawoływały po cichu. Dzwoniło mi w uszach i ślina wypełniała usta, jakbym miał zemdleć. Dziwnym sposobem, zamiast dojść do drzwi wyjściowych, znalazłem się z powrotem w moim pokoju. Zawadziłem o powalone łóżko. Schyliłem się, by podnieść palto z podłogi. Chciałem je założyć. Dopiero wtedy zrozumiałem, jak bardzo zmarzłem i jak zimno jest w tym domu. Czułem na grzbiecie worek lodu zamiast palta. Trząsałem się jak w febrze. Szczękałem zębami, a nogi drżały pode mną. Gotów byłem walczyć z umarłą kobietą, zмагаć się z nią w śmiertelnej potyczce. Poczułem, że moje serce wali zastraszająco głośno i szybko. Żadne serce nie wytrzyma zbyt długo tak gwałtownych uderzeń. Pomyślałem, że zamiast jednego, Binele znajdzie po powrocie dwa trupy.

Usłyszałem rozmowę i kroki, zobaczyłem światło. Binele przyprowadziła sąsiada z góry. Miała na ramionach jakiś męski płaszcz. Sąsiad niósł płonąca świecę. Był olbrzymim mężczyzną, ciemnym, o gęstych czarnych włosach i długim nosie. Przyszedł bosi i w szlafroku nałożonym na piżamę. Mimo paniki uderzył mnie niecodzienny rozmiar jego stóp. Podszedł ze świecą do łóżka, a cienie tańczyły za nim i igrały wzdłuż osmalonego sufitu.

Jedno spojrzenie na kobietę upewniło mnie, że nie żyje. Jej twarz uległa całkowitej zmianie. Wargi stały się dziwnie wąskie i zapadnięte; nie były to już usta, lecz dziura. Żółta, surowa twarz przypominała glinianą maskę. Tylko siwe włosy wyglądały jak żywe. Sąsiad mamrotał coś po francusku. Pochylił się nad kobietą i dotknął jej czoła. Szepnął tylko jedno słowo, a Binele znów zaczęła krzyczeć i lamentować. Próbował do niej przemówić, dodać coś jeszcze, lecz najwyraźniej nie rozumiała jego języka. Wzruszył ramionami, oddał mi świecę i wyszedł. Moja ręka drżała w sposób tak nie kontrolowany, że mały płomień kołysał się we wszystkie strony i prawie zgasł. Nakapałem trochę wosku na szafkę i postawiłem świecę.

Binele zaczęła targać włosy i podniosła lament tak dziki, że aż byłem zły.

– Przestań wrzeszczeć! – krzyknąłem.

Spojrzała na mnie z ukosa wzrokiem pełnym nienawistnego zdumienia i odpowiedziała cicho i spokojnie:

– Była wszystkim, co miałam na świecie...

– Wiem, rozumiem... Ale płacz nie pomoże.

Wydawało się, że moje słowa przywróciły jej zdrowy rozsądek. Stała spokojnie przy łóżku, spoglądając z góry na matkę. Ja stałem po drugiej stronie. Dokładnie pamiętałem nos tej kobiety; mały i krótki. Teraz stał się długi i zakrzywiony, jakby śmierć manifestowała te cechy dziedziczne, które pozostawały ukryte za życia. Na czole i brwiach pojawiły się nowe, męskie rysy. Przez chwilę Binełe wyglądała jak nieprzytomna z żalu. Gapiła się szeroko otwartymi oczami, jakby nie rozpoznawała własnej matki.

Wyrzależem przez okno. Jak długo może trwać noc, choćby i zimowa? Czy słońce nigdy nie wstanie? Czyżby nadszedł czas tej kosmicznej katastrofy, której teoretyczną możliwość wyobraził sobie David Hume? Jednak za oknami właśnie poczęło szarzeć.

Podszedłem do okna i przetałem zamglone szkło. Na zewnątrz noc mieszała się już z blaskami dnia. Na ulicy pojawiły się nieśmiało zarysowane kontury: zaspasy śniegu, małe domki, dachy. Lampa uliczna połyskiwała w oddali, nie dając odrobiny światła. Podniosłem oczy ku niebu. Jedna jego połowa wciąż jeszcze pełna była gwiazd; ale drugą rozświetlał już poranek. Wydawało się, że w kilka sekund zapomniałem o wszystkim, co zaszło, i bez reszty dałem się pochłonać narodzinom nowego dnia. Widziałem, jak gwiazdy odchodzą, jedna za drugą. Czerwone, różowe i żółte smugi przecinały niebo jak na dziecięcym obrazku.

– Co ja teraz zrobię? Co ja teraz zrobię? – zaczęła znów płakać Binełe. – Do kogo się zwrócę? Dokąd pójdę? Proszę wezwać doktora! Trzeba wezwać doktora!

I rozszlochała się.

– Co nam teraz doktor pomoże? – zwróciłem uwagę.

– Trzeba przecież kogoś wezwać.

– Masz jakichś krewnych?

– Żadnych. Nie mam nikogo na świecie.

– A co z członkami waszego klubu czytelników?

– Nikt z nich nie mieszka tu w sąsiedztwie...

Przeszedłem do mego pokoju i zacząłem się ubierać. Wszystko było lodowate. Garnitur, prasowany przed podróżą, zdążył pognieść się całkowicie. Pantofle wyglądały jak niewydarzone bucio-

ry. Spojrzałem w lustro i doznałem szoku na widok swojej twarzy. Brudna, szara jak papier, wychudzona, pokryta sterczącym zarostem. Za oknami znów zaczął padać śnieg.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytałem Binele. – Jestem tutaj obcy. Nie wiem, do kogo mógłbym się zwrócić.

– O, ja nieszczęśliwa! Jak ja pana krzywdzę! Został pan ofiarą mojego nieszczęścia. Wyszłabym zadzwonić po policję, ale nie mogę zostawić matki samej.

– Zostanę tutaj.

– Naprawdę? Uwielbiała pana. Ani na chwilę nie przestała o panu mówić... Przez cały wczorajszy dzień...

Usiadłem na krześle, odwracając wzrok od zmarłej kobiety. Binele ubrała się. Normalnie bałbym się zostać sam z trupem, ale byłem na wpół zamarznięty i śpiący. Wyczerpała mnie ta nieszczęsna noc. Popadłem w głęboką rozpacz. Dużo, dużo czasu minęło, odkąd po raz ostatni widziałem tak straszną nędzę i tak wielką tragedię. Wydawało się, że ta jedna noc wymiotła z mojego życia wszystkie te lata w Ameryce i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powróciłem do najgorszych dni w Polsce, do najbardziej gorzkiego okresu w moim życiu. Usłyszałem, że Binele wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Nie mogłem już dłużej wysiedzieć w pokoju z umarłą. Wybiegłem do kuchni. Otworzyłem drzwi wiodące na schody. Stałem tak, gotów do ucieczki, gdy tylko trup zacznie swoje sztuczki, których tak bardzo lękam się już od dziecka... Powtarzałem sobie, że to głupie bać się tej uprzejmej kobiety, kaleki, która kochała mnie za życia i która zapewne i teraz nie czuje do mnie nienawiści, jeśli umarły człowiek w ogóle coś czuje. Ale powróciły do mnie wszystkie chłopiące lęki. Żebra miałem zmrożone; jakby poruszały się po nich jakieś lodowate palce. Moje serce tłukło i trzepotało jak sprężyna w zepsutym zegarku... Czekałem w napięciu. Najmniejszy szelest i rzuciłbym się po schodach w panicznym strachu. Szyby w drzwiach wyjściowych na dole były szklane, lecz na wpół zamarznięte, na wpół zamglone. Przejierało przez nie słabe światło, jak o zmierzchu. Z dołu docierało lodowate zimno. Nagle usłyszałem kroki. Trup? Chciałem uciekać, ale zrozumiałem, że kroki rozbrzmiewają piętro wyżej. Zobaczyłem, że ktoś schodzi. To sąsiad z góry szedł do pracy, potężny mężczyzna w gumowych butach i paltocie z czymś w rodzaju kaptura. W rękach niósł blaszane pudełko na lunch. Spojrzał na mnie z zaciekawieniem i zaczął coś

mówić w kanadyjskim francuskim. Dobrze było znaleźć się w towarzystwie drugiej ludzkiej istoty choć na chwilę. Pokiwałem głową, poruszyłem dłońmi i odpowiedziałem mu po angielsku. Usilnie próbował powiedzieć coś w obcym mi języku, jakby myślał, że jeśli posłucham uważniej, w końcu go zrozumie. Nareszcie wymamrotał coś i rozłożył ręce. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Teraz zostałem już zupełnie sam w całym domu.

Co będzie, jeśli Binele nie wróci? Zacząłem bawić się myślą, że mogła uciec. Może oskarżą mnie o morderstwo? Na tym świecie wszystko jest możliwe. Stałem wpatrzony w drzwi wyjściowe. Marzyłem teraz tylko o jednym – jak najszybciej wrócić do Nowego Jorku. Dom, praca, wydały mi się tak odległe i niematerialne, jak pamięć o poprzednich wcieleniach. Kto wie? Może to całe moje życie w Nowym Jorku było tylko halucynacją? Zacząłem szperać w kieszeni na piersi... Czyżbym razem z tekstem wykładu zgubił i paszport? Poczuję sztywny papier. Dzięki Bogu, paszport na miejscu. A przecież także mógł zginąć. Teraz ten dokument był świadkiem, że lata spędzone w Ameryce nie są li tylko wymysłem.

Oto moja fotografia. A tu podpis. I wreszcie stempel rządowy. Co prawda, wszystko to również jest martwe, bezduszne, ale symbolizuje porządek, poczucie przynależności, prawo. Stałem w drzwiach i po raz pierwszy naprawdę czytałem dokument, który czynił mnie obywatelem Stanów Zjednoczonych. Byłem tak tym pochłonięty, że prawie zapomniałem o zmarłej kobiecie. Potem otworzyły się drzwi wyjściowe i zobaczyłem Binele, całą w śniegu. Miała na sobie ten sam szal, w którym widziałem wczoraj jej matkę.

– Nie mogłam znaleźć telefonu!

Wybuchnęła płaczem. Zszedłem po nią, wsunąwszy paszport z powrotem do kieszeni. Wróciło życie. Minał nareszcie długi nocny koszmar. Objąłem Binele, a ona nie próbowała się wyrwać. Zamokłem od topniejącego śniegu. Staliśmy tak pośrodku schodów i kołysaliśmy się przytuleni – zagubiony żydowski pisarz oraz ofiara Hitlera i mojego nieszczęsnego wykładu. Zauważyłem numer wytatuowany powyżej jej nadgarstka i usłyszałem, jak mówi: „Binele, nie opuszczę cię. Przysięgam na duszę twojej matki...”

Ciało Binele omdlało w moich ramionach.

– Czemu to zrobiła? Czekala tylko na twój przyjazd... – wyszeptała, podnosząc wzrok.

KUKKURYKUU

Kukkurykuu! W waszym języku oznacza to, że czas wstać, że czas powiedzieć sobie dzień dobry, że w Pińczowie zaczyna się dzień. Jakże wielu słów wy, ludzie, używacie! Dla nas jedno kukkurykuu wystarczy za wszystko. A jak wiele może to znaczyć! Wszystko zależy tylko od melodii, akcentu, tonu.

Znam wiele języków, gdyż jestem prawnikiem koguta, któremu za grzędę służył tron króla Salomona. Dlatego oświadczam wam, że jedno kukkurykuu jest więcej warte niż tysiąc słów. I nie tyle chodzi o sam dźwięk, ile o to, jak załopoczą skrzydła, jak zadrży grzebień, jakim blaskiem oko załśni i jak nastroszą się pióra na karku.

Mamy nawet to, co wy nazywacie dialektami. Litwacki kogut pieje kukeriku, polski kukuryku, a niektóre potrafią nawet piać kokeriko. Każdy ma na to swój sposób przekazywany z pokolenia na pokolenie. Co więcej, nawet ten sam kogut za każdym razem pieje inaczej. Jednak trzeba mieć bardzo dobre ucho, by rozemnać się w tych szczegółach.

Po kądzieli spokrewniony jestem ze starożytnym Kogutem Prorokiem. Zamknijcie mnie w ciemnej klatce, a z samego tylko tonu koguciego piania i kurzego gdakania wywróżę wam, czy dnieje, czy też zmierzcha, czy niebo jest czyste, czy pochmurne, czy jest ciepło, czy też ma się na mróz, albo czy pada deszcz, śnieg czy grad. Moje ucho mówi mi też o księżycu; jest w pełni, w kwadrze, czy też w nowiu. Nawet zaćmienie słońca mogę przepowiedzieć. Wiem tysiące rzeczy, o których wam się nawet nie śni. Wy zbyt wiele mówicie. Toniecie we własnych słowach. A w naszym jednym kukkurykuu kryją się wszystkie mądrości.

Nie urodziłem się wczoraj. Napatrzyłem się trochę na ten kurzy i koguci świat. Widziałem wykastrowanego i tuczonego koguta. Wiem, jaki jest tego koniec: śmierć. Czy złożą ze mnie ofiarę na Jom Kipur, czy też zostawią w spokoju do Pesach, Sukot lub szabasu „Pieśni Mojżeszowej o Morzu Czerwonym”, i tak rzeźnik czeka, nóż jest ostry, wszystko przygotowane: sączek, deska, so-sjerka, rondel albo piekarnik.

Śmietnik wypełnia się naszymi głowami i wnętrznościami. Każda pożał-się-Boże gospodyni zabiera sobie jedno z naszych skrzydeł na miotłkę. A nawet gdybym jakimś cudem uniknął rzeź-nickiego noża – i tak przecież nie będę żył wiecznie. W każdej chwili jakiś gwóźdź może utkwic mi w grdyce, mogę udławić się ziarnem. Mogę dostać – czego wam nie życzę – wrzodów na jeli-tach. Mogę połknąć drut, kamyk, igłę czy małego węża. Tak czy siak, w garnku kończy każdy ptak.

Więc cóż? Kukkurykuu odpowiada na wszystkie pytania, roz-wiązuje wszystkie zagadki. Kogut może zginąć, ale kukkurykuu jest nieśmiertelne.

Nasz koguci ród piał na długo przed Adamem i, dzięki Bogu, nie przestanie, nawet gdy ślad już zaginie po wszystkich rzeźnikach i żarłocznych amatorach kurcząt. Czym więc jest kogut, czym ku-ra? Niczym więcej aniżeli siedliskiem dla kukkurykuu, którego nie zgładzi żaden rzeźnik na świecie.

Istnieje Niebiański Kogut – na jego podobieństwo zostaliśmy stworzeni, jest także niebiańskie kukkurykuu. Kogut na Wysoko-ściach przemawia przez nasze grdyki, przez nas odprawia swe noc-ne obrządki, budzi się z nami do modlitw, kiedy poranne gwiazdy rozpoczynają wspólny śpiew. Wy, ludzie, łamiecie sobie głowę nad tajnikami Kabały. A my nosimy Kabałę w szpiku naszych kości. Czym jest kukkurykuu? Magicznym słowem.

Może zdradzam sekrety. Ale do kogóż przemawiam? Do uszu, które nie słyszą. Wasi przodkowie nigdy nie potrafili zgłębić taje-mnicy kukkurykuu; wy z pewnością również nie dacie rady. Podo-bno w dalekich krajach mają takie maszyny, w których kury wy-kluwają się milionami. Wywozi się je później taśmowo. Rzeźnia jest wielka jak nasze targowisko. Jeden pomocnik wiąże, inny ści-na, a jeszcze inny skubie. Wielkie kadzie wypełniają się krwią. Fruwają pióra. W każdej chwili oddaje ducha tysiąc ptaków. I cóż, czy rzeczywiście mogą z nami skończyć w ten sposób?

Właśnie teraz, gdy mówię, poczułem pod skrzydłem jakieś śwę-

dzenie. Chcę się powstrzymać, ale nie mogę. Coś łaskocze mnie w gardle, język drży, dziób swędzi, a grzebień płonie. Czuję dreszcze w każdym piórze. To się musi wydostać! Kukkurykuu!

2

Macie takie powiedzenie: kurzy mózdzek. I ja, kiedy byłem młodym kogutem, miałem kurę za nic. Bo czymże jest kura? Ani grzebienia, ani ostróg, bury ogon i słabe pazury. Przegdacze kilka swoich lat, zniesie jaja, wysiedzi je, pocierając ziemię siedzeniem, poobnosi się ze swoją świętoszkowatą naturą.

Już w młodym wieku zacząłem dostrzegać hipokryzję kur. Przed każdym biją pokłony. Pomiędzy nimi, na ich własnym podwórku, rządzi ta, która silniejsza. Nienawidzę plotek, a kura właśnie nie potrafi utrzymać języka na wodzy. Ko-ko i ko-ko. Mam taką zasadę – nie gadaj zbyt wiele z kurami. To prawda, że nie da się jednak bez nich wytrzymać. Każdy ma matkę. I cóż z tego? Nie można przecież przez całe życie chować się pod matczynym skrzydłem.

Ale to jest zarozumiałstwo młodych kogutów. Z wiekiem pojąłem, że tak właśnie być musi. Wszędzie na ziemi, a także w niebie, istnieje płeć męska i żeńska. Wszystko łączy się w pary, od muchy po słońca, od Koguta na Wysokościach po zwykłego kurczaka. To prawda, że ko-ko to nie to samo co kukkurykuu, ale też nie jest to powód, by kurą gardzić.

Wasi tak zwani filozofowie uwielbiają pytać: co było pierwsze, jajko czy kura? Rozgadane kury kłócą się bez końca: co było pierwsze, kukkurykuu czy ko-ko? Ale to tylko czcze gadanie. Moim zdaniem nie było żadnego pierwszego jajka, ani też nie zanosi się, by miało być ostatnie. Pierwsze jest ostatnim, a ostatnie pierwszym. Nie rozumiecie? Odpowiedź brzmi: kukkurykuu.

Mam pięć żon, a każda z nich to odrębny rozdział. Kara jest księżniczką. O jej pochodzeniu nic nie wiem. Jest gruba, miła w obejściu, ma złote oczy i serce pełne spokoju. Nie spoufala się z innymi kurami. Gdy gospodyni rzuca garść prosa, motłoch pędzi do niego na oślep, ale Kara jest cierpliwa i pełna wiary. I tak dostanie ziarno dla niej przeznaczone. Jest bardzo schludna, nie ogląda się za innymi kogutami, unika sprzeczek. Ma prawo dziobać wszystkie rywalki, lecz uważa, że uwłacza jej godności wdawanie się w potyczki z każdą głupią kurą. Gdacze mniej niż inne, a jajka,

które znosi, są duże i białe. Nie czuję do niej wielkiej namiętności, ani też ona do mnie, ale mam z nią więcej kurcząt niż z którąkolwiek inną. Każdego roku Kara wysiaduje dwa tuziny jaj i bez słowa skargi wypełnia wszystkie kurze obowiązki. Kiedy przestanie już nieść, zabiorą ją i będzie z niej tłusty rosół. Przypuszczam, że ona nawet nie wie, że istnieje coś takiego jak śmierć, lubi się przecież bawić porozrzucanymi tu i ówdzie wnętrznościami swoich siostr. Taka jest Kara.

Cip jest jej zupełnym przeciwieństwem: czerwona, chuda, koścista, wrzaskliwa, żarłoczna i zazdrosna – ogień i płomień. Rozstawia po kątach wszystkie kury, ale mnie kocha do szaleństwa. Niech no tylko zobaczy, że nadchodzę, zaraz się zrywa i rozpościera skrzydła. W waszym języku nazwalibyście ją rozpustnicą, ale ja jej wszystko wybaczam. Cała drży, gdy się porusza. Jej jajka są małe i mają krwiste plamki. Odkąd ją znam, nigdy nie przestaje wrzeszczeć. Biega po podwórzu, jakby była jego jedyną właścicielką. Wciąż narzeka i narzeka. Ta ją dziobnęła, tamta uderzyła, trzecia znów skubnęła jej pierś, a czwarta zrabowała okruh spod dzioba. Składa jaja i nie pamięta gdzie. Próbuje latać, nieomal łamiąc sobie nogi. Już to jest na drzewie, już na dachu. W nocy, w kurniku, nawet oka nie zmruży. Niecierpliwi się, gdacze, miejsca sobie znaleźć nie może. Cóż, w starym piecu diabeł pali. Dawno już by ją zarznęli, gdyby nie stała się tak koścista, spalając się od wewnątrz za życia – no i po co? To właśnie Cip.

Czip jest zupełnie białą, wielkoduszną kurą, dobrą jak słoneczny dzień, cichą niczym gołąbek. Od kłótni ucieka jak od ognia. Przy najmniejszym hałasie przestaje się nieść. Kocha mnie czystą miłością, uważa, że uganiem się za kurami, lecz nie robi o to awantur. Gdacze, wydając miękki, gardłowy dźwięk, i z każdym dniem staje się grubsza.

Gdy przyjdzie jej ochota siedzieć na jajach, a nie ma nic do wysiadywania, potrafi przycupnąć na zwykłym białym kamieniu, nie jest zbyt rozgarnięta. Kiedyś wysiedziała trzy kacze jaja. Dopóty myślała, że to kurczęta, dopóki małe nie poszły do wody; a kiedy zaczęły pływać, prawie przypłacała to życiem. Czip stała u brzegu, a jej matczyne serce omal nie pękło. Próbowałem jej wytłumaczyć, czym jest bękart, ale spróbuj pogadać z przestraszoną matką.

Dla jakiejś niezrozumiałej przyczyny Czip pokochała Cip i robi wszystko, aby ją uszczęśliwić. Za to Cip jest jej śmiertelnym wrogiem. Na miejscu Czip każdy już dawno wydrapałby oczy tej nie-

wdzięcznicy; ale Czip jest dobra i nie oczekuje za to nagrody. Jest pełna miłosierdzia, które pochodzi od Niebiańskiego Kurczęcia. Taka jest Czip.

Pre-pre to najpaskudniejsza kura spośród wszystkich, które znam. Ma wszelkie wady, które tylko kura mieć może. Czarna jak węgiel, chuda jak patyk, złodziejka, plotkara, a do tego ślepa na jedno oko po walce z pierwszym mężem, niech mu gnój lekkim będzie. Zadaje się z obcymi kogutami, zakrada na cudze podwórka, grzebie we wszystkich odpadkach. Ma koguci grzebień i głos jak u koguta. Gdy księżyc jest w pełni, pieje jak opętana przez dybuka.

Znosi jajko i pożera je sama albo rozdziubuje w imię zwykłej złości. Nienawidzę jej, tej czarnej córki czarnej matki. Ileż to razy postanawiałem zerwać z tą wiedźmą, ale gdy przychodzi na nią czas, zaczyna się wdzięczyc, pochlebiać, wpatrywać się w oczy jak żebrak.

Nie mam wojowniczej natury, ale Pre-pre budzi we mnie złe instynkty. Złapałem ją kiedyś za pióra na głowie i wlokłem po całym podwórzu. Moje pozostałe żony unikają jej jak zarazy. Wielokrotnie nasza gospodyni chciała ją złapać i oddać do rzeźnika, ale zawsze gdzieś się błąka, gdy jej szukają, tej latawicy, tej diabła wartej kury. Oto Pre-pre.

Kluckele to moja mała córeczka. Jej matką jest Kara, a ojcu nie wypada plotkować na własną córkę, nawet jeśli jest jego żoną. Patrzą na nią i oczom nie wierzą: kiedy ona tak wyrosła? Wydaje się, że nie dalej jak wczoraj była malutkim kurczątkiem, dopiero co wyklutym, ledwo opierzonym. A teraz jest już kokietką, już zna się na kurzych zalotach, znosi jaja, chociaż małe. Wkrótce będę ojcem swoich własnych wnucząt.

Kocham ją, ale przypuszczam, że jej małe serduszko należy do innego koguta, tego zezowatego idioty z za ogrodzenia. Nie mam pojęcia, co ona widzi w tym niechlujnym włóczędździe. Ale skąd kogut może wiedzieć, co kura widzi w innym? Byle piórko w ogniu może jej zawrócić w głowie. Albo ząb w grzebieniu, albo ostroga, a może nawet sposób, w jaki grzebie pazurem w piasku, wzniecając kurz.

Jestem dla niej dobry, ale ona tego nie docenia. Udzielam jej rad, lecz nie chce mnie słuchać. Strzegę jej jak oka w głowie, a ona wciąż szuka przygód... To młode pokolenie jest zupełnie zepsute, lecz co mogę na to poradzić? Jednego tylko pragnę; oby żyła tak długo jak ja. Nie mam wpływu na to, co stanie się potem.

3

Wasi znawcy Kabały wiedzą, że podstawą kukkurykuu jest wiara. Bo i cóż by innego, logika? Ale wiara sama w sobie miewa różną moc. Mała kogucia wiara może się wyczerpać, a wtedy kogut poddaje się rezygnacji. Kładzie skrzydła po sobie, jego grzebień płowieje, oczy tracą blask, a głos więźnie gdzieś w trzewiach. Po co pisać? Dla kogo i jak długo? Koguty pisały już od starożytnych czasów, no i po co? Kiedy ktoś zaczyna rozmyślać nad czasem, źle się dzieje. Niekiedy kogut nawet sobie popłacze. Tak, koguty zdolne są do płaczu. Posłuchajcie czasem koguciego piania nocą, przed Jom Kipur, kiedy wy, ludzie, odmawiacie nocne modlitwy. Gdyby wasze ludzkie uszy mogły usłyszeć nasz lament, odrzucilibyście precz wszystkie rzeźnicze noże.

Ale pozwólcie, że opowiem, co się zdarzyło.

Noc była ciemna. Cały kurzy ród drzemał lub udawał, że śpi. Działo się to podczas dziesięciu Dni Pokutnych przed ofiarą z drobiu na Jom Kipur. Przez cały dzień upał dawał się we znaki. W nocy chmury zasnuwały niebo, przesłaniając srebro księżyca. Powietrze było gorące i wilgotne jak błoto w kaczym stawie. Błyskało, ale nie było grzmotów ani deszczu. Ludzie pozamykali okiennice i chrapali pod pierzynami. Trawa zamarła w bezruchu, liście na jabłoniach zwisały nieruchomo, nawet koniki polne zasnęły. Żaby na bagnach milczały, krety odpoczywały w swych norkach.

Wszystko zastygło w ciszy. Wszystko wstrzymało oddech. Było tak, jakby świat zadał ostateczne pytanie i czekał na odpowiedź; tak lub nie, w lewo lub w prawo. Bez tego sprawy nie potoczą się dalej. Jeśli nie nadejdzie jasna odpowiedź, świat cofnie się do pierwotnego chaosu. Nie poruszyłem się. Moje serce przestało bić, krew nie płynęła. Wszystko zamarło. Była północ, a ja nie czułem potrzeby piania. Czyżby nadszedł koniec?

Nagle łopot skrzydeł i skądś, tuż obok, rozległo się: kukkurykuu! Zadrżałem. Cały zamieniłem się w słuch. To było stare kukkurykuu, ale o nowym znaczeniu. Nie, nie stare, nowiuteńkie jak spod igły: nowy styl, inne brzmienie, odmienna melodia. Nie wiedziałem, co ono wyraża, ale nagle wszystko stało się jasne, poczułem się odrodzony. Czy to możliwe? – pytałem sam siebie. Miliony pokoleń kogutów już pisały, ale nigdy w ten sposób. To, co słyszałem, otworzyło mój umysł, rozradowało serce. Rozbłysnęło nadzieją i szczęściem. Czy to się rzeczywiście zdarzyło? – pytałem.

A ja, co za głupiec ze mnie, wątpię. Czułem jednocześnie wstyd i radość. Też chciałem pisać, ale zbyt byłem zawstydzony. Cóż mogłem dodać do tego, co tamten powiedział?

– Co to? – spytała Cip, która właśnie się obudziła.

– Nowy głos, nowe słowo – powiedziałem. – Niechaj nasz kury ród połączy się w dziękczynieniu. Nie na darmo żyliśmy.

– Kim on jest, gdzie on jest? – ocknęła się Cip.

– Co to za różnica, kim on jest? Siła tkwi w pianiu, a nie w kogucie.

– Ale...

Nie odpowiedziałem. Zamknąłem oczy. Pianie ucichło, lecz jego echo pobrzmiwało jeszcze w ciszy pośród drzew, dachów, kominów, ptasich domostw. Śpiewało jak skrzypce, dźwięczało jak dzwonek, rezonowało jak róg. Śpiewało tak bez końca.

Pies w budzie zerwał się ze snu i zaszczeakał. Zakwiczała świnia w chlewie, koń w stajni załomotał kopytem o ziemię. Chmury na niebie rozstały się, ukazując księżyc biały jak kreda. Pomyślałem przez chwilę: kto wie, może tylko wyobraziłem sobie to wszystko? Co prawda kury również coś słyszały, ale może to był sen, może tylko wiatr. Przypuśćmy, że to było wycie wilka, dźwięk trąbki, myśliwskie wezwanie albo krzyk pijaka.

Wprawdzie ptactwo przez całe życie oczekuje cudu, jednak teraz, kiedy właśnie się zdarza, nie może weni uwierzyć. Spodziewałem się, że inne koguty odpowiedzą tamtemu, jak zawsze, ale nie usłyszałem żadnego dźwięku. Czyżby powyrzynali wszystkie koguty, a tylko tego jednego zostawili? Może mnie samego też już zarżnęli, a głos, który słyszałem, był tylko marzeniem ściętej głowy? Ten bezruch był nie z tego świata. Wbiłem dziób między pióra i uszczypnąłem się, sprawdzając, czy zaboli. Nagle: kukkurykuu! To był ten sam kogut i to samo pianie. Nie, nie to samo, już odmienione w pieśń, która rozdziera duszę, by tchnąć w nią nowe życie; w melodię, która wznosi kogucie serce na wysokości niedostępne orłom, ponad najwyższe wieże, wszystkie chmury, do światłości, wobec której błędną gwiazdy.

Wszystkiego, co wiem, nauczyłem się tamtej nocy. Nie mogę wyjawiać sekretów – mam związany dziób – ale istnieje takie kukkurykuu, które naprawia każde zło, wybacza każdy grzech, prostuje wszystkie kręactwa. Kukkurykuu wszystko obejmie: rzeźnika i ptaka, nóż i gardło, pióra i skubiącego, krew w żyłach i krew w rowie. Piej, kogucie, i o nic nie pytaj! Musimy się zgadzać na

wszystko: na kogucie pianie i kurze gdakanie, na wysiadywane jajko i na to zjadane, na rozdeptane oraz to z krwawą plamką w środku.

Śpiewaj, kogucie, chwal Boga, Kochaj swoje kury, nie zaczynaj z innymi kogutami, jeśli cię nie atakują. Jedz swoje ziarno, pij wodę, stój na wierzchołku dachu i piej, jak gdyby cały świat – jak długi i szeroki – właśnie na to czekał. Bo naprawdę czeka. Bez twego piania czegoś by brakowało. Nie rozumiesz? Z bożą pomocą zrozumiesz. Masz wieczność za sobą i wieczność przed sobą. Przebrniesz przez wiele żywotów. Gdybyś wiedział, co cię czeka, umarłbyś ze śmiechu. Ale tak się nie stanie. Pókiś żywy, musisz żyć...

Przez całą noc tamten kogut piał i żaden inny nie ośmielił się mu odpowiedzieć. Był pierwszym w chórze, ale bez chóru. O brzasku, kiedy na wschodzie zaczynało różowieć, zapiał po raz ostatni, wydając dźwięk najgłębszy, najcudowniejszy, najbardziej boski.

Następnego dnia wielkie było poruszenie wśród kogutów z sąsiedztwa. Niektóre przysięgały na swe grzebienie i ostrogi, że niczego nie słyszały. Inne przyznawały, że owszem, słyszały, ale na pewno nie był to kogut. Co do kur, o wszystkim zapomniały. Czego ten kurzy ród nie zrobi, by uniknąć prawdy? Prawdy boją się bardziej niż noża i w tym tkwi niezgłębiona tajemnica.

Ale od czasu, kiedy piał tamten kogut – niechaj będzie błogosławione jego imię – a mi dane było słyszeć i zapamiętać, wciąż pragnę o tym rozpowiedzieć, szczególnie w wigilię Jom Kipur. Szczęśliwy ten, kto wierzy. Nadejdzie czas, kiedy wszyscy zobaczą i usłyszą, a kukkurykuu Koguta na Wysokościach rozdzwoni się w niebie i na ziemi.

Kukkurykuu!

PLAGIATOR

Rabi Mohylewa, reb Kazrijel Dan Kinsker, przechadzał się w tę i z powrotem po swym gabinecie. Od czasu do czasu przystawał, zaciskał lewą dłoń na białej brodzie, po czym puszczał ją gwałtownie, rozczapierzając wszystkie pięć palców w geście, który czynił zawsze, gdy stawał oko w oko z problemem.

– Jak on mógł zrobić coś takiego? – pytał sam siebie. – Spisał dokładnie słowo po słowie!

Rabi miał na myśli jednego ze swych uczniów, Szabsaj Getsela. Ów Szabsaj Getsel studiował wraz z rabinem przez kilka lat i często korzystał z rękopisów nauczyciela. Mówiąc szczerze, sam rabin prosił go nawet o przepisanie kilku swoich wypowiedzi.

Reb Kazrijel Dan przez ostatnich czterdzieści lat pisał homilie i komentarze do tekstów talmudycznych, ale nigdy dotąd nie mógł się zebrać, by opublikować choćby jedną ze swych prac. Miał na uwadze pewien wers z Eklezjasty: „A zatem, mój synu, pamiętaj – gdy zaczniesz mnożyć książki, nie ma temu końca”.

Autorzy napływali do Mohylewa, by sprzedać subskrypcje na nie wydane jeszcze książki lub zbierać pieniądze na wydrukowanie swych prac. Niektórzy prosili reb Kazrijela o pochlebne wstępy. Byli to ci, których rozważania zupełnie rozmijały się z wymową tekstów Talmudu. Piętrzyli oni sofizmat na sofizmacie i przypisywali słowom przodków znaczenia, których nigdy nie miały.

Rabi wahał się, zanim odmówił napisania takiej przedmowy, ażeby jego niechęć nie została poczytana za atak na autora. Ale z drugiej strony zachwalać pracę, której nie mógł zaakceptować, było równie złe. Poza tym czytanie takich rękopisów wymagało dużo czasu i dobrego wzroku. Niektóre z nich trudno było wprost

rozszyfrować, tak były upstrzone uwagami nagryzmołonymi na marginesach. Kiedykolwiek zaś pojawiało się pytanie, dlaczego sam nie wydał żadnej książki, reb Kazrijel Dan zwykł odpowiadać: „Jest, dzięki Bogu, dość książek i bez mojej. Niech Żydzi zostaną przy tym, co już napisano”.

Rabinowi przyszła na myśl jedna z przesiąkniętych mądrością interpretacji Biblii, dokonanych przez jego dziadka. „Napisane jest w Psalmach, że kiedy Mesjasz nadejdzie, «Wszystkie drzewa w lesie będą się radowały». Powstaje pytanie: Dlaczego drzewa miałyby się radować? Co im do tego? Chodzi o to, że do czasu przybycia Mesjasza autorzy napiszą jeszcze tyle tomów, że później książki zapewnią całkowicie opał potrzebny do pieców. Dzięki temu zniknie potrzeba palenia lasów, a drzewa będą się radowały ocaleniem.”

Wszystko to bardzo piękne, ale czyn, którego dopuścił się Szabsaj Getsel, był tak nikczemny, że rabin już od tygodni chodził jak opętany. Ów młodzieniec skopiował całe partie rękopisu rabiego i wydrukował je pod swoim nazwiskiem. Była to zwykła, jawna kradzież. Rabi nie mógł uwierzyć, że Szabsaj Getsel potrafił zdobyć się na taki postępek, i wciąż próbował w jakiś sposób go usprawiedliwić.

Jednak im dłużej porównywał wydrukowaną książkę Getsela ze swymi własnymi rękopisami, tym bardziej był zadziwiony. Zrozumiał, że Szabsaj Getsel wiedział, iż nie grozi mu zdemaskowanie. Z całą pewnością mógł przewidzieć, że rabin nie zniży się do ośmieszenia drugiego człowieka, nawet gdyby ten zgrzeszył. Ponadto Szabsaj Getsel był zięciem reb Tewjego, opiekuna zgromadzenia, który miał wielu krewnych w Mohylewie. Ujawnienie całej sprawy mogło wywołać skandal i spowodować profanację świętego Imienia.

Ale co Szabsaj Getsel myślał, gdy tak siedział, przepisując całe strony rękopisów reb Kazrijela? Wyobraził sobie, że otrzymał jakieś specjalne przyzwolenie z niebios? A jeśli, Boże ucho, jest heretykiem, który nie wierzy w Stwórcę ani jego wyroki?

Im dłużej reb Kazrijel Dan rozważał całą tę sprawę, tym bardziej był zakłopotany. Bez końca tarosił brodę. Nie miał zwyczaju mówić do siebie, ale słowa same cisnęły mu się na usta. Marszczył pod jarmułką wysokie czoło, ściągał brwi, krzywił się, jakby go coś bolało. Zatrzymał się naprzeciwko półki z książkami, jakby szukał odpowiedzi na grzbietach starych tomów.

Faktem jest oczywiście, że nikt nie zgrzeszy, jeśli jego duszy nie

skazi szaleństwo. Z drugiej strony prawda ta dotyczy tylko grzechów popełnionych pod wpływem impulsu, w przypływie wściekłości, nawet jeśli ktoś posunie się aż do kradzieży albo, co nie daje Boże, do cudzołóstwa. Ale siedzieć dzień po dniu, tydzień po tygodniu, przepisując czyjąś pracę, było całkowiec i z gruntu złe. Poza tym, jak Szabsaj Getsel miał śmiałość patrzeć reb Kazrijelowi w twarz?

Cała ta sprawa była zagadką.

– Koniec Dni jest tuż tuż – reb Kazrijel wykrzyknął z głębi serca do siebie i do świata.

Czyż ten przypadek nie przypomina opisanego w traktacie Sota, gdy mówi się o znakach poprzedzających nadejście Mesjasza: „Na śladach stóp Mesjasza wyrośnie wstyd, ceny pójdą w górę, winna latorośl urodzi owoc, ale wino będzie drogie. Bałwochwalstwo stanie się herezją praktykowaną bezkarnie. A mądrość pisarzy ulegnie stępieniu, podczas gdy ci, którzy boją się grzechu, będą w pogardzie; zniknie prawda. Chłopcy szydzić będą ze starszych, a sędziwy nastawał będzie na młodość...”

Czyżby wszystko zaszło już tak daleko? – zapytywał rabin sam siebie.

Wiedział, że nie powinien tracić aż tyle czasu z powodu tej sprawy. Jego obowiązkiem było modlić się, studiować i służyć Panu. Rozmyślenia nad Szabsaj Getselem doprowadzały go tylko do irytacji. Odbierały rabinowi sen, toteż miał trudności z koncentracją w czasie studiowania ksiąg przed świtem. Doszło nawet do tego, że odbijał swą gorycz na żonie. Całą historię musiał trzymać w tajemnicy i rzecz jasna, zarzucić myśl o wydaniu swych własnych pism, bo wprawiłoby to w ruch języki i spowodowało plotki i oskarżenia.

– Kto wie? – pomyślał rabi. – Może w taki sposób niebiosa chcą zapobiec publikacji moich prac? Lecz czy to jest zgodne z wolną wolą, którą obdarowany jest każdy człowiek?

Drzwi otworzyły się i wszedł Szabsaj Getsel.

Na pozór nie było w tym nic niezwykłego. Szabsaj Getsel od lat przychodził zobaczyć się z rabinem i wciąż odgrywał rolę ucznia. To właśnie reb Kazrijel Dan wyświęcił go rok temu. Lecz teraz widok Szabsaj Getsela poruszył rabiego do głębi.

– Nie pisnę ani słówka, nie dozwólcie niebiosa, nawet o tym nie napomknę – zdecydował reb Kazrijel. Przymusił się, by powiedzieć: – Witaj, Szabsaj Getselu!

Szabsaj Getsel, niski, śniady, o czarnych jak smoła oczach, czarnych brwiach i z małą czarną bródką, ubrany był w futro z lisa, u dołu którego zwisały lisie ogonki, a na głowę miał naciśnięty sobolowy kapelusz. Stąpał miękko w podszytych futrem botkach. Przyłożył dwa palce do umocowanej na framudze mezuzy i pocałował ją. Ostrożnie zdjął futrzane palto i wełniany szalik, pozostawiając tylko w kaftanie.

Rabi wskazał Getselowi krzesło przy stole i usadowił się w swym fotelu.

Reb Kazrijel Dan był wyższy od Getsela. Spod białych krzaczastych brwi spoglądała otwarcie para szarych oczu. Rabi, ubrany w satynowy chałat, spodnie, półbuty i białe pończochy do kolan, miał zaledwie sześćdziesiąt lat, ale wyglądał raczej na osiemdziesiątkę. Tylko jego chód wciąż był zdecydowany i spojrzenie przenikliwe. Podczas gdy Szabsaj Getsel czynił wszystko z rozmysłem, rabin poruszał się pospiesznie. Otworzył książkę i na powrót zamknął ją z nagłą. Odsunął pióro i atrament, po czym przyciągnął do siebie z powrotem.

- Cóż tam, Szabsaj Getselu, jakie wieści? – zagadnął.
- Otrzymałem kilka listów.
- Ach tak!
- Chcesz je zobaczyć?
- Owszem, pokaż.

Reb Kazrijel wiedział, co to za listy. Szabsaj Getsel rozesłał kopie książki do różnych rabinów, a oni odpisali, chwając jego pracę. Adresując zaś koperty, nazywano go już „Wielce Oświeconym”, „Chodzącą biblioteką”, „Przenoszącym góry”.

Rabinowie niezwykle obrazowo wyrażali swój zachwyt egzegezami Getsela. Opisywali je jako „głębokie jak morze”, „słodkie jak miód”, „cenne jak perły i klejnoty”.

Rabi, czytając te pochwalne pisma, modlił się do Boga, by uchował go od złych myśli.

– To dobrze. „Dobre imię cenniejsze jest niż kosztowne balsamy” – stwierdził.

Nagle rabin zrozumiał wszystko. Kuszono go. Niebiosa wystawiają go na próbę, by przekonać się, jak wiele może wytrzymać. Jeden fałszywy krok i wpadnie w sidła zastawione przez Szatana. Utonie w nienawiści i smutku, popadnie w szal i kto wie, jakie jeszcze zwyrodnienia. Może zrobić tylko jedno: trzymać usta zamknięte i zachować czystość umysłu. Szabsaj Getsel najpewniej

zblądził; jednak on, reb Kazrijel Dan, nie jest Panem Wszczęświata. Nie jemu wydawać wyrok na bliźniego. Któż może wiedzieć, co dzieje się w czyimś sercu? Kto mógłby zmiarkować moce, które wiodą ciało i krew ku próżności, żądzy, szaleństwu? Reb Kazrijel Dan dawno temu już pojął, że wielu ludzi namiętności uczyniły na wpół szalonymi.

Rabi wyjął chusteczkę i przetarł czoło.

– Cóż to za sprawa przywiodła cię tutaj?

– Chciałbym rzucić okiem na responsum, które napisałeś rabinowi z Sochaczewa.

Reb Kazrijel Dan miał już spytać, czy Szabsaj Getsel przygotuje następną książkę. Powstrzymał się jednak i powiedział:

– Jest w szufladzie komody. Poczekaj, pójdę po nią.

I rabin wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie trzymał rękopisy. Powrócił wkrótce, trzymając w dłoni kopię swego responsum.

2

Szabsaj Getsel przesiedział z rabinem kilka godzin. Gdy tylko wyszedł, wkroczyła żona rabiiego.

Reb Kazrijel Dan natychmiast zauważył, że jest wściekła. Wpadła do izby, brzegiem sukni zamiatając podłogę. Chwaścik na jej czepku aż podskakiwał. Szczupła, pomarszczona twarz była bledsza niż zwykle.

– Czego on tutaj chce, ten robak? Dlaczego spędza tu całe dni? Nie jest twoim przyjacielem, lecz wrogiem. Najgorszym wrogiem...! – zaczęła wrzeszczeć już, zanim doszła do stołu, przy którym siedział jej mąż.

Reb Kazrijel Dan odsunął na bok książki.

– Czemu tak krzyczysz? Przecież nie mogę wyrzucać ludzi za drzwi.

– Przyszedł tu szpiegować, hipokryta! Chce zająć twój stołek. Dobry Ojczy w niebiosach, oby się tego nigdy nie doczekał! Każdego przeciwko tobie nastawia. Pokumał się ze wszystkimi twoimi wrogami...!

– Skąd wiesz? – reb Kazrijel Dan uderzył pięścią w stół.

Ostry podbródek starej kobiety, z którego wyrastało kilka białych włosów, począł drżeć. Nabiegłe krwią oczy osadzone w obwisłych fałdach skóry połyskiwały groźnie.

– Każdy wie, oprócz głupków, takich jak ty! Nie widzisz nicze-

go poza tym swoim Talmudem, jesteś ślepy, nogi czy ręce – to dla ciebie jedno. On ma zamiar zostać tutaj rabinem. Spreparował książkę i rozesał do wszystkich. Ty gryzmolisz przez całe życie i nic z tego nie masz. A on, młody człowiek, już jest sławny. Czeka, aż wyrzucą cię stąd i jemu wyznaczą twoje miejsce.

– Daj temu pokój. Muszę wracać do swoich nauk.

– Nie pozwolę ci na to! Jaki pożytek z tego twojego studiowania? Płacą ci osiemnaście guldenów tygodniowo. Inni rabini żyją w dostatku, my głodujemy. Muszę zagniatą ciasto własnymi schorowanymi rękami. Twoja córka zajmuje się praniem, bo nie możemy zatrudnić do tego kobiety. Masz znoszony chałat. Gdybym nie łała i nie naprawiała każdej nocy, chodziłbyś chyba w szmatach. A co będzie z twym synem? Obiecali uczynić go twoim asystentem. Już dwa lata, odkąd obiecali i nie zobaczył ani grosza.

– Czy to moja wina, że nie dotrzymują słowa?

– Przyzwoity ojciec zrobiłby coś dla swego dziecka. Nie pozwoliłby, aby sprawa ciągnęła się w nieskończoność. Znasz tych intrygantów z gminy, wiesz, że nie można na nich liczyć. Coś ci powiem – zmieniła ton żona rabina. – Mają zamiar wyznaczyć Szabsaj Getsela na twego asystenta. I gdy przyjdzie twój czas – za sto lat – on będzie tym, który podaży w twoje ślady, odbierając Pezachii chleb.

Wykrztusiła ostatnie słowa wrzeszcząc ochryple i zacisnęła dłoń w ciasne pięści. Wszystko w niej drżało: czepek, uszy, zapadnięte wargi, w których nie pozostał już ani jeden ząb, i zwisający, podwójny podbródek.

Reb Kazrijel Dan patrzył na nią zatroskany. Żał mu było syna, który przez tych ostatnich dwadzieścia lat nie był w stanie znaleźć sobie źródła utrzymania i powinien mieć oparcie w ojcu. Reb Kazrijel Dan bał się, że żona bliska jest ataku kamieni żółciowych – takie ataki nieuchronnie nadchodziły, gdy zbyt się denerwowała. I rzeczywiście, pojękiwania towarzyszące pierwszym skurczom już się zaczęły.

Reb Kazrijel Dan doskonale wiedział, że miejscy dostojnicy nie potrzebują Pezachii. Pezachia nie wiedział, jak schlebiać starszyźnie. Trzymał dystans. Jego nominację na asystenta rabiego stale odkładano pod byle pretekstem. Ale z drugiej strony, czy można gminie narzucać kogoś wbrew woli wszystkich?

Jednakże teraz reb Kazrijel Dan po raz pierwszy usłyszał, żeby ktoś wspominał o wyznaczeniu Szabsaj Getsela w miejsce Pezachii.

Cicha woda brzegi rwie, pomyślał. Szabsaj Getsel, mój uczeń, stał się mym śmiertelnym wrogiem. Chce mi zabrać wszystko. Oby nie dożył tego dnia! – krzyknęło coś mimo woli w duszy reb Kazrijela.

Ale natychmiast przypomniał sobie, że nie wolno przeklinać nikogo, nawet w myślach.

– Przestań się pieklić! – powiedział głośno do żony. – Nie wiem, czy to wszystko prawda. Ludzie opowiadają różne kłamstwa.

– To prawda. Całe miasto wie. Słysząc o tym, gdziekolwiek ucho przyłożyć. Od przyszłego szabasu Szabsaj Getsel ma wygłaszać kazania w domu nauki. Ma dostawać dwadzieścia guldenów na tydzień, o dwa więcej niż ty. Chcą pokazać, kto tu naprawdę jest mistrzem.

Reb Kazrijel Dan poczuł pustkę w sercu.

Jak Absalom powstający przeciw Dawidowi – przeszło mu przez myśl. – Oby podzielił los Absaloma.

Reb Kazrijel Dan nie potrafił już dłużej powstrzymać gniewu. Zwiesił głowę, powieki ciężko opadły.

– Wola nieba zostanie dokonana! – zdrygnął się po chwili.

– Akurat, gdy tak siedzisz z założonymi rękami, nic nie robiąc, inni działają. A ty także i w niebie się nie liczysz.

– Na nic lepszego nie zasłużyłem.

– Stary głupcze!

Reb Kazrijel Dan nigdy dotąd nie słyszał, by jego żona przemawiała w ten sposób. Pewien był, że wkrótce pożałuje tego, co powiedziała. Nagle usłyszał jej zduszony szloch. Zachwiała się, jakby miała upaść. Reb Kazrijel Dan doskoczył do niej i złapał za ramiona. Drżała pojękując. Na wpół poprowadził, na wpół powłókł ją w kierunku ławy. Pełen trwogi, zawezwał pomoc.

Drzwi otworzyły się i wbiegła Tełca Mindel, rozwiedziona córka rabiego. Mąż Tełcy Mindel został chasydem i przeniósł się na dwór bełżyckiego rabina cudotwórcy, skąd przysłał jej list rozwodowy. Gdy Szabsaj Getsel, który był sierotą, po raz pierwszy, jako student jesziwy, przybył do reb Kazrijela, by mieszkać u niego i z nim studiować, wszyscy w mieście przypuszczali, że poślubi Tełcę Mindel, mimo że była od niego o kilka lat starsza. Reb Kazrijel Dan byłby zadowolony z takiej partii.

Ale Szabsaj Getsel zaręczył się z córką reb Tewjego, bogatego człowieka i naczelnika gminy. Reb Kazrijel Dan nie żywił za to do ucznia najmniejszej urazy. Uczestniczył w zaślubinach. Gdy żona

rabina występowała przeciwko Szabsaj Getselowi, nazywając go hipokrytą i wilkiem w owczej skórze, rabi zbeształ ją i upomniał, że małżeństwa kojarzone są w niebie.

Jednak incydent z książką, a teraz jeszcze usiłowania zajęcia przez Getsela miejsca asystenta rabina, nie mogą być wybaczone tak łatwo. Reb Kazrijel Dan zmierzył córkę krótkim spojrzeniem.

– Zaprowadź matkę do łóżka. Nagrzej pościel i wezwij znachorkę Fejtel – rozkazał.

– Przestań mnie wlec! Jeszcze nie umarłam – rozpaczła żona rabina. – O ja nieszczęśliwa! Nic, tylko bieda i nieszczęście!

Reb Kazrijel Dan popatrzył na córkę raz jeszcze. Zdawało się, że jeszcze tak niedawno była małą dziewczynką, a reb Kazrijel Dan bawił się z nią: sadzał na kolanach i podrzucał, udając, że jadą w powozie. Teraz stoi przed nim kobieta w brudnej chustce na głowie, w niewydarzonych papuciach na nogach i w poplamionym fartuchu. Była niska jak matka, miała płowe brwi i twarz usianą piegami. W jej jasnoniebieskich oczach czaiła się cicha rezygnacja i smutek opuszczonej kobiety. Tyła i wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości.

Reb Kazrijel Dan miał małą pociechę z dzieci. Kilkoro umarło w dzieciństwie. Stracił dorosłego syna i córkę. Pezachia był cudownym dzieckiem, ale po ślubie stał się człowiekiem milczącym. Nie można było słowa z niego wyciągnąć. W dzień spał, a czuwał w nocy. Pezachia postanowił zgłębiać Kabałę.

Czyż można się dziwić, że gmina go odrzuciła? Dzisiejszy rabin musi znać się na interesach, powinien umieć prowadzić rachunki, a nawet mówić trochę po rosyjsku. Reb Kazrijel słyszał ostatnio, że rabinowie w wielkich miastach dogadują się z władzami i jeżdżą do Lublina na widzenia z gubernatorem. Korzystają z gościny bogaczy. Jeden z rabinów opublikował właśnie odezwę do Żydów, w której nawoływał do osiedlania się na ziemiach Izraela, gdzie będą mogli codziennie mówić po hebrajsku, nie zaś tylko w sza-bas. Zwoływano konferencje, czytano gazety. Mohylew był ślepą uliczką, odciętą od świata.

I znów to samo, dlaczego Szabsaj Getsel, będąc zięciem bogatego człowieka, miałby odbierać pracę ubogiemu?

Matka i córka, drobiąc kroki, wyszły nareszcie z izby. Reb Kazrijel Dan począł przechadzać się tam i z powrotem.

– Zło jeszcze nie zwyciężyło – wymamrotał do siebie. – Jest Stwórca. Jest Opatrzność. Tora wciąż pozostaje Torą.

Reb Kazrijel Dan powrócił myślami do książki Szabsaj Getsela. Po tym plagiacie rabinowi pozostało tylko jedno: odłożyć własne prace do lamusa, raz i na zawsze. W przeciwnym razie zostaną znalezione po jego śmierci i Szabsaj Getsel będzie zdemaskowany i ośmieszony, a może się nawet zdarzyć, że posądzą reb Kazrijela o plagiat książki młodszego człowieka. Ale gdzie miałby schować rękopisy, tak by nikt ich nie znalazł? Jedyne, co mógł zrobić, to spalić je wszystkie.

Reb Kazrijel zerknął na piec. W końcu, co za różnica, kto jest autorem? Najważniejsze, że komentarze są wydane i będzie się je studiować. W niebie znają prawdę.

3

Rabi przeleżał w łóżku całą noc, nie mogąc zmrzyć oka. Recytował „Słuchaj, o Izraelu”, a potem wypowiedział błogosławieństwo sprowadzające sen, po którym nie można szepnąć już ani słowa. Lecz sen nie nadchodził.

Reb Kazrijel Dan znał swoją powinność. Biblijne przykazanie mówi: „Będziesz napominał bliźniego swego, abyś z jego powodu nie obciążał się grzechem”. Trzeba było wezwać Szabsaj Getsela i wyłuszczyć swą krzywdę. Ale po co? Reb Kazrijel Dan wyobrażał już sobie jego obmierzłe tłumaczenia. Będzie odgrywał niewiniątko, wzruszał ramionami, wmawiał, że kongregacja nalegała, by przyjął urząd. Co do rękopisów, rabin już ich nie posiadał. Wszystkie spłonęły. Reb Kazrijel Dan przewracał się z boku na bok. Fale zimna i gorąca zalewały go na przemian. Albo był spragniony, albo znów musiał opróżnić pęcherz. Założył czystą koszulę, jednak zdążył się już spocić. Poduszka i materac, choć z pierza, wydawały się tak twarde, jakby ktoś wypchał pościel kamieniami.

Nachodziły go niespokojne myśli z rodzaju tych, co zmniejszają szanse na życie wieczne. Kto wie? Może heretycy mają rację, może ani Sędzia, ani Sąd nie istnieją... Może Niebo też trzyma stronę silnych. Czyż nie napisano w Talmudzie, że „do tego, kto silny, przyjdzie zwycięstwo...”? Może Żydzi cierpią wygnanie, bo są najślabi pośród narodów. Może zarzynanie stworzeń dlatego tylko jest dozwolone, że człowiek jest dość mądry, by dzierżyć nóż. Możliwe nawet, że to silni zasiadają w raj, podczas gdy słabi smażą się w piekle...

– Zdażam ku potępieniu – ostrzegał sam siebie reb Kazrijel.

Przyłożył rękę do czoła. – Ojczy w niebiosach, ocal mnie... Nie dozwól, Boże, bym utonął w otchłaniach piekielnych...

Rabi usiadł tak gwałtownie, że aż zatrzeszczały deski pod materacem.

– Czemu tak leżę, pozwalając złym duchom, aby darły mnie na strzępy? Jedno jest tylko lekarstwo – Tora!

Rabi ubrał się pospiesznie. Zapalił lampę i przeszedł do gabinetu. Cienie połyskiwały na ścianie i belkach pod sufitem. Chociaż piec był rozpalony, reb Kazrijel Dan szczykał z zimna zębami. Zwykle wstając przed świtem, włączał samowar i parzył herbatę, jednak teraz nie miał dość siły, by dorzucić węgla i nalać wodę. Otworzył książkę, ale litery wirowały przed oczami. Podskakiwały, grały ze sobą w żabki, zmieniały kolory.

– Czyżbym miał, nie daj Boże, oślepnąć? – zadał sobie reb Kazrijel pytanie. – A może nadszedł koniec. Cóż, tym lepiej. Wygląda na to, że straciłem kontrolę nad własną wolą...

Głowa reb Kazrijela powoli opadła na książkę i zapadł w drzemkę. Najwyraźniej spał kilka godzin, bo gdy się obudził, szare światło dnia połyskiwało poprzez szpary w okiennicach. Za oknem padał śnieg.

– O czym śniłem? – zapytał rabin sam siebie. – Krzyk i lament, i bicie dzwonów. Pożar, pogrzeb, rzeź, wszystko w jednym i tym samym czasie.

Zimny dreszcz przebiegł rabinowi po plecach, nogi zdrętwiały. Chciał umyć ręce i odmówić poranne modlitwy, ale nie mógł wstać o własnych siłach.

Otworzyły się drzwi i wszedł Pezachia, niewysoki mężczyzna o szarej twarzy, szeroko osadzonych, niemal pozbawionych brwi oczach, a jego krągła, mała bródka, zwykle żółta, tego zimowego poranka wyglądała jak szara bawełniana przędza. Pezachia nie chodził, lecz człapał, szurając pantoflami. Spod nie zapiętego kaptana wyzierały długie rytualne frędzle i nędzne spodnie związane taśmą. Koszulę miał szeroko wyciętą na karku, a jarmułkę pokrywało drobne pierze.

– Czego chcesz? – zapytał rabin.

Pezachia nie od razu odpowiedział. Zamrugnął swymi piwnymi oczami, a usta wykrzywiły się jak u tych, co się jękają.

– Ojczy!

– O co chodzi?

– Szabsaj Getsel jest chory... bardzo chory... To kryzys... Potrzebuje miłosierdzia...

Reb Kazrijel poczuł ból od samego gardła aż po trzewia.

– Co z nim?

– Wezwali doktora... Nie wiedzą... Jego żona przyszła prosić, abyś się modlił za niego...

– Co warte moje modlitwy? Dobrze, zostaw mnie!

– Ojczy, jego matka miała na imię Fruma Złata...

– Świetnie...

Pezachia wyszedł. Rabi zauważył, że syn kuleje.

– Co mu się stało? – zdziwił się reb Kazrijel. – I on nie wygląda najlepiej.

Reb Kazrijel Dan zamknął oczy. Przyczyna choroby Szabsaj Getsela aż nazbyt była jasna. Zawiniły mimowolne klątwy rabina. Przyszedł mu na myśl pewien wers z Księgi Przysłów: „Nawet karać słusznie jest rzeczą niesłuszną”. A, zgodnie z komentarzami, jego znaczenie tak się wyklada: „Nikt, nawet człowiek prawy, nie powinien wymierzać kary”. To, że nazwał się prawym choćby w myślach, zawstydziło rabina.

– Ja prawym człowiekiem? Człowiek obdarzony złą mocą, jak nikczemny Balaam!

Rabi zaczął modlić się za Szabsaj Getsela.

– Panie Wszechświata, ześlij mu cudowne uzdrowienie... Wiele krzywd wyrządziłem, ale nie chciałem być mordercą... Wybaczam mu wszystko, bez reszty i na zawsze.

Rabi podniósł się i zdjął z półki Psalterz. Znalazł Psalm polecający chorych: „Szczęśliwy, kto pojmuje słabość”. Nadszedł czas modlitw porannych, lecz rabin ciągnął dalej swą dyskusję z Opatrznością.

– Nie mam już sił do wszystkich tych zmartwień. Jeśli nie mogę zaznać spokoju na stare lata, zabierz mnie lepiej...

Szabsaj Getsel przez kilka dni zmagał się z Aniołem śmierci. Niekiedy wyglądało na to, że nadchodzi poprawa, ale potem znów wracał kryzys. Przyjechał doktor z Zamościa. Leczyli chorego bańkami i pijawkami. Nacierali go alkoholem i terpentyną. Teściowa i żona udały się na cmentarz, aby wezwać na pomoc zmarłych przodków. Zapalono świece w domu nauk, a drzwi Świętej Arki otworzono na oścież. Zebrano dzieci, by recytowały Psalmi.

Reb Kazrijel wybrał się odwiedzić chorego ucznia. Minawszy korytarz i salon, wszedł do wyłożonej dywanami sypialni. Poza

słaniano wszystkie okna. Na krzesła stały buteleczki z lekami. Rabi zauważył pomarańcze, ciastka i inne słodczyce. Twarz Szabsaj Getsela była sina. Mamrotał coś i jego mała bródka poruszała się do góry i na dół, jakby żuł. Spiczaste jabłko Adama odznaczało się wyraźnie. Brwi miał ściągnięte, jak gdyby rozważał jakiś trudny problem.

Reb Kazrijel Dan skłonił głowę. Oto, co dzieje się z ciałem.

– Szabsaj Getselu, wracaj do zdrowia! Potrzebujemy cię tutaj, potrzebujemy cię... – odezwał się głośno.

– Rabi! – Szabsaj Getsel uchylił jedno oko.

– Tak, Szabsaj Getselu. Modłę się za ciebie dniem i nocą.

Wydawało się, że Szabsaj Getsel chce coś powiedzieć, ale nic nie było słychać, prócz gulgoczącego dźwięku. Po chwili znowu zamknął oczy.

– Bądź uzdrowiony! W imię Tory... – wyszeptał rabin.

Jednak przez cały czas wiedział z pewnością, której nie potrafił pojąć, że Szabsaj Getsel nie podniesie się już z łoża boleści.

Getsel umarł tej samej nocy, a pogrzeb odbył się rankiem. W domu nauk rabin odmówił eulogię. Reb Kazrijel Dan nigdy nie płakał, wygłaszając pogrzebową mowę, ale tym razem zakrył twarz chusteczką. Dusiły go własne słowa. Teść Szabsaj Getsela zażądał, by na marach położyć książkę jego zięcia. I tak zanieśli go na cmentarz. Szabsaj Getsel nie zostawił dzieci; rabin odmówił za niego pierwszy Kadysz.

W kilka dni później zgromadzenie wyznaczyło Pezachię na asystenta rabiego. Pito brandy i jedzono miodowe ciasto. Pezachia ubrał się w nowy kaftan, nowe buty i jarmułkę bez pierza. Obiecał, że będzie wywiązywał się ze swych obowiązków rabina i pomagał ojcu przewodniczyć w zgromadzeniu. Starsi życzyli mu szczęścia.

Minęło kilka tygodni. Rabi w ciągu dnia pozostawał w odosobnieniu, synowi powierzając przewodzenie wszelkim obrządkom i prowadzenie spraw. Przestał nawet chodzić na modlitwy do domu nauk. Zwykle jadał jeden posiłek dziennie: kleik, chleb i mięso. Teraz zostawiał jedzenie niemal nie tknięte. Nie śpiewał hymnów w szabas i nie nastawiał już w nocy samowaru. Domownicy nieraz słyszeli, jak snuje się w ciemności, wzdychając i mówiąc do siebie. Jego twarz żółkła i broda usychała.

Aż nagle reb Kazrijel Dan publicznie zrzekł się stanowiska rabiego. Poprosił gminę, by wyznaczyła reb Pezachię na jego miej-

sce. Twierdził, że zgrzeszył i musi udać się na wygnanie, by to odpokutować.

Nic nie pomogły lamenty rabinowej. Reb Kazrijel Dan zdjął satynowy chałat i okrągły futrzany kapelusz rabina. Włożył zgrzebnny, długi płaszcz, a na głowę nacisnął zwykłą czapę. Pożegnał się z żoną, Tełą Mindeł, reb Pezachią, mieszkańcami miasta. Jakiś woźnica podwiózł go do Lublina.

Podczas podróży młody człowiek znany z zuchwalstwa zapytał rabina, jakiegoż to dopuścił się grzechu.

– Kto grzeszy przeciw przykazaniu „nie zabijaj”, dopuszcza się wszystkich grzechów – odrzekł mu na to rabin.

CEJTŁ I REJCŁ

Często słyszę, jak ludzie mówią: „To się nie może zdarzyć, tamto nie może być, nikt o czymś podobnym nie słyszał, niemożliwe”. Bzdura! Jeśli coś jest przeznaczone, musi się stać. Moja babka zwykle mówiła: „Diabeł, gdy chce, może sprawić, że dwie góry się zejda. Jeśli rabinowi pisane spaść z dachu, zostanie kominiarzem”. Goje mają przysłowie: „Co ma wisieć, nie utonie”.

Weźmy na przykład to, co zdarzyło się w naszym mieście. Gdyby ktokolwiek opowiedział mi o tym, nazwałabym go kłamcą. Ale znałam je obie, niechaj wstawią się za nami w niebiosach. Z pewnością odbyły już swoją karę. Starsza nazywała się Cejtł, a młodsza Rejctł.

Ojciec Cejtł, reb Izrael z Będzina, był już starym, osiemdziesięcioletnim człowiekiem, gdy go poznałam. Pochował trzy żony, a Cejtł była córką trzeciej. Nie wiem, czy inne też zostawiły mu dzieci. Miał już dobrze po pięćdziesiątce, gdy zamieszkał w naszym mieście. Poślubił młodą dziewczynę, która – zachowaj Boże – umarła w połogu. Cejtł wyjęto z niej kleszczami. Teść reb Izraela zostawił córce wielką kamienicę na rynku wraz z trzynastoma sklepami i reb Izrael wszystko to odziedziczył.

Dziwne historie opowiadano w mieście o reb Izraelu. Żył kiedyś w Polsce fałszywy Mesjasz, Jakub Frank; nawrócił wielu Żydów. Po jego śmierci sekta pozostała. Miał gdzieś córkę i słano jej beczki pełne złota. Wydawało się, że ludzie ci żyją jak inni Żydzi, ale nocami zbierali się i czytali zakazane foliaty.

Reb Izrael ubierał się jak rabin; w welwetowy kaftan, okrągły rabinowski kapelus, pantofle i białe pończochy. Zawsze coś pisał, stojąc przy wysokim pulpicie, a Cejtł – mówili ludzie – przepisy-

wała jego manuskrypty. Miał rozłożystą brodę, białą jak śnieg, i wysokie czoło. Gdy na kogoś patrzył, to jakby przenikał go wzrokiem na wskroś. Cejtł uczyła córki bogatych ludzi czytania i pisanie. Byłam jedną z jej uczennic.

Podobno członkowie sekty lubili rozwiązać kobiety i sekretnie dopuszczali się rozmaitych ciemnych praktyk. Lecz reb Izrael – z kim z naszego miasta miałby zgrzeszyć?

Cejtł wyszła za mąż, lecz rozwiodła się po sześciu miesiącach. Jej mąż pochodził z Galicji i ludzie szeptali, że był jednym z „klanu”; bo tak w naszym mieście nazywali sektę. Nikt nie wiedział, dlaczego małżeństwo tak szybko się skończyło. Wszystko w domu reb Izraela owiane było tajemnicą. Były tam kufry pozamykane na podwójne zamki i wielkie skrzynie pełne książek. Na nabożeństwo przychodził tylko w szabas, do wyziębionej synagogi. Rzadko kiedy zamienił z kimś słowo. Gdy właściciele sklepów płacili mu czynsz, chował pieniądze do kieszeni, nie licząc ich nawet.

W tamtych latach było nie do pomyślenia, aby komuś przyniesiono towary do domu. Najbogatsze kobiety chodziły z koszykami na targ po zakupy. Ale Cejtł przysyłano wszystko: chleb, bajgele, masło, jajka, ser, mięso. Raz w miesiącu otrzymywała rachunek, jakby mieszkała w Warszawie. Żyła niczym arystokratka.

Pamiętam ją, jakby to było wczoraj; wysoka, ciemna, o szczuplej twarzy i czarnych włosach, splecionych jak okrągła szabasowa chała. I wyobraźcie sobie, w tamtych czasach – nie goliła głowy. Wychodząc zakładała chustkę, ale kiedyż to widziano ją na ulicy? Reb Izrael miał na górze balkon z widokiem na ogród kościelny i Cejtł zwykła spędzać tam letnie wieczory, zażywając świeżego powietrza.

Robiła nam, dziewczętom, dyktanda dwa razy w tygodniu, nie z książki, lecz z głowy: „Najszacowniejszy przyszły mój małżonku! Na początek pragnę, abyś wiedział, że cieszę się dobrym zdrowiem, oby Bóg pozwolił usłyszeć to samo od ciebie. Poza tym...” Cejtł mówiła też po polsku i po niemiecku. Wzrok miała błędny, oczy ogromne, przepięknie melancholią. Ale potrafiła nieoczekiwanie wybuchnąć tak gromkim śmiechem, że jego echo rozbrzmiewało w całym domu. Czasem miała fantazję upiec macę w środku roku. Lubiła zadawać nam zagadki i opowiadać bajki, od których włosy stawały nam dęba.

A teraz o Rejcl. Ojciec Rejcl, reb Tod, był w mieście rytualnym rzeźnikiem. Wszyscy rzeźnicy są pobożni, ale ten miał reputację

świętego. Nie szczęściło mu się jednak. Jego syn poszedł kiedyś do rytualnej łaźni i utopił się. Musiał pewnie dostać kurczu. Jedna z córek Toda umarła w czasie epidemii. Po kilku latach w jego domu zaczęto słyszeć dziwne dźwięki. Coś pukało i nikt nie wiedział co i gdzie. Potrafiło nawet tak huknąć, że aż ściany się trzęsły. Wszyscy z miasta przybiegali, nawet goje. Przeszukiwali strych, piwnicę, każdy kąć.

W naszym mieście stacjonował pułk żołnierzy. Pułkownik nazywał się Siemiatycki. Pochodził prawdopodobnie z przechrztów. Miał ryżą brodę i dowcip cięty, że boki zrywać. Gdy Siemiatycki usłyszał o duchu, który wali w domu Toda, sprowadził pluton żołnierzy i rozkazał im zajrzeć w każdą szczelinę, każdy zakamarek. Nie wierzył w diabły; mówił, że to nic innego jak opowieści starych bab. Kazał wszystkim wyjść, tylko kozacy stali na straży z batami i nie pozwalali nikomu się zbliżyć. Ale nagle rozległ się trzask, od którego dach omal nie runął im na głowy.

Nie było mnie tam, lecz ludzie mówili, że Siemiatycki zapytał potępioną duszę, jak jej na imię i po co przychodzi, i że duch odpowiadał jednym puknięciem na tak, a dwoma na nie.

Każdy ma wrogów, a już szczególnie jeśli pracuje dla gminy. Ludzie zaczęli więc mówić, że należy odebrać Todowi funkcję rzeźnika. Szeptano, jakoby zarznął byka trefnym nożem. Żona reb Toda przejęła się tym tak bardzo, że zmarła.

Rejceł była niepozorna, szczupła, rudowłosa i piegowata. Gdy ojciec zarzynał drób, ona skubała pióra i wykonywała inne posługi. Kiedy zaczęło się to pukanie, podejrzenie padło na Rejceł. Niektórzy mówili, że to ona. Ale jak by to miała robić i po co? Podobno gdy zanocowała poza domem, pukanie ustało. Pomysłowość podłych języków nie zna granic. Którejś nocy huk był tak głośny, że roztrzaskał trzy okna. Nigdy dotąd diabeł nie tknął okien. To był ostatni raz. Od tej pory znów zapanował spokój.

Jednak reb Tod stracił już pracę i zaczął uczyć nowicjuszy. Rodzina zatwierdziła posag Rejceł i w tym czasie była ona już zaręczona z uczniem jesziwy, kulawym młodym człowiekiem z Kraśnika. Był chasydem i wkrótce po ślubie wyruszył z pielgrzymką do swego rabina. Z początku powracał na Pesach i najświętsze dni. W końcu przepadł z kretesem. Rejceł została porzuconą żoną. Jej ojciec zdążył już umrzeć, a wszystko, co pozostawił, to stary dom – niewiele więcej niż ruina.

Cóż miała począć żona bez męża? Snuła się, nauczając dziew-

częta, jak się modlić. Wzięła się za szycie i cerowanie. W Purim roznosiła bogatym rodzinom paczki ze świątecznymi łakociami. W czasie Pesach została kimś w rodzaju pomocnika gminy i dostarczała prezenty i zioła. Gdy jakaś kobieta zachorowała i trzeba było doglądać jej w łóżku, wzywano Rejcl. Wyuczyła się stawiać bańki i upuszczać krew. Nie goliła głowy, ale zakładała chustkę. Czytała wiele ksiązek i uwielbiała wymyślać straszne i nieprawdopodobne opowieści.

Stare panny, jak wiecie, stają się na wpół szalone. Ale kobiecie, która zaznała mężczyzny i potem została sama, zawsze uderza do głowy. Rejcl mogłaby może odnaleźć męża, gdyby miała pieniądze na wysłannika, ale Tod zostawił ją bez grosza. Dlaczego mąż ją porzucił? Trudno powiedzieć. Są tacy mężczyźni. Żenią się, a potem są tym zmęczeni. Wędrują w świat i nikt nie wie, gdzie spoczęły ich kości.

2

Nie pamiętam dokładnie, jaki traf zetknął ze sobą Cejtl i Rejcl. Zdaje się, że reb Izrael zachorował i Rejcl przyszła natrzeć go terpentyną. Ludzie mówili, że wpadła mu w oko, ale nie wierzę w to. Był już bardziej martwy niż żywy. Umarł niebawem i obie dziewczyny, Cejtl i Rejcl, zostały same na świecie. Z początku ludzie myśleli, że Rejcl najęła się u Cejtl jako służąca. Ale skoro Cejtl nigdy dotąd nie miała służącej, czemu miałyby teraz jej potrzebować?

Gdy reb Izrael żył jeszcze, niewiele swatek przedstawiało Cejtl swe oferty. Wiedziały, że reb Izrael chce zatrzymać córkę dla siebie. Zdarzają się tacy ojcowie, nawet wśród Żydów. Była na każde zawołanie. Gdy tylko zgasła mu fajka, już niosła mu tytoń, by znów zapalił. Nie wiem czemu, ale nigdy nie chodził do łaźni i szeptano, że to Cejtl go myje w drewnianej balii. Nigdy tego nie widziałam, ale oszczercy są zdolni do wszystkiego. Według nich grzech jest cnotą.

W każdym razie reb Izrael dał swatkom taką odprawę, że poprzysięgły zaniechać wizyt po dziesiąte pokolenie. Ale jak tylko Cejtl została sama, powróciły w jej progi. Odsyłała je, korzystając z różnych wymówek: później, jutro, jeszcze nie czas. Rozmawiając z kimś, miała zwyczaj patrzenia gdzieś ponad jego głowę. Rejcl przeprowadziła się do niej i odtąd, gdy ktoś pukał, mogła odpowia-

dać zza drzwi zamkniętych na łańcuch, że Cejtł wyszła, śpi albo czyta.

Jak długo swatki mogły przychodzić? Nikt nikogo nie zaciągnie siłą pod chupę. Ale w małym miasteczku ludzie mają czas, więc gadają. Żebyś nie wiem jak próbował uniknąć ciekawskich spojrzeń, nie możesz ukryć wszystkiego.

Mówiono, że Cejtł i Rejcł jedzą razem, piją i śpią. Rejcł wkładała sukienki Cejtł, skrócone i zwężone tak, by na nią pasowały. Rejcł dzierżyła kasę i płaciła rachunki przysyłane przez właścicieli sklepów. Przyjmowała też czynsze. W ciągu dnia dziewczęta rzadko wychodziły razem, ale w letnie wieczory spacerowały wzdłuż ulicy Kościelnej i dalej alejami, w stronę lasu. Cejtł zwykła kłaść rękę na ramieniu Rejcł, a ta obejmowała ją w talii. Były pochłonięte rozmową. Nie słyszały, gdy ludzie je pozdrawiali. Jak to możliwe, że wciąż miały o czym rozmawiać? Niektórzy próbowali je śledzić i podsłuchiwać, lecz one szeptały, jak o największych sekretach. Potrafiły tak dojść aż do młyna albo do lasu.

Wieści o tym dotarły do naszego rabina, reb Ejzele.

– Nie ma takiego prawa, które mogłoby zabronić dwóm kobietom spacerów do młyna – odpowiedział jednak.

Reb Ejzele był Litwinem z Miśni, a oni tam mieli prawa na każdą okazję; to dozwolone, a tamto jest grzechem.

Ale gadania nie ustały. Nocny stróż, Naftali, widział, jak Cejtł i Rejcł całują się w usta. Zatrzymały się w pobliżu tartaku, przy stosie belek, i obejmowały jak para kochanków. Cejtł nazywała Rejcł gołąbkim, a Rejcł mówiła do niej „kotku”. Z początku nikt nie chciał wierzyć Naftalemu; lubił sobie łyknąć i opowiadał wtedy, co ślina mu na język przyniosła. Ale nie ma dymu bez ognia. Moi drodzy, te dwie dziewczyny tak bardzo wyglądały na zakochane, że mełły już o tym wszystkie języki w mieście. Szatan każdego na swój sposób może przyprawić o szaleństwo. Coś drgnie w duszy i wszystko staje na głowie. Słyszałam, że była w Krasnymstawie pewna dama, która kochała się z ogierem. Podczas Potopu nawet zwierzęta różnych gatunków łączyły się w pary. Czytałam o tym w Biblii dla kobiet.

Ludzie nachodzili reb Ejzele.

– Tora tego nie zabrania. Zakaz dotyczy tylko mężczyzn – upierał się. – Poza tym, dopóki nie ma dowodów, nie wolno rozsiewać plotek.

Niemniej jednak posłał po nie. Rejcl przybyła sama i zaprzeczyła wszystkiemu. Ostry miała język ta dziewczyna.

– Idź do domu i nie martw się. To oszczercy będą ukarani, nie ty. Lepiej spalić się w dole z wapnem, niż przyprowadzić kogoś o wstyd – powiedział jej reb Ejzele.

Zapomniałam wspomnieć, że Cejtl zaprzestała już udzielać dziewczętom lekcji pisania.

Byłam wtedy jeszcze bardzo młoda, ale cokolwiek z całego tego gadania i do mnie dotarło. Nie da się ustrzec dziecięcych uszu przed wszystkim. Mówiło się, że Cejtl i Rejcl wspólnie studiowały książki reb Izraela. Lampa w ich domu świeciła się do późna w nocy. Ci, którzy przechodząc mijali okna ich sypialni, widzieli za zasłonami cienie przesuwające się w tę i z powrotem albo zbliżające się do siebie jak w tańcu. Kto wie, co się tam działo?

A teraz posłuchajcie, jak to było.

Pewnego lata panował straszliwy upał. Przeżyłam niejedno lato, ale nie pamiętam takiego upału. W samo południe słońce zaczynało palić jak ogień. Nie tylko mężczyźni, ale nawet dziewczęta i kobiety schodziły nad rzekę, aby się wykapać. Gdy słońce praży, woda się nagrzewa. Moja matka, niechaj modli się za nas, zabrała mnie ze sobą.

Po raz pierwszy kąpałam się w rzece. Mężczyźni wchodzili do wody nadzy, ale dziewczęta nie zdejmowały koszul. Łobuzy przybiegały, aby je podglądać, i w żaden sposób nie można ich było odgonić. Za każdym razem kończyło się piskami i paniką. Jedna z kobiet zaczęła się topić. Inna wrzeszczała, że ugryzła ją żaba. Kąpałam się i nawet próbowałam pływać, dopóki nie poczułam się zbyt zmęczona. Położyłam się wśród przybrzeżnych zarośli, by odpocząć. Chciałam ochłodzić się w cieniu i wrócić do domu, ale ogarnęła mnie dziwna senność. Nie był to zwykły sen, strzeżcie nas niebios, a coś bliższego śmierci. Położyłam głowę i tak już zostałam, jak kamień. Wydawało się, że ciemność mnie osacza, a ja zapadam się w nią. Musiałam spać wiele godzin.

Gdy się przebudziłam, była noc. Nie świecił księżyc. Niebo zasnuwały chmury. Leżałam tam, nie wiedząc, gdzie jestem i kim jestem. Czułam wokół siebie trawę, wilgotną od rosy, ale całkiem zapomniałam o tym, że znajduję się na peryferiach miasta. Dotknęłam swego ciała; nie miałam na sobie nic prócz koszuli. Chciałam płakać; wzywać pomocy, gdy nagle usłyszałam głosy. Pomyślałam

o demonach i byłam przerażona, jednak spróbowałam się im przysłuchać. Dwie kobiety rozmawiały ze sobą, a ich głosy wydały mi się znajome.

– Czy musimy przejść przez piekło? – usłyszałam, jak zapytała pierwsza. .

– Tak, moja duszko, ale przejście przez piekło z tobą będzie dla mnie rozkoszą. Bóg jest litościwy. Kara nigdy nie trwa dłużej niż dwanaście miesięcy. Oczyszczymy się i wstąpimy do raj. Nie mamy mężów, więc nie posłużymy nikomu za podnóżki. Będziemy się pławić w balsamie i uczestniczyć w uczcie z Lewiatana, będziemy miały skrzydła i będziemy fruwać niczym ptaki... – odpowiedziała druga.

Nie potrafię powtórzyć całej ich rozmowy. Zaparło mi dech w piersiach. Wiedziałam już, kim one są. Tą, która pytała, była Rejčł, a Cejtł odpowiadała.

– Spotkamy tam nasze matki i ojców, i naszych dziadów, i wszystkie pokolenia: Abrahama i Izaaka, Jakuba i Rachelę, Leę, Belilę, Zylpeę, Abigail, Betszebę...

Przemawiała tak, jakby właśnie stamtąd przybyła, a każde słowo było niczym perła. Zapomniałam, że na wpół naga jestem sama wśród nocy.

– Ojciec nas oczekuje. Przychodzi do mnie w snach wraz z twoją matką – ciągnęła Cejtł.

– Czy oni się tam pobrali? – zapytała Rejčł.

– Tak. My też się tam pobierzemy. W niebie nie ma różnicy pomiędzy mężczyzną a kobietą... – odpowiedziała Cejtł.

Musiało już być po północy. Błysnęło i ujrzałam na trawie swoje ubranie, buty i skarpetki. Rzuciłam też okiem na postaci. Siedziały na brzegu rzeki, ubrane tylko w bieliznę, z rozpuszczonymi włosami, blade jak śmierć. Skoro nie umarłam ze strachu tamtej nocy, będę chyba żyła wiecznie.

A potem?

Poczekajcie chwilkę. Dotarłam do domu w środku nocy, ale matka wyszła wieczorem na jarmark; prowadziła sklep. Ojciec zaś spędzał noc w domu nauki. Wśliznęłam się do łóżka, a następnego ranka, po przebudzeniu, wszystko to wydało mi się snem. Było mi wstyd opowiadać o tym komukolwiek. A przecież wszystkim wiadomo, że niebo i ziemia zmówiły się, by nie było żadnych sekretów.

Ludzie zaczęli gadać, że Cejtł i Rejčł poszczą. Nie jadły przez cały dzień i ledwie co przekąszały nocą. Mieliśmy pobożne kobie-

ty w mieście, które o świecie wspinały się po schodach do żeńskiej części synagogi, aby się modlić. W każdy poniedziałek i czwartek chodziły odwiedzać groby na cmentarzu. Raptem usłyszeliśmy, że Cejtł i Rejcl dołączyły do pobożnej gromadki w lamentach i modlitwach pokutnych. Ogoliły głowy i przywdziały czepki, jak dopiero co poślubione. Nie opuściły linijki ni słowa i rozpaczły jak w Dzień Zburzenia Świątyni. Odwiedzały też cmentarz; przywierały do grobu reb Izraela, szlochając w głos.

Ludzie znów pobiegli do reb Ejzele, ale on zbeształ ich i przegonił. Nie widział niczego złego w tym, że żydowskie córki pragną czynić pokutę. Uwielbiał zgłębiać mądrość swych ksiąg, lecz sprawy miasta niewiele go obchodziły. Usunięto go później, ale to już inna historia.

Wszędzie są intryganci i tacy to przedstawili sprawę pułkownikowi.

– Nie wciągajcie mnie w wasze żydowskie sprzeczki. Dość mam kłopotu z mymi żołnierzami – rzekł pułkownik.

Kozacy to dobrzy żołnierze, ale czasami przychodziły do nich z domu listy o tym, że żony zadają się z innymi mężczyznami. Wtedy stawali się nieobliczalni. Nieraz jakiś kozak galopował na koniu, wymachując bagnetem na prawo i lewo. Kończąc swoją pięcioletnią służbę, udawali się do sklepów po prezenty dla matek i ojców, sióstr i braci, całej rodziny. „A co zawieziesz żonie, Nikita?” – pytał wtedy właściciel sklepu. „Bat” – odpowiadał żołnierz. Wracali do swych stepów nad Donem i znajdowali w domach bękarty. Skracali żony o głowę i zsyłano ich na Syberię, na ciężkie roboty.

Na czym skończyłam? Aha, na pokucie. Cejtł i Rejcl wciąż trzymały się razem i rozprawiwały tylko o przyszłym świecie. Skupowały książki od każdego pojawiającego się w mieście domokrażcy. Gdy przybywał kaznodzieja, zadawały mu wiele pytań. Jak długo grzesznicy odpokutowują swe winy po śmierci? Jak wiele piekieł ich czeka? Kto wymierza karę? Kto dokonuje biczowania? Czym to robią? Prętem żelaznym czy miedzianym? Dowcipnisie mieli z czego żartować.

Wielu kaznodziejów odwiedzało miasto, ale najstynniejszy był reb Juzel. Kiedy wkraczał na mównicę, to było jak nie kończący się Sądny Dzień. Kiedy kreślił obraz piekieł, wszyscy drżeli. Ludzie mówili, że kobietom w ciąży niebezpiecznie jest go słuchać – niektórym przytrafiały się poronienia po jego kazaniach. Ale wiecie, jak to jest; skoro nie powinienesz czegoś czynić, jasne, że to zrobisz. Synagoga była pełna, gdy reb Juzel przemawiał. Bariierka od-

dzielająca część żeńskąomalże nie rozleciała się z trzaskiem. Jego głos docierał w najdalszy kąt, a każdym słowem ciął jak nożem.

Ostatnio, gdy przybył, również pobiegłam, aby go posłuchać. Nie jedno jest piekło, powiedział, lecz siedem, a w każdym z nich płomienie sześćdziesiąt razy gorętsze niż w poprzednim. Żył pewien człowiek w naszym mieście, Alterł Kozłower. Miał nie po kolei w głowie i wyobraził sobie, że w siódmym piekle jest miriady razy goręcej niż w pierwszym. Mężczyźni płakali jak dzieci. Kobiety jęczały i szlochały.

Cejtł i Rejcl też tam były. Wkroczyły pomiędzy mężczyzn i stały na ławce opatulone w swe szale. Zwykle kobietom wolno było przebywać w części męskiej tylko podczas karnawału Radości Torry. Ale gdy żeńska część była zbyt przepelniona, wpuszczano kilka kobiet do przedsionka i stamtąd mogły wchodzić do środka.

Reb Juzel powyznaczał kary wszystkim, ale najstraszliwsze oszczędzał dla kobiet. Opisał, jak to wiesz się je za piersi i za włosy; jak chochliki kładą je na łożu z gwoździ i drą z nich pasy. Z rozżarzonych węgli rzuca się je na śnieg, a ze śniegu na powrót na stos z węgli. Zanim trafią do piekieł, są wprzódy torturowane przez diabły, chochliki i złe duchy. Włos jeżył się na głowie, gdy się go słuchało. Byłam jeszcze młodą dziewczyną, ale zaniostałam się płaczem, aż zabrakło mi tchu. Zerknęłam na Cejtł i Rejcl; nie płakały, lecz ich oczy zrobiły się dwa razy większe niż zwykle, a twarze białe jak papier. Wydawało się, że wyziera z tych dziewcząt jakieś szaleństwo, i poczułam, że obie skończą tragicznie.

Następnego dnia reb Juzel znów prawił kazanie, ale ja miałam już dość. Ktoś powiedział później, że Cejtł udała się do niego, gdy skończył i zaprosiła do siebie. Wielu prosiło go o odwiedziny, lecz on poszedł z Cejtł. Nikt nie wie, o czym rozmawiali. Nie pamiętam, czy został tam na noc. Chyba nie; jak mężczyzna mógłby przebywać z dwiema kobietami? Co prawda Litwini mają wytłumaczenie na wszystko. Interpretują Prawo, jak im się podoba. Nie bez powodu mają przydomek „poganie”. Mój dziadek, niechaj modli się za nas, często opowiadał o litewskim Żydzie z Białej Cerkwi, który poślubiwszy gojkę, nie zaprzestał studiowania Talmudu.

Gdy reb Juzel wyjechał, w mieście znów zapanował spokój. Ale wtedy i lato się skończyło.

Którejś zimowej nocy, kiedy wszystkie okiennice dawno już były zamknięte, usłyszeliśmy na zewnątrz dziki krzyk. Ludzie wy-

biegli przerażeni. Myśleli, że to chłopci na nas napadli. Księżyc świecił jasno i naszym oczom ukazał się dziwny widok – rzeźnik Fajweł niosący Rejcl w ramionach. Wrzeszczała, wrywała się, chciała wydrapać mu oczy. Był potężnym mężczyzną i zaniósł ją prosto do izby sądowej rabina. Reb Ejzele siedział do późna, studiując księgi i pijąc herbatę z samowaru. Wszyscy krzyczeli, a Rejcl wciąż próbowała wyrwać się i uciec. Dwóch mężczyzn musiało ją trzymać. Rabi począł wypytywać.

Byłam tam i ja. Zwykle chodziłam spać wcześniej, ale tego wieczora szatkowałyśmy kapustę i wszystkie dziewczęta zgromadziły się w naszym domu. Taki był obyczaj w mieście. Szatkowałyśmy kapustę, aby ją potem kisić w beczkach, i każdy jadł chleb ze skwarkami i opowiadał jakieś historie. Jednego dnia dziewczęta spotykały się w czyimś domu, następnego w innym. Niekiedy urządzały tańce w parach. Miałam bratową, która potrafiła zagrać na grzebieniu wszystkie melodie: Taniec Nożyczek, Taniec Niezgody i Dobry Dzień.

Gdy usłyszałyśmy rumor, wszystkieśmy wybiegły.

Z początku Rejcl nic nie mówiła. Jęczała tylko, aby ją wypuścić. Ale Fajweł widział, jak chciała rzucić się do studni. Złapał ją, gdy właśnie przekładała nogę ponad krawędzią.

– Jak coś takiego mogło przyjść ci do głowy? – zapytał rabi.

– Mam dość tego świata. Chcę wiedzieć, jak jest na tamtym – odrzekła Rejcl.

– Ci, którzy podnoszą rękę na własne życie, nie dostąpią nagrody na tamtym świecie – perswadował rabin.

– Piekło też jest dla ludzi – odpowiedziała Rejcl, po czym zakrzyknęła: – Chcę pójść do mojej matki i ojca, mojej babki i dziadka. Nie chcę dłużej tułać się po tym padole też.

Takie były jej słowa. Natychmiast stało się jasne, że wszystkiego tego nauczyła się od Cejtł, bo знаła ona komentarze.

– Gdzie jest Cejtł? – zapytał ktoś, a Rejcl odpowiedziała:

– Świetnie się miewa, już jest tam, na górze...

Moi drodzy, Cejtł rzuciła się do studni chwilę wcześniej. Umarła pierwsza.

Pół miasta się zbiegło. Zapalono latarki i udaliśmy się do studni. Cejtł leżała z głową w wodzie i nogami w górze. Ktoś spuścił drabinę i wyciągnięto ją, martwą.

Rejcl trzeba było pilnować i człowiek z Bractwa Pogrzebowego zabrał dziewczynę do domu ubogich. Przekazano ją stróżowi, aby

miał na nią oko. Potem pochowano Cejtł – poza ogrodzeniem. Rejceł udawała, że odzyskała zdrowy rozsądek i żałuje swych czynów. Ale następnego dnia o świcie, gdy wszyscy jeszcze spali, wstała z siennika i poszła nad rzekę. Był mróz, ale ona rozłupała lód kamieniem. Dopiero po południu ludzie zorientowali się, że jej nie ma. Znaleźli ślady stóp na śniegu i pobiegli nad rzekę. Rejceł poszła w ślady Cejtł. Pochowano ją obok tamtej, nie usypawszy grobu, bez kawałka deski, która oznaczałaby miejsce.

Burmistrz zamknął i opieczętował dom Cejtł, jednak później znaleziono list, który napisała przed śmiercią. Tłumaczyła w nim, dlaczego opuszcza ten świat: chciała zobaczyć, co się dzieje po tamtej stronie.

Któż może wiedzieć, co kryje się w czyjejs głowie? Człowiek ubzdura coś sobie w chwilach melancholii, a potem to się rozrasta jak grzyb. Cejtł wiodła prym, a Rejceł chłonęła każde jej słowo. Czterdzieści lat minęło, odkąd umarli, i może odcierpiały już to, co było im przeznaczone.

Przez cały czas, kiedy jeszcze byłam w mieście, dom reb Izraela stał zabity deskami i nikt w nim nie mieszkał. Ludzie widzieli światła połyskujące w oknach. Pewien mężczyzna opowiadał, że przechodząc obok którejś nocy, słyszał, jak Cejtł i Rejceł rozmawiają. Całowały się, śmiały, płakały. Zgubione dusze pozostają na ziemi i nawet nie wiedzą, że już tu nie przynależą...

Słyszałam, że jakiś oficer zamieszkał później w tym domu. Ktoregoś ranka znaleziono go powieszzonego.

Dom nie jest po prostu stosem belek i desek. Ktokolwiek mieszkałby w nim, pozostawia po sobie coś więcej. Kilka lat temu spalił się cały rynek. Dzięki Bogu za pożary. Gdyby nie one, smród, który się gromadzi, sięgnąłby aż po najwyższe niebiosy.

MAGAZYN

W magazynie w niebiosach grupka nagich dusz zebrała się w oczekiwaniu na wydanie im nowych ciał. Bagdial, anioł odpowiedzialny za towar, spóźnił się nieco tego ranka. Prawdę mówiąc, Bagdial wydał glejty, upoważniające dusze do otrzymania ciał, lecz ich nie przygotował. W niebiosach tyle samo jest biurokracji, co na ziemi, tacy sami urzędnicy, którzy mitrzą czas na wyszukiwaniu rozmaitych zajęć dla bezrobotnych aniołów. Aniołowie natomiast, przyzwyczajeni do lekkiego życia, zżymają się na każdą pracę, wymagającą jakiegokolwiek wysiłku.

Dochodziła dziesiąta. Chóry anielskie dawno już odśpiewały pieśni pochwalne. Sprawiedliwi w raju spożyli już drugi posiłek z Lewiatana. Potępionych, leżących na ognistych łożach w otchłaniach piekielnych, właśnie przewrócono na drugą stronę. Tylko kancelaria nie wydała jak dotąd ni glejtu. W końcu wkroczył Bagdial, postawny anioł, którego skrzydła, mimo że rozłożyste, nie przesłaniały ani masywnych nóg, ani pępka.

– Przestańcie się pchać – wykrzyknął, nie dbając nawet o powitanie.
– Ciało wystarczy dla wszystkich. Dzień jeszcze młody. Czyj numer zostanie wywołany, ten niech wystąpi. A tymczasem zamknijcie się.

– Za chwilę wracam – powiedział jeszcze, kierując się do swojego gabinetu.

– Ranek prawie minął, a on wciąż dba tylko o swój interes – wymamrotała jakaś niecierpliwa dusza. – Zgodnie z regulaminem pracę powinno się zaczynać równo z pianem koguta.

– Skończcie z tym narzekaniem. Jeśli się komuś tu nie podoba, może donieść na mnie samemu Malbuszałowi. Macie przecież prawo zgłaszać zażalenia, zanim stąd odejdziecie.

– O nie, Bagdialu, jesteśmy ponad miarę zadowoleni! – zakrzyknęło kilka pokornych duszyczek.

– Wróć niebawem – zapewnił Bagdial, zamykając drzwi swego biura, a jedna z dusz zauważyła:

– Całkowicie bezwartościowa larwa. W dawnych czasach tacy aniołowie dostawali w niebie kopniaka i skazywano ich na życie na wygnaniu na ziemi, aby tam obcowali z córkami Adama. Niektórzy zamieniani byli w diabły albo chochliki. Teraz, od kiedy się zorganizowali, robią, co im się żywnie podoba. Wygląda na to, że boi się ich nawet sam Wszchemogący.

– Jak Bóg może bać się tego, co sam stworzył?

– To jeden ze starożytnych dylematów – rzekła dusza, która kiedyś należała do filozofa, szarpiąc przy tym cień swojej brody. – Myślę, że Bóg, choć potężny, nie jest jednak wszchemogący. Może zniszczyć świat czy nawet dwa w przypływie furii, ale nie cały kosmos. Wszchemoc oznaczałaby, że Bóg może unicestwić samego siebie i uczynić świat bezbożnym, to oczywista sprzeczność. Choć smażyłem się w piekle okrągły rok, nie jestem teraz ani o krzytnę mądrzejszy. Wciąż powtarzam za Arystotelesem, że świat nie ma początku. Kłóci się wszak ze zdrowym rozsądkiem wyobrażenie, jakoby świat powstał z niczego.

– Nie jestem uczoną, lecz po prostu zwykłą kobietą – odezwała się inna dusza – ale to jasne, że nie ma w tym wszystkim porządku. Trzydzieści jeden lat temu zostałam odtrącona od Tronu Chwały, którego jedną z nóg zwykłam polerować, wygnana na ziemię i uwięziona w ciele niepowседневnej piękności. Do dziś nie rozumiem, dlaczego zesłali mnie na ziemię. Ludzie mówią, że lubieżność to cecha mężczyzn, ale moja żądza przewyższała swą siłą lubieżność dziesięciu chłopów. Moja matka piekła wspaniałe precele z kminkiem, które lubili studenci jesziwy, ale mnie kochali jeszcze bardziej. Matka ostrzegała mnie przed mężczyznami, lecz ja, już kiedy miałam dziewięć lat, nie mogłam myśleć o niczym innym. Kiedyś widziałam dwa spółkujące psy, a potem...

– Dobrze, dobrze, rozumiemy. Stałaś się ladacznicą.

– Nie od razu.

– Jak długo smażyłaś się w piekle?

– Okrągłutki rok.

– I tak ci się udało. Wiele takich jak ty ladacznic zsyłają na pustkowiu. Gdy znajdują się w Gehennie, myślą, że są w raju. Co tam z tobą robili?

– To, co zwykle. Wieszali mnie za piersi, przrzucali z ognia do lodu i z lodu do ognia i tak dalej, z wyjątkiem oczywiście szabasów i świąt.

– Miałaś szczęście, że nie musiałaś pozostawać dłużej na tym padole łez – zauważyła inna dusza. – Mnie przyszło tam spędzić osiemdziesiąt dziewięć lat, trzy miesiące, pięć dni, dwie godziny i osiem minut.

– Czy też byłaś ladacznicą?

– Nie. Mężczyzną.

– Oto, czym chciałabym być! Jeśli mam przywdziać jakieś ciało, niechaj będzie ono płci męskiej i męska niech w nim popłynie krew.

– Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo ci na tym zależy.

– Nie jesteś jednak kobietą.

– Dlatego też zostałem skąpcem. Kobieta lekkich obyczajów zawsze sobie poradzi. Moja powłoka cielesna jedno tylko potrafiła – gromadzić pieniądze. Ożeniłem się, ale nigdy nie dawałem mojej żonie dość grosza na utrzymanie domu, a nadto oskarżałem ją o rozrzutność. Nie muszę ci tłumaczyć, jak bardzo kobiety nie znoszą dusigroszy. Cały żeński ród to istoty marnotrawne. Moja żona uporczywie gotowała dwa razy więcej owsianki, niż zdolni byliśmy zjeść, a w spiżarni zawsze stał garnek psującego się jedzenia. Mieliśmy tyle smalcu, że w końcu kwaśniał, a mąka zawsze pleśniała. Mój dobry anioł wciąż mnie prosił: „Niechaj będzie po jej woli. To daje jej radość. Po co się kłócić?” Ale mnie opętała myśl o własnej sakiewce.

– A może chociaż w łóżku ci dogadzała?

– Nawet tam byłem sknerą. Ci, którzy skąpią pieniędzy, skąpią wszystkiego. W końcu doczekałem się tego, że uciekła z szewcem.

– Zrobiłabym to samo.

– Po tym, co się stało, bałem się wziąć sobie drugą żonę. Poza tym, skąd mogłem wiedzieć, czy kobiecie, którą bym poślubił, nie zachciałoby się marcepanów. A ze mną było już tak źle, że połamałem zęby na czerstwym chlebie, bo kosztował o pół centa na bochenku mniej niż świeży. Gdy tylko wchodziłem do domu, zdejmowałem swój gabardynowy kubrak, a nawet – proszę wybaczyć wyrażenie – bieliznę. Wszystko po to, by się nie zniszczyły. Oszczędzałem nawet tabakę.

– Jak to robiłeś?

– Widząc, że ktoś szykuje sobie szczyptę, wyciągałem rękę,

aby mnie poczęstował, jednak zamiast zażyć jego tabaki, chowałem ją do woreczka.

– I dużo nagromadziłeś w ten sposób?

– Dwa pełne worki.

– Ile czasu ci to zajęło?

– Ponad czterdzieści lat.

– Gdybym ja została mężczyzną, nie żałowałabym mojej żonie niczego. Przeciwnie, obdarowałabym ją wszystkim, czego by tylko zapragnęła. Jeśli kiedykolwiek zostaniesz kobietą, przekonasz się, czego jej naprawdę potrzeba.

– Zapomniałaś o wszystkich tych babskich głupstwach, gdybyś tylko stała się mężczyzną.

– A kim ty chciałbyś być? – zapytała ladacznica.

– Nikim – odpowiedział skąpiec.

– Przypuśćmy, że uczynią cię kobietą.

– Jest mi wszystko jedno, mogą zrobić ze mnie nawet pchłę.

– A może okażesz się martwym płodem.

– Im bardziej martwym, tym lepiej.

– Nie obchodzi mnie twoje gadanie. Chcę poznać smak męskiego życia.

– Nikt nie będzie cię pytał o zdanie. Wręczą ci ciało, nie dbając o to, czy pasuje. Wiem to. Jestem tu już od ponad trzydziestu lat, a dziesięć pracowałem przy sortowaniu ciał. To, co się tu dzieje, to jeden wielki rozgardiasz. Kobięcy tułów dodają tutaj do głowy mężczyzny. Nie tak dawno ukazało się nam męskie ciało z biustem pulchnej pielęgniarki. Potrafią tu nawet pomylić, kto jakie powinien otrzymać genitalia. Słyszałaś chyba o hermafrodytach. Lenistwo i niekompetencja – oto dwie cechy, które łączy w sobie Bagdial. Gdyby nie był kuzynem Malbuszala, już dawno by go wyrzucili.

– A co z Bogiem?

– Czy ktokolwiek tutaj wierzy w Boga? U nas, w najniższym kręgu niebios, mamy samych ateistów. Nasz Bóg, jak sądzimy, zamieszkuje siódme niebo, a ono oddalone jest stąd o nieskończoność. W każdym razie tutaj Boga nie ma, to pewne.

– Cicho bądź. Bagdial nadchodzi.

2

– Nie jestem głuchy, skąpcze – powiedział Bagdial, drapiąc się prawym skrzydłem w lewy pośladek. – Gdyby Malbuszal słyszał

twoje szczekanie, dałby ci ciało psa. O nie, nie jesteśmy ateistami. Ale gdybyś tkwił tutaj od jakichś sześciuset osiemdziesięciu dziewięciu tysięcy lat i ciągle słyszał o szefie, którego nigdy nie widziałeś, sam zacząłbyś mieć wątpliwości. Czemu Bóg przesiaduje ciągle w tym siódmym niebie? Czyż nie powinien zejść do nas co jakiś czas, by zobaczyć, co się tu dzieje? Dusze odsyłane są z jednego miejsca w drugie, ubierane w to lub inne ciało. Mówicie, że my tutaj, w magazynie, zaniedbujemy swoje obowiązki... Ale jak możemy zrobić cokolwiek, skoro producenci i krojczy dostarczają nam wybrakowany towar? Prawie nigdy nie dostajemy dobrze wy-ciosanego nosa. Niemal wszystkie nosy, które otrzymujemy, są albo długie jak barani róg, albo krótkie i niekształtne jak kartofel. Nasi dostawcy zajmują się nosami już od czasów Matuzalema, ale wciąż jeszcze nie znają swego fachu. Usta, które nam przysyłają, są również albo zbyt wąskie, albo zbyt wypukłe. Ucho nie ma przyzwoitych proporcji. Anioł odpowiedzialny za prokreację powinien dbać o to, by każda z płci otrzymała właściwe narządy. Tymczasem jest on największym partaczem ze wszystkich. Nie zdziwiłbym się, gdyby kiedyś skrzyżował słonia z myszą. A wy...? Każdy z was żąda pięknego ciała. Lecz kiedy już je dostanie, jaki robi z niego użytek? Niszczy je pijaństwem, lubieżnością lub gnuśnością. Niedawno udało nam się stworzyć dzieło godne najwyższej pochwały; duszę i ciało dopasowane wprost idealnie. Raz na tysiąc lat udaje nam się coś takiego. Ale to wypieszczone ciało zaczęło jeść z takim zapamiętaniem, jak gdyby obdarzone było żołądkiem bez dna. Jadło tak przez czterdzieści lat, aż zamieniło się w beczkę, aż obróciło się w zwykłą, obrzydliwą kupę mięsa. I cóż, skapcze, czy zamierzasz bluźnić dalej? Bo jeśli tak, będę musiał...

– Nie bluźniłem! Przysięgam. Jaki rodzaj ciała przeznaczacie dla mnie?

– Ciało eunucha.

– Mówiłem wprawdzie, że chętnie zostałbym nawet pchłą, ale czemu eunucha?

– Słyszałem. Mamy pod ręką jedno takie ciało, które przypadnie ci do gustu. Nigdy już nie będziesz mógł związać się z kobietą. Bo i nie zasługujesz na to, aby ktokolwiek towarzyszył ci w życiu.

– Cóż więc jest pokusą dla eunucha?

– Pieniądze.

– To znaczy, że będę bogaty?

– Będiesz najbogatszym mieszkańcem domu dla ubogich w Pińczowie.

– Co powinienem naprawić?

– Całą tabakę, którą ukradłeś, zwrócisz jej prawowitym właścicielom. Częstowali cię, abyś ją zażywał, nie zaś gromadził.

– Skąd wezmę tyle tabaki?

– To już twoje zmartwienie. Hej tam, ladacznico!

– A co szykujecie dla mnie?

– Będiesz kobietą.

– Znów?

– Właśnie.

– Dlaczego tym razem nie mogłabym być mężczyzną?

– Nie targuj się ze mną. Ja rozdaję glejty, nie ciała. Ostatnia dostawa męskich ciał nie była kompletna. Wczoraj, w fabryce, aż osiemdziesiąt z nich uległo zniszczeniu. W tym roku mamy nadprodukcję kobiet. Ale pozbędziemy się ich wszystkich, bo edykt rabiego Gerszona przeciwko poligamii zostanie prawdopodobnie zniesiony. Każdy nieudacznik marzy o tym, by mieć harem. Nawet pomocnicy krawców chcieliby zostać królami Salomonami. Jeśli chcesz znać moje zdanie, powiem ci, że lepiej być mózdzierzem niż tłuczkiem.

– Chcę być mężczyzną, chociaż jeden raz.

– Wszyscy mamy nie spełnione marzenia. Ja, na przykład, pragnę być Serafinem i zasiadać w raju pomiędzy Batszebą a Abigail. Ale zamiast tego muszę przychodzić tutaj przez sześć dni w tygodniu i wręczać glejty na wybrakowane ciała. Każdy pertraktuje ze mną, jakbym miał moc Metatronu. Sam nie wiem, jak to wszystko wygląda w pozostałych niebiosach, ale tutaj, w magazynie, panuje po prostu chaos. Są chwile, kiedy zazdrozczę nawet nędznym stworzeniom zsyłanym na ziemię. Ostatecznie na ziemskim padole istnieją chociaż pokusy. Jeśli ktoś się bardzo stara i zwalcza je, może osiągnąć świętość i otrzymać nagrodę w raju. A cóż ja mam? Nic. Nikt nie kusi mnie do złego, a karmią tylko kwaśnym mlekiem księżycowym. Niewdzięcznicy obrzucają mnie oszczerstwami. Żałuje mi się nawet odrobiny gwiazdowego pyłu. Słuchając plotkarzy, zaczynam wierzyć, że gdybym nie był kuzynem Malbuszala, w ogóle bym nie istniał.

– Ale tę drobną przysługę mógłbyś mi chyba wyświadczyć.

– Jaką znów przysługę, ladacznico? Zabieraj swój glejt i wychodź. Byłaś rozpustnicą przez osiemnaście lat, teraz, przez do-

kładnie tyle samo, będziesz cnotliwa. Jeśli nie, wrócisz i dostaniesz ciało z dwoma garbami; jednym z przodu, a drugim z tyłu.

– Czy oglądałeś już moje ciało?

– Rzuciłem na nie okiem.

– No i jak?

– Po co miałbym ci o tym mówić? Gdy tylko wrócisz na ziemię, zapomnisz, że ciało to jedynie szata. Tam, na dole, uważa się ciało za początek i koniec wszystkiego. Każdy, kogo napotkasz, będzie cię przekonywał o nieistnieniu duszy.

– Jak będę wyglądała?

– Abyś mogła z powodzeniem naprawić błędy popełnione w poprzednim życiu, nie będziesz specjalnie piękna. Ciało, które otrzymasz, pomoże ci wypełnić twoje zadanie.

– Więc mam być brzydka?

– Mężczyźni nie będą zwracali na ciebie uwagi, ale i ty nie będziesz o nich dbała. Otrzymasz dziewięć miarek nieśmiałości, dokładnie tyle, ile potrzeba, by zostać starą panną.

– Ty parszywy łajdaku!

Tymczasem inna dusza przeleciała ponad rozmawiającymi.

– Kim jesteś? – spytał Bagdial. – Nie poznaję cię.

– Jestem Lejbke, złodziej.

– Dobrze, a więc nie będziesz więcej kradł. Będziesz rabowany przez innych. Odbiorą ci wszystko; pieniądze, żonę, nawet poduszkę, na której spoczywa twoja głowa. Pieniądze schowasz w cholewkach butów, pójdiesz do łaźni i postawisz buty tuż za swoimi plecami. Obiecasz sobie nigdy już nie chować niczego w butach, ale nie będziesz mógł się powstrzymać. Każdy z nas składa się ze swych własnych, rozmaitych obsesji. Kiedyś mieliśmy tutaj karciarza. Wiesz, co on zrobił? Grając w pokera, postawił na szalę swoją żonę. Czy uwierzysz, co miał? Parę waletów. Był wielkim blagierem, ale nic nie pomoże bluff, gdy przeciwnik ma cztery asy. Kiedy jego żona wróciła do niego po trzech miesiącach, była ciężarna. Usiłował się zabić łykając łyżkę wazową.

– I połknął ją?

– Utkwiła mu w gardle. I jaki to miało sens? Ale wiesz przecież, jacy potrafią być ludzie. Aniołowie nie są ani trochę mądrzejsi. A ty kim jesteś?

– Jestem Chaim, woźnica.

– Skoro miałeś piękną żonę, i w dodatku zdradzałeś ją z gojką, po co ci była kobyła?

- Nie wiem.
- Czy nigdy nie słyszałeś o tym, że konie kopią?
- Wyleciało mi to z głowy.
- Wszyscy tam, na dole, zapominają. Czy to ich wina? Najbardziej niedoskonała spośród wszystkich ludzkich organów jest część mózgu odpowiedzialna za pamięć. Zimą ludzie zakładają dwie pary gaci, a gdy idą do wychodka, zdejmują tylko jedno. Jedno, czego nigdy nie zapominają, to wyrządzonych sobie krzywd. Dwie siostry z Frampola przez sześćdziesiąt lat kłóciły się o ogon od śledzia. Kiedy starsza umarła, młodsza oddała mocz na jej grobie. Ty, Chaim, będziesz koniem tym razem. Będziesz ciągnął wóz z Izbicy do Krasnegostawu.
- Czy zrobili tam już drogę?
- Jest ona tak samo błotnista, jak była, tylko jeszcze bardziej nierówna.
- Jeśli tak, to chyba nie ma Boga.
- Powiedzmy, że nie ma. Czy dzięki temu będzie ci lżej ciągnąć ten wóz? Ostatecznie stracisz na tym tylko trzy lata. Czerwony Zelig zachłósze cię na śmierć.
- To on się jeszcze tam kręci, ten morderca?
- Ma z tobą porachunki. Nie zapomniał do dziś, że sprzedałeś mu kulawego ogiera.
- To było trzydzieści lat temu. Sam zostałem oszukany. Kupiłem konia od Cygana.
- Wiemy o tym. Wszystko jest u nas zapisane. Cygan jest teraz ogierem, a ogier Cyganem. Jednak bat pozostaje batem i zawsze ma siedem węzłów. Hej, a ty kim jesteś?
- Jestem Szifra, kucharka.
- Nie masz prawa pluć w owsiankę swego pracodawcy, nawet jeśli on pluje ci w twarz.
- Czym się teraz stanę?
- Jego spluwaczką.
- Czy będę czuła, jak pluje?
- Wszystko żyje i czuje. Twój pracodawca cierpi na gruźlicę i będzie słuwał do ciebie, dopóki nie wypluje płuc do ostatka. Oboje powrócicie tu za trzy kwartały.
- Razem?
- Będziecie sobie poślubieni. Tutaj, w poczekalni raju, zostaniesz jego podnóżkiem.
- Wolałabym już być pisuarem w Gehennie.

– Ty głupia flądro, ten sentymentalny dupek cię kochał. Tacy są mężczyźni: plują na wszystko, czego nie mogą mieć.

Bagdial podrapał się po karku jednym ze swych dolnych skrzydeł i zapadł w stan cichej zadumy.

– Czy rzeczywiście w niebie jest o wiele lepiej?– zapytał w końcu. – Tkwię tutaj cały dzień pośród pospólstwa i słucham, jak drażnią się ze mną. Inni aniołowie śpiewają sobie hymny trzy razy na dzień i na tym koniec. Niektórzy nie potrafią nawet śpiewać, a tylko ryczą. Im wyższą masz rangę, tym mniej roboty. On stworzył świat w ciągu sześciu krótkich, zimowych dni i odtąd już tylko odpoczywa. Są tacy, którzy sądzą, że niezbyt się napracował.

– Chcesz więc powiedzieć, że nie był Pierwszą Przyczyną? – oburzył się filozof.

– Któż inny mógłby być Pierwszą Przyczyną? On jest zazdrosnym Bogiem. Nigdy nie oddałby kontroli nad taką siłą. Ale być przyczyną, a sprawować mądre rządy, to całkiem inna historia.

OGNISTA HENNE

Tak, zdarzają się ludzie-demony. Zachowaj nas Boże. Matki wiedzą to już w dniu narodzin, ale nigdy o tym nie mówią.

Ognista Henne, bo tak ją nazywano, nie była ludzką istotą, lecz żywym ogniem rodem z Gehenny. Wiem, że nie powinno się źle mówić o zmarłych, a ona nacierpiała się okrutnie za swe grzechy. Czy to jej wina, że wciąż trawił ją ogień? Dało się go zauważyć w oczach, gorejących jak dwa węgle. Strach było na nią spojrzeć. Czarna jak Cyganka, miała szczupłą twarz i zapadnięte policzki, była wychudzona – tylko skóra i kości. Widziałam ją kiedyś kąpiącą się w rzece. Wszystkie żebra można było policzyć. Ale jakim sposobem ktoś taki jak Henne miałby przytyć? Cokolwiek by do niej powiedzieć, choćby całkiem niewinnie, zaraz czuła się dotknięta. Zaczynała wrzeszczeć, wygrażać pięściami, kręcić się w kółko jak opętana. Jej twarz białała wtedy ze złości. Połknęłaby cię żywcem, gdybyś próbował się bronić, a potem zaczęłaby tłuc talerze. Co kilka tygodni jej mąż, Beryl Czachełes, musiał kupować nową zastawę.

Była chorobliwie podejrzliwa. Całe miasto myślało tylko o tym, by ją dopaść. Kiedy wpadła we wściekłość, mówiła takie rzeczy, które nawet szaleńcowi nie przyszłyby do głowy. Klątwy wylewały się z jej ust jak robaczywe ziarnka grochu. Znała na pamięć każde przekleństwo ze Świętej Księgi. Nie gardziła też rzucaniem kamieniami. Pewnego razu, w środku zimy, wybiła okno sąsiadowi, a on nigdy się nie dowiedział, dlaczego.

Henne miała dzieci, cztery córki, ale uciekły z domu, gdy tylko dorosły. Jedna najęła się na służbę w Lublinie, druga wywędrowała do Ameryki, najpiękniejsza, Malkete, umarła na szkarlatynę, a czwar-

ta wyszła za mąż za starego człowieka. Wszystko było lepsze niż życie z Henne.

Jej mąż, Beryl, musiał być chyba święty. Tylko święty mógł wytrzymać z taką jędzą przez dwadzieścia lat. Wyrabiał sita. Wtedy w zimowe dni pracę zaczynało się jeszcze po ciemku. Trzeba było zaopatrzyć się we własną świecę, a pracowało się za pół darmo. Byli biedni, rzecz jasna, lecz nie oni jedni. Wagon kredy nie wystarczy, by opisać wszystkie złorzeczenia, którymi go obrzuciła. Mieszkałam tuż obok i słyszałam kiedyś, jak krzyknęła za nim, gdy o świcie wychodził do pracy: Obyś wrócił nogami do przodu. Nie mam pojęcia, o co go obwiniała. Oddawał jej każdy grosz i kochał w dodatku. Jak człowiek może kochać taką diabolicę? Tylko Bóg wie. W każdym razie, kto zrozumie, co dzieje się w sercu mężczyzny?

Jednak, drodzy moi, nawet on w końcu uciekł od niej. Któregoś letniego ranka, w piątek, wybrał się do rytualnej łaźni i przepadł jak kamień w wodę. Gdy Henne usłyszała, że widziano, jak opuszczał wioskę, upadła w konwulsjach prosto do rynsztoka. Walała głową o kamienie, syczała jak wąż, a z ust toczyła pianę. Ktoś włożył klucz w jej lewą dłoń, jednak nic to nie pomogło. Chustka Henne zsunęła się, zdradzając fakt, że nie goliła głowy. Zanieśli ją do domu. Nigdy nie widziałam takiej twarzy, zielonej jak trawa, z wywróconymi oczami. Gdy tylko doszła do siebie, zaczęła kłąć i myśleć, że właśnie od tamtej pory – już nigdy nie przestała. Podobno przeklinała nawet we śnie. Stała w Jom Kipur w żeńskiej części synagogi i gdy żona rabina recytowała modlitwę dla tych, którzy nie umieją czytać, nagle zwymyślała rabina, kantora, starszyznę. Mężowi swemu życzyła po czterokroć czarnych sądnych dni, ospy i gangreny. Bluźniła też przeciwko Bogu.

Odkąd Beryl ją opuścił, całkiem już zdziczała. Przyjęło się, że porzucona kobieta spędza czas zaczyniając ciasto w domach innych ludzi bądź zostaje służącą. Ale kto wpuściłby do domu taką złośliwą wiedźmę jak Henne? Próbowwała sprzedawać ryby w każdy czwartek, lecz gdy jakaś kobieta pytała ją o cenę, Henne zwykła odpowiadać:

– I tak nie masz zamiaru nic kupić, więc po co przychodzisz mi dokuczać? Poszperasz tylko, a i tak kupisz gdzie indziej.

Jedna z gospodyń wzięła do ręki rybę i uniosła skrzela, by sprawdzić jej świeżość.

– Czemu ją wachasz? Za ważna jesteś, żeby jeść zepsutą rybę?
– wrzasnęła wtedy Henne, wyrываяjąc towar kobiecie.

I wykrzyczała cała listę grzechów, rzekomo popełnionych przez rodziców, dziadków i pradziadków klientki, i tak aż po dziesiąte pokolenie. Inni sprzedawcy ryb pozbyli się swego towaru, a Henne została z pełnym wiadrem. Co kilka tygodni robiła pranie. Nie pytajcie mnie, jak to się odbywało. Kłóciła się o wszystko: o balie, o sznury na bieliznę, o pompę. Jeśli znalazła najdrobniejszy pyłek na rozwieszanej do suszenia koszuli, o zabrudzenie oskarżała sąsiadki. Zaś sama ściągała bieliznę innych. Nad połową miasta unosił się jej przeraźliwy wrzask. Ludzie bali się Henne i dawali za wygraną, ale i to nie wystarczało. Odpowiedziałeś jej – podnosiła raban, a jeśli milczałeś – wykrzykiwała:

– Czy to nie honor odzywać się do mnie?

Nie sposób było mieć z nią do czynienia i nie narazić się na obrazę.

Z początku córki z wielkich miast przyjeżdżały do niej na święta. Dobrze z nich były dziewczyny – wdały się w ojca. W jednej chwili matka i córki całowały się, padały sobie w objęcia i zanim się obejrzałeś, już w Zaułku Rzeźników, gdzie mieszkaliśmy, rozpętywała się karczemna awantura. Tłukły się talerze, pękały szyby w oknach. Dziewczyna wybiegała z domu jak oparzona, a Henne, goniąc ją z pogrzebaczem, wrzeszczała:

– Dziwko, ladacznico, więdźmo, winnaś szczeznąć w brzuchu swojej matki!

Odkąd Beryl odszedł od niej, Henne podejrzewała, że córki coś o nim wiedzą. Choć zaklinały się na wszystkie świętości, Henne piekliła się:

– Usta wam wyrosną z tyłu głowy od tych kłamliwych przysięg.

Cóż mogły począć biedne dziewczyny? Unikały jej jak zarazy. Zaś Henne udała się do wiejskiego nauczyciela, aby napisał jej listy, w których się swych córek wyrzeka. Nie jest już ich matką, a one jej dziećmi.

Jakkolwiek by było, w małym miasteczku nie dadzą nikomu umrzeć z głodu. Dobrzy ludzie użalili się nad Henne. Przynosili jej zupę, barszcz z czosnkiem, bochenki chleba, ziemniaki i co tam mieli, stawiając to wszystko na progu. Przystąpić go, to niczym wejść do jaskini lwa. Henne ledwie próbowała tych datków. Wyrzucała je do dołu na śmieci. Ludzie tacy jak ona żyją walką.

Odkąd dorośli ją zlekceważyli, Henne zaczęła awanturować się z dziećmi. Przechodzącemu chłopcu zerwała nagle czapkę z głowy, bo ponoć ukradł jej gruszki z drzewa. Gruszki były twarde jak drewno i smak miały podobny, świnia by ich nie zjadła. Henne po

prostu szukała zaczepki. Sama ciągle kłamała i wszystkich wokół nazywała kłamcami. Poszła do naczelnika policji i doniosła na pół miasta, oskarżając tego o fałszerstwo, innego znów o szmugiel z Galicji. Zeznała, że chasydzi nie szanują cara. Jesienią, podczas poboru rekrutów, Henne obwieściła na targu, że pomija się bogatych chłopców, a zabiera tylko biednych. To prawda. Ale czy byłoby lepiej, gdyby brali wszystkich? Ktoś musi służyć. Jednak Henne, tak szlachetna, nie mogła ścierpieć niesprawiedliwości. Rosyjscy urzędnicy bali się, że ściągnie na nich kłopoty, i wysłali ją do zakładu dla obłąkanych.

Byłam tam, gdy żołnierz i policjant przyszli ją zabrać. Ruszyła na nich z siekierą. Zrobiła taki raban, że zbiegło się całe miasto. Ale cóż może słaba kobieta? Kiedy ją wlekli i pakowali na furmankę, klęła po rosyjsku, po polsku i w jidysz. Kwiczała jak zarzynana świnia. Zabrano ją do Lublina i wpakowano w kaftan bezpieczeństwa.

Nie wiem, jak to się stało, ale musiała się dobrze zachowywać, bo za niespełna pół roku z powrotem była w mieście. Do jej chaty wprowadziła się jakaś rodzina, lecz Henne wyrzuciła całą gromadkę w środku zimnej nocy. Następnego dnia obwieściła, że ją okradziono. Zaglądała do wszystkich sąsiadów w poszukiwaniu swej własności, obrażając przy tym każdego. Przestali ją wpuszczać do żeńskiej synagogi, a raz nawet wyrzucili, gdy chciała wykupić miejsce na Straszne Dni. Sprawa przybrała już taki obrót, że kiedy Henne szła po wodę do studni, wszyscy uciekali. Po prostu niebezpiecznie było do niej podejść.

Nawet dla zmarłych nie miała szacunku. Gdy przejeżdżał karawan, pluła na niego, życząc zmarłemu, by jego dusza po wsze czasy błąkała się po pustkowiach. Co poczciwsi spośród ludzi puszczali to mimo uszu, ale gdy trafiło na żałobników o umiarkowanej cierpliwości, dostawało się Henne. Ale ona lubiła być bita; taka jest prawda. Biegała wtedy, chwalać się guzem ofiarowanym przez tego, podbitym okiem sprezentowanym przez tamtego. Pędziła do aptekarza po pijawki i balsamy. Ciągnęła wszystkich do rabina, ale woźny nie chciał jej już słuchać, a rabin wydał zakaz wpuszczania tej kobiety do gabinetu. Próbowwała też szczęścia u gojów, ale oni tylko ją wyśmiewali. Nic jej nie pozostało oprócz Boga. A zdaniem Henne, ona i Wszzechmogący byli w najlepszej komitywie.

Posłuchajcie teraz, co się stało. Opoдал Henne mieszkał woźnica, Kopel Kloc. Kiedyś, w środku nocy, zbudziło go wołanie o pomoc. Wyjrzał przez okno i zobaczył, że pali się dom szewca po

drugiej stronie ulicy. Złapał wiadro z wodą i pobiegł pomóc gasić. Ale to nie u szewca się paliło, w oknie tylko odbijał się płonący dom Henne. Kopel pobiegł tam i zobaczył, że wszystko stoi w płomieniach: stół, ława, kredens. Nie był to jednak zwyczajny ogień. Małe ogniki fruwały dookoła jak ptaki. Płoneła też nocna koszula Henne. Kopel zdarł ją z nieszczęsnej, a ona stała tam golusieńka jak w dniu swych narodzin.

Pożar w Zaułku Rzeźników to nie byle co. Drewniane domy są suche nawet zimą. Od jednej iskry cała uliczka może obrócić się w popiół. Ludzie zbiegli się na ratunek, ale płomienie tańczyły i wywijają salta. W każdej chwili coś jeszcze mogło się zająć. Henne okryła swoje nagie ciało szalem, a frędzle poczęły się jarzyć jak drobniutkie świeczki. Mężczyźni walczyli z pożarem aż do świtu. Niektórych pokonał dym. To nie były płomienie, lecz gnomy z piekła rodem.

Rankiem zdarzył się następny wybuch. Pościel Henne zaczęła płonąć sama z siebie. Poszłam tego dnia do jej chaty. Prześcieradło było całe w dziurach, kołdra i poduszka też. Ciasto w brytfannie spiekło się na płaski bochen chleba. Ognista miotła szurała po podłodze, podpalając śmieci. Języki ognia lizały wszystko. Uchowaj Boże, ale to były sztuczki Piekielnych Zastępów. Henne wysyłała wszystkich do diabła, a teraz diabeł wziął się za nią.

Ogień został jakoś opanowany. Ludzie z Zaułka Rzeźników ostrzegli rabina, że jeśli nie nakłoni Henne do opuszczenia miasteczka, wezmą sprawę w swoje ręce. Każdy bał się o rodzinę i dobytek. Nikt nie chciał płacić za cudze grzechy. Henne przyszła do domu rabina.

– Gdzie mam się podziąć? – lamentowała. – Mordercy, złodzieje, bestie!

Poczęła chrypieć jak wrona. Gdy tak przemawiała, jej chustka zajęła się ogniem. Gdy Henne błagała rabina, żeby pozwolił jej u siebie zostać, dom nieszczęsnej stanął w ogniu. Ci, którzy tego nie widzieli, nie mają pojęcia, co mogą demony. Płomień buchnął z dachu i przybrał kształt mężczyzny o długich włosach. Tańczył i poświstywał. Dzwony kościelne ogłosiły alarm. Strażacy robili, co mogli, ale po kilku minutach nie zostało nic, tylko komin i kupa zgliszcz.

Później Henne rozpuściła plotkę, że sąsiedzi podłożyli jej ogień. Ale tak nie było. Kto by się odważył na coś takiego, zwłaszcza przy wietrze. Jest na to mnóstwo świadków. Ognista zjawa machała ra-

mionami i śmiała się obłąkańczo. Wzniosła się w powietrze i zniknęła pomiędzy chmurami.

Wtedy to właśnie ludzie nazwali Henne „Ognistą”. Do tej pory znana była jako Czarna Henne.

2

Kiedy Henne została bez dachu nad głową, próbowała przenieść się do przytułku, ale biedni i chorzy za nic nie chcieli jej wpuścić. Nikt nie chciał być spalony żywcem. Po raz pierwszy Henne milczała. Pewien goj, drwal, przyjął ją do swego domu. Gdy tylko przestąpiła próg, trzonek jego siekiery zajął się ogniem, a ona wybiegła. Zamarzłaby na śmierć, gdyby jej rabin nie przygarnął.

Nie opodal domu rabin miał kuczkę, z której korzystał podczas święta Szałasów. Jej dach można było podnosić lub opuszczać za pomocą kilku bloczków. Syn rabina zainstalował tam blaszany piecyk, więc Henne nie groziło zamarznięcie. Żona rabina postarała się o łóżko z materacem ze słomy i pościel. Cóż więcej mogli zrobić? Żydzi nie pozwolą nikomu zginąć. Mieli nadzieję, że demony uszanują kuczkę i że nie strawią jej płomienie. Co prawda nie było tam mezuzy, ale w jej miejsce rabin powiesił na ścianie talizman. Niektórzy z miasta chcieli przynosić Henne coś do jedzenia, lecz żona rabina powiedziała:

– Tę odrobinę, którą ona zjada, sama mogę zapewnić.

Zimowe chłody nadeszły zaraz po święcie Szałasów i trwały aż do święta Purim. Domy skryły się pod śniegiem. Rankiem wszyscy musieli odgarniać go łopatami. Henne całe dni leżała w łóżku. Była już nie ta sama: potulna jak owieczka. Jednak diabeł wyzierał jej z oczu. Syn rabina co ranka podsyczał ogień w piecyku w szałasie. Meldował potem w domu nauk, że Henne leży cały dzień wtulona w pierzynę i nie wydaje dźwięku. Rabinowa napomknęła, że może Henne przyszłaby do kuchni i pomogła trochę w robocie. Jednak Henne odmówiła.

– Nie chcę, by coś się stało z książkami rabina – powiedziała.

W mieście szeptano, że ponoć Zły już ją opuścił.

Około święta Purim nagle się ociepliło. Lód odtajał i rzeka wylała. Zalało ulicę Mostową. Biedakom zawsze jest ciężko, lecz gdy nocą przychodzi powódź i cały dobytek rozplywa się wokoło, życie staje się nie do zniesienia. By przedostać się przez ulicę Mostową, trzeba było używać tratwy. Piekarnia zaczęła już szykować

macę na Pesach, ale worki nasiąknęły wodą i mąka przestała nadawać się do użytku.

Nagle w domu rabina rozległ się krzyk. Kuczka buchnęła płomieniem, niczym lampion z papieru. Stało się to w środku nocy. Później Henne opowiadała, jak ognista ręka zsunęła się z dachu i w sekundę było po wszystkim. Złapała tylko koc, by się przykryć, i wybiegła na błotniste podwórze bez ubrania. Jakiż wybór miał rabin? Musiał ją wziąć do siebie. Rabinowa nie sypiała po nocach. Henne rzekła do rabina:

– Nie powinniście dopuścić, żebym wam to zrobiła.

Jeszcze zanim szafas się spalił, zamężna córka rabina, Tałbe, zawięła swą wyprawę w prześcieradło, aby ją mogła uratować na wypadek pożaru.

Następnego dnia starsi zwołali zebranie. Dużo mówili i targowali się, ale nie mogli niczego postanowić. Ktoś zaproponował, żeby wysłać Henne do innego miasta. Wpadła do gabinetu rabina – sukienkę całą miała w strzępach, żywy strach na wróble.

– Rabi, całe życie tu przeżyłam i tutaj chcę umrzeć. Pozwól im wykopać dla mnie grób i niech mnie pochowają. Cmentarz się nie zapali – wołała, zadziwiając wszystkich odzyskaną mową.

Był na zebraniu murarz reb Zelig, przyzwoity człowiek, i ten w końcu zaproponował:

– Rabi, zbuduję dla niej domek z cegły. Cegła się nie pali.

Nie chciał za swą pracę żadnej zapłaty, tylko zwrotu wydatków. Wtedy dekarz obiecał zrobić dach. Henne miała kawałek ziemi w Zaułku Rzeźników, a i komin został nie naruszony.

Na zbudowanie domu potrzeba miesięcy, ale ten budynek wzniesiono między świętem Purim a Pesach i każdy przyłożył do tego rękę. Chłopcy z domu nauki uprzątnęli popiół. Szkolne dzieciaki nosiły cegieł. Studenci jesziwy mieszały zaprawę. Szklarz Judeł powstawał szyby. Jak mówi przysłowie: w gromadzie nikt nie zginie. Pewien bogaty człowiek, reb Falik, ofiarował blachę na dach. Jednego dnia była tam tylko ruina, a następnego już stał dom. Na razie tylko mury, bez podłogi, lecz czegoż trzeba samotnej osobie? Zaopatrzono Henne w żelazne łóżko, poduszkę, materac ze słomy i pierzynę. Nawet nie spojrzęła na budowniczych. Siedziała sobie w kuchni rabina i wyglądała, czy się coś nie pali.

Dom był gotowy akurat na dzień przed Pesach. Fundusz dla ubogich wyposażył Henne w macę, ziemniaki, jajka, chrzan, wszystko, co było potrzebne. Sprezentowano jej nawet nowy ze-

staw talerzy. Była tylko jedna rzecz, której wszyscy odmówili – przyjęcia jej na Sederową wieczerzę. Wieczorem podejrzeli ją przez okno: żadnego święta, żadnego Sederu, żadnych świec. Siedziała na ławie, chrupiąc marchewkę.

Nie da się przewidzieć, jak się los potoczy. Z początku nie było wieści od Mindeł, tej córki Henne, która wyjechała do Ameryki. Jak to mówią? Za morzem jest inny świat. Wyjeżdżają do Ameryki i zapominają o ojcu, matce, żydowskim pochodzeniu i Bogu. Mijały lata, a ona nie dawała znać o sobie. Jednak w końcu Mindeł udowodniła, że jest oddanym dzieckiem. Wyszła za mąż za człowieka, który stał się niewyobrażalnie bogaty.

Listonosz z naszej poczty był prostym wieśniakiem. Któregoś dnia pojawił się ktoś nowy. Miał długie wąsy, pozłacane guziki przy marynarce, a na czapce nosił odznaki. Przyniósł list, który musiał być podpisany przez adresata. Jak myślicie, do kogo był ten list? Do Henne. A ona tak umiała się podpisać, jak ja tańczyć kadryla. Nasmarowała trzy znaczki na kwicie, a ktoś poświadczył. Mówiąc krótko, list ten zawierał pieniądze. Nauczyciel Lippe przyszedł go przeczytać, a pół miasta słuchało.

„Droga matko, skończyły się twoje kłopoty. Mąż mój stał się bogaty. Nowy Jork to wielkie miasto, gdzie w środku tygodnia jada się biały chleb. Każdy mówi po angielsku, Żydzi też. Nocą jest tak jasno jak w dzień. Pociągi jeżdżą po wysokich traktach, równo z dachami. Pogódź się z ojcem, a ja obojgu wam przyślę bilety do Ameryki.”

Ludzie w miasteczku nie wiedzieli, czy śmiać się, czy płakać. Henne wysłuchała, lecz nie rzekła ni słowa. Nie przeklinała i nie błogosławiła.

W miesiąc później nadszedł następny list i za dwa miesiące, i później. Amerykański dolar wart był dwa ruble. Żył w mieście pewien agent, który usłyszawszy, że Henne dostaje z Ameryki pieniądze, proponował jej rozmaite transakcje. Może chciałaby kupić dom albo udział w sklepie? Mieszkał w naszym mieście niejaki Lejzer, zwany gońcem, choć nikt go nigdzie nie posyłał. Przyszedł do Henne i chciał się wynająć do poszukiwania jej męża. Lejzer był pewien, że uda mu się go odnaleźć, jeśli tylko żyje, i albo go ściągnie do domu, albo zmusi, by wysłał akt rozwodowy. Odpowiedź Henne brzmiała:

– Jeśli go masz przyprowadzić, przyprowadź nieżywego i żeby cię pokreśliło.

Henne pozostała sobą, ale sąsiedzi poczęli jej nadskakiwać. Tacy są ludzie. Gdy poczują grosz, zaraz się podniecają. Spieszyli ją teraz pozdrawiać, nazywali Hennele, usługiwali. Henne wprost promieniała, patrząc na nich, i mamrotała przekleństwa. Powędrowała prosto do karczmy Sruła, kupiła wielką butelkę wódki i zabrała ją do domu. Żeby skrócić długą historię – Henne zaczęła pić. Nawet u gojów rzadko się zdarza, żeby kobieta piła, a już Żydówka! To było wręcz nie do pomyślenia. Henne leżała w łóżku i lała w siebie wódkę. Śpiewała, płakała, robiła głupie miny. Spacerowała po targu w bieliźnie, a urwisy biegały za nią z krzykiem. To świętokradztwo, zachowywać się tak jak Henne, lecz cóż mogli na to poradzić mieszkańcy miasteczka? Nikt nie idzie do więzienia za picie. Sami urzędnicy często upijali się w trupa. Sąsiedzi twierdzili, że Henne wstaje rano i wypija kieliszeczek wódki. To jej śniadanie. Potem idzie spać i gdy się budzi, zaczyna pić na poważnie. Czasami, gdy nachodził ją kaprys, otwierała okno i wyrzucała monety. Malcyomalże zabijali się nawzajem, próbując je zebrać. Gdy tak grzebali w ziemi w poszukiwaniu pieniędzy, wylewała na nich pomyje. Rabi posłał po nią, ale próżno było strzepić język. Zaplanowało przekonanie, że w końcu zapije się na śmierć. A jednak stało się inaczej.

Henne miała zwyczaj wychodzić z domu każdego ranka. Czasami szła do studni po wodę. W Zaułku Rzeźników było kilka bezpańskich psów i Henne od czasu do czasu rzucała im kość. Nie było wychodków i wieśniacy załatwiali swoje potrzeby na dworze. Minęło kilka dni i nikt nie widział Henne. Sąsiedzi próbowali zajrzeć przez okno, ale miała zaciągnięte zasłony. Pukali do drzwi, lecz nikt nie otwierał. W końcu wyłamali je, a to, co zobaczyli, oby się nigdy już nie powtórzyło. Jakiś czas temu Henne kupiła od wdowy tapicerowane krzesło. Zwykła siedzieć na nim, pijąc i bulgocząc do siebie. Gdy wdarli się do środka, na krześle siedział szkielet, czarny jak węgiel.

Henne, moi drodzy, była spalona na popiół. Ale jak? Samo krzesło było niemal nie tknięte, tylko materiał na oparciu nadpalony. Aby tak całkowicie strawić człowieka, potrzebny jest płomień większy niż ten w piątkowej łaźni. Nawet by upiec gęś, potrzeba dużo drewna. Lecz krzesło było nie naruszone. Pościel na łóżku też nie zajęła się ogniem. Henne kupiła komodę, stół, szafę i wszystko to było jak nowe. Tylko z niej został kawałek węgla. Nie było ciała, które można by umyć i ubrać do trumny. Urzędnicy pospieszyli do

domu Henne i nie mogli uwierzyć własnym oczom. Nikt nie widział ognia, nikt nie poczuł dymu. Skąd mógł się wziąć taki piekielny ogień? Na piecu i pod trójnogiem nie dało się znaleźć ani jednej zapalki. Henne rzadko gotowała. Przyjechał miejski doktor, Czapiński. Oczy wybałuszył i stał tak, niczym skamieniały.

– Jak to możliwe? – zapytał szef policji.

– To niemożliwe – odpowiedział doktor. – Gdyby ktoś mi opowiedział o czymś takim, nazwałbym go plugawym kłamcą.

– Jednak to się stało – przerwał mu szef policji.

– Po prostu nie rozumiem – wymamrotał Czapiński, wzruszając ramionami.

Ktoś podsunął, że może to był piorun. Ale już od tygodni nie było ni pioruna, ni gromotu.

Okoliczni dziedzice dowiedzieli się o wypadku i przybyli na miejsce. Zaułek Rzeźników zapełnił się powozami, bryczkami i faetonami. Tłum stał i patrzył. Każdy próbował znaleźć wytłumaczenie. Lecz to było ponad ludzki rozum. Oparcie krzesła wypełniał len, suchy jak pieprz.

Rozniosła się plotka, że to wódka zapłonęła w żołądku Henne. Ale kto kiedy słyszał o pożarze wnętrzości? Doktor pokręcił głową.

– To mi zagadka – powiedział.

Nie było żadnych przygotowań do pogrzebu. Włożyli jej kości do worka, zanieśli na cmentarz i pochowali. Grabarz odmówił Kadysz. Później jej córki przybyły z Lublina, lecz czego się mogły dowiedzieć? Ogień gonił za Henne i od ognia zginęła. W swych przekleństwach często używała słowa „ogień”: ogień w głowie, ogień w brzuchu. Potrafiła powiedzieć: „Obyś spłonął jak świeca”. „Obyś się spalił w gorączce.” „Obyś się spalił jak próchno.” Słowa mają moc. Przysłowie mówi: „Wiatr przemija, a słowa pozostają”.

Henne, moi drodzy, sprawiała kłopoty nawet po śmierci. Wóznicę Kopel kupił od córek jej dom i przerobił go na stajnię. Jednak konie spocły się w nocy i przeziębily. Gdy konie przeziębily się w ten sposób, to koniec. Kilka razy zapaliła się słoma. Sąsiadki, które kłóciły się z Henne o pranie, przysięgały jej, że duch ściąga prześcieradła ze sznurów i rzuca w błoto. Powywracał też balie. Nie było mnie tam, ale wszystko jest możliwe z kimś takim jak Henne. Widzę ją do dziś: czarna, chuda, z płaską jak u mężczyzny pierśią i dzikimi oczami zaszczutego zwierzęcia. Coś się w niej tliło. Musiała cierpieć. Pamiętam powiedzenie mojej babki: „Nikt nie wali głową w mur z powodu dobrego życia”. Jednak z drugiej

strony, bez względu na złe zrządzenia losu, powtarzam: „Gorej, ale zachowaj twarz”.

Dzięki Bogu, nie każdy może sobie pozwolić na to, by ustawicznie ubolewać nad swym losem.

„Gdyby ludzie nie musieli zarabiać na chleb, spędzaliby czas opłakując własną śmierć, a życie byłoby jednym wielkim pogrzebem” – powiedział kiedyś rabin z naszego miasta.

GETSEL ZWANY MAŁPĄ

Drodzy przyjaciele, wszyscy wiemy, co to naśladowca. Mieszkał kiedyś taki człowiek w naszym mieście i nadano mu trafny przydomek. W tamtych czasach dawali przydomki każdemu oprócz bogatych ludzi. Ale Getsel był nawet bogatszy od tego, kogo próbował naśladować, Todrusa Brodera. Do Todrusa pasowało to śmieszne nazwisko. Był wysoki, szeroki w barach jak olbrzym, miał czarną brodę, sztywną niczym z drutu, i parę ciemnych oczu, które zdawały się prześwieślać, gdy na ciebie patrzył. Dziś wiem, o czym mówię. Byłam wtedy jeszcze dziewczyną, niebrzydka w dodatku. Gdy wpatrywał się we mnie tymi płomiennymi oczyma, przejmował mnie dreszcz aż do szpiku kości. Gdyby zawistny człowiek spojrział w ten sposób, mógłby, uchowaj Boże, zabić cię wzrokiem. Todrus nie miał powodu, by komukolwiek zazdrościć. Zdrowy był jak wół i miał piękną żonę oraz dwie pełne wdzięku córki, prawdziwe księżniczki. Żył jak szlachcic. Miał powóz z woźnicą, a także dwukółkę. Jeździł po wsiach i zabawiał się z chłopkami. Radowały się, gdy rzucał im monety. Niekiedy wierzchem paradował przez miasto, a trzymał się w siodle prosto jak kozak.

Na nazwisko miał Broder, ale przybył z Wielkopolski, nie z Brodów. Był wielkim przyjacielem szlachty. Hrabia Zamoyski zwykł gościć u niego w piątkowe wieczory, by rozkoszować się jego faszzerowaną rybą. W Purim hrabia przysłał mu prezent, a jak myślicie, co to było? Dwa pawie, samiec i samica!

Todrus mówił po polsku jak Polak i po rosyjsku jak Rosjanin. Znał też niemiecki, a także francuski. Czego to on nie umiał? Potrafił nawet grać na fortepianie. Pojechał na polowanie z Zamoylskim i ustrzelił wilka. Gdy car odwiedził Zamość i najdostojniejsi

ludzie poszli go powitać, jak myślicie, kto przemawiał? Todrus Broder. Ledwie wymówił trzy pierwsze słowa, a już car wybuchnął śmiechem. Podobno rozegrali potem partię szachów i Todrus wygrał. Nie było mnie tam, ale to możliwe. Później Todrus otrzymał z Petersburga złoty medal.

Teść Todrusa, Folk Pozner, był bogatym człowiekiem, a jego córka Fogel uchodziła za prawdziwą piękność. Miała posag w wysokości dwudziestu tysięcy rubli, a po śmierci ojca odziedziczyła całą jego fortunę. Lecz nie myślcie, że Todrus ożenił się z nią dla pieniędzy. Mówi się, że gdy jechała z matką do wód, nagle do pociągu wszedł Todrus. Był wtedy jeszcze kawalerem, a może wdowcem. Raz tylko spojrzał na Fogel i od razu powiedział matce, że chce poślubić jej córkę. Wyobraźcie sobie, to działo się jakieś pięćdziesiąt lat temu... Każdy mówił, że Todrus zakochał się od pierwszego wejrzenia, ale później okazało się, że miłość nic dla niego nie znaczyła. Chciałabym przeżyć tyle błogosławionych lat, ilu nocy Fogel nie przespała przez niego. Żartowano, że gdyby ubrać łopatę w damską spódniczkę, popędziłby za nią. W tamtych czasach żydowskim córom obce były romanse, więc musiał uganiać się za dziewczynami i kobietami u gojów.

Niedaleko Zamościa Todrus miał posiadłość, do której zjeżdżała się najdostojniejsza szlachta, by podziwiać jego konie. Jednak był stasziwym rozrzutnikiem i z biegiem lat rosły jego długi. Roztrwonił majątek teścia i oto cała prawda.

A więc Getsel Małpa, który naprawdę nazywał się Getsel Bejlis, postanowił naśladować wszystko, co robił Todrus Broder. Był bogatym człowiekiem i dusigroszem. Jego ojciec też znany był jako sknera. Mówiło się, że zgromadził swój majątek głodując. Syn miał młyn, z którego wylewała się nie mąka, lecz złoto. Pracował u Getsela stary młynarz, oddany mu jak pies. Jesienią, gdy było dużo zboża do zmielenia, ów młynarz nie sypiał po nocach. Nie miał nawet swojej kwatery; spał na strychu z sianem, z myszami. To dzięki niemu Getsel stał się bogaty. W tamtych czasach ludzie przyzwyczajeni byli do służby. Służyli, jeśli nie Bogu, to panu.

Getsel był też lichwiarzem. Zastawiono u niego połowę domów w mieście. Miał ukochaną małą córeczkę Diszke i żonę Rajzę Leę, równie chorą, jak brzydką. Getsel tak mógł stać się Todrusem, jak ja rabinem z Turzyska. Ale rozniosła się po mieście plotka, że Getsel próbuje zostać drugim Todrusem. Na początku szemrano tylko wśród handlarzy i szwaczek, a kto zwraca uwagę na takie gadanie?

Lecz Getsel udał się do krawca Zeliga i kazał sobie uszyć palto takie samo, jak miał Todrus, z szerokim kołnierzem z lisa i rzędem ogonków. Później chciał, żeby szewc dopasował mu parę butów dokładnie takich samych jak Todrusa, z niskimi cholewkami i błyszczącymi czubami. Zamość to nie Warszawa. Prędzej czy później każdy się dowie, co robi ktoś drugi. Więc po co kogokolwiek naśladować? Jednak, gdy słuchy doszły do Todrusa, powiedział tylko: „Nie przejmuję się. Znaczy, że ma wysokie mniemanie o moim guście”. Todrus nigdy nie wyrzekł na nikogo złego słowa. Gdy spacerował ulicą Lubelską i mijał dwunastoletnią dziewczynkę, unosił kapelusz z głowy, jakby była damą. Gdyby tak zrobił głupiec, żartowaliby z niego. Ale mądry człowiek może sobie czasem pozwolić być głupcem. Na weselach Todrus upijał się i opowiadał takie kawały, iż myślano, że to on, a nie Berysz Węgrower jest błaznem. Kiedy tańczył kozaka, aż trzęsa się podłoga.

Tak więc Getsel zdecydował się zostać drugim Todrusem. Był mały i gruby jak beczka, a na dodatek jąkała. Mogłeś zemdleć, gdy słuchając go, próbowałeś zrozumieć choć słowo. Miasto miało z czego szydzić. Kupił sobie powóz, ale malutki, i konie – dwie stare szkapy. Jeździł z targu do młyna i z młyna na targ. Chcąc być eleganckim, próbował zdjąć kapelusz z głowy na powitanie żony aptekarza. Zanim zdążył unieść rękę, ona już zniknęła. Ludzie ledwie się mogli powstrzymać, by nie śmiać mu się w twarz, a miejskie łotrzyki natychmiast obdarzyły go przezwiskiem.

Żona Getsela, Rajza Lea, była jędzą, lecz dość mądrą, by zauważyć, co się dzieje. Zaczęli się kłócić. Nie brakowało w Zamościu ciekawskich ludzi, którzy podsłuchiwali przez szpary w okiennicach i zaglądali przez dziurkę od klucza.

– Równie dobrze możesz stać się Todrusem, jak ja mężczyzną! Robisz z siebie głupca. Todrus to Todrus; ty zostań Getselem – powiedziała do niego.

Ale kto wie, co dzieje się w głowie drugiego człowieka? Wyglądało to na obsesję. Getsel począł wymawiać słowa jak ktoś z Wielkopolski i używać niemieckich wyrazów: *mädchen*, *schmädchen*, *grädchen*. Dowiedział się, co Todrus jada, co pije i, przepraszam za wyrażenie, jakie nosi kalesony. Zaczął też ganiać za kobietami. I, drodzy przyjaciele, tak jak Todrusowi we wszystkim się wiodło, tak Getselowi się nie udawało. Chciał zażartować, a w rezultacie obrywał po uszach. Kiedyś, w środku uroczystości weselnej, próbował uwieść kobietę i jej mąż zalał mu rosołem przód gabardyno-

wego chałata. Diszke płakała i tłumaczyła: „Tate, naśmiewają się z ciebie”. Jednak jest gdzieś zapisane, że każda fantazja może stać się szaleństwem.

Getsel spotkał Todrusa na ulicy i oznajmił:

– Chcę zobaczyć twoje meble.

– Z największą przyjemnością – odparł Todrus i zaprowadził go do swego salonu.

W końcu, cóż to Todrusowi szkodziło, że Getsel go naśladuje?

Więc Getsel udawał dalej. Próbował naśladować głos Todrusa oraz zaprzyjaźnić się z dziedzicami i ich żonami. Wszystko przemyślał w detalach. Getsel nigdy nie palił, ale nagle pokazał się z cygarem, a to cygaro było większe od niego. Zaczął też przenieść pismo w Petersburgu. Córka Todrusa poszła do szkoły dla gojów z internatem, a Getsel chciał tam wysłać Diszke, mimo że była już na to zbyt duża. Rajza Lea podniosła zgiełk i ledwie zdołała go odwieść od tego zamiaru. Gdyby Getsel był biedakiem, wyklęliby go. Ale on spał na pieniądzech. Przez długi czas Todrus nie zwracał na to wszystko uwagi, w końcu jednak podszedł kiedyś do Getsela na targu i zapytał:

– Chcesz zobaczyć, jak sikam? – Potrafił się dosadnie wyrażać, a miasto miało się z czego śmiać.

2

A teraz posłuchajcie. Któregoś dnia Rajza Lea umarła. Na co umarła? Doprawdy nie umiem powiedzieć. Dzisiaj ludzie biegają do lekarzy; w tamtych czasach człowiek zachorował i wkrótce było po wszystkim. Prawdopodobnie zabiły ją wyczyny Getsela. W każdym razie umarła i pochowali ją. Getsel nie uronił nad nią łzy. Siedział na stołku przez siedem dni oplakiwania i dowcipkował jak Todrus. Jego córka Diszke była już zaręczona. Po trzydziestu dniach żałoby swatki zasypały Getsela gradem propozycji, ale on się nie spieszył.

Nie minęły dwa miesiące, gdy w mieście zawrzało. Todrus Broder zbankrutował. Pożyczył pieniądze od wdów i sierot. Narzeczone inwestowały u niego swe posagi, a on zadłużony był u szlachty. Przybył jeden z dziedziców i próbował go zastrzelić. Żona Todrusa płakała i mdlała, a dziewczęta pochowały się na strychu. Wyszło na jaw, że Todrus winien jest Getselowi dużą sumę pieniędzy. Hipoteka czy Bóg wie co. Getsel przyszedł do Todrusa. Miał w rę-

ce laseczkę ze srebrnym końcem i bursztynową rączką, taką samą jaką nosił Todrus, i stukał nią o podłogę. Todrus próbował obrócić całą sprawę w żart, ale przyznacie, że musiał czuć się nieswojo. Chciano oddać na licytację cały jego majątek, rozdrzeć go na strzępy. Kobiety obwołały go mordercą, złodziejem i oszustem. Narzeczone wrzeszczały:

– Co zrobiłeś z naszymi posagami? – i lamentowały, jakby to był Jom Kipur.

Todrus miał psa, wielkiego niczym lew, a Getsel nabył identycznego. Przeprowadził psa ze sobą i dwa stworzenia próbowały pożreć się nawzajem. W końcu Getsel szepnął coś Todrusowi; zamknęli się w pokoju i siedzieli tam trzy godziny. Przez ten czas wierzyciele omal nie rozwalili domu. Gdy Todrus wyszedł, był bładny jak śmierć; Getsel cały się spocił.

– Nie róbcie takiego rabanu! – wykrzyknął do ludzi. – Zapłacę wszystkie długi. Przejąłem interesy Todrusa.

Nikt nie wierzył własnym uszom. Kto zdrowy na ciele pcha się do łóżka chorego? Ale Getsel wyjął sakiewkę, długą i głęboką, taką jak Todrusa. Jednak sakiewka Todrusa była pusta, a ta pełna banknotów. Getsel zaczął spłacać na poczekaniu. Niektórym oddał cały dług, zaś innym zaliczkę, ale wszyscy wiedzieli, że jest wypłacalny. Todrus przyglądał się w milczeniu. Fogel, jego żona, doszła do siebie i uśmiechała się, a dziewczęta powychodziły z ukrycia. Nawet psy zawarły pokój; zaczęły się obwąchiwać i merdać ogonami. Skąd Getsel wziął tyle gotówki? Z zasady wszystkie pieniądze kupców ulokowane są w interesach. Lecz Getsel płacił dalej. Przestał się jękać i teraz mówił, jakby naprawdę był Todrusem. Księgowy Todrusa, którego zwano sekretarzem, przyniósł rejestry. Tymczasem Todrus znów stał się sobą. Opowiadał dowcipy, popijał brandy i częstował Getsela. Wzniesli toast le chaim.

Mówiąc krótko, Getsel przejął wszystko. Todrus Broder wyjechał z żoną i córkami do Lublina i wyglądało na to, że całkiem się wyniósł. Nawet służące z nim powędrowały. Ale w takim razie, dlaczego nie zabrał ze sobą swych pierzyn? Według prawa żaden wierzyciel nie może tego odebrać. Przez trzy miesiące nie było od nich ani słowa. Getsel stał się już panem. Przechadzał się tu i tam, jeździł powozem Todrusa z jego woźnicą. Po trzech miesiącach Fogel wróciła wraz z córkami. Trudno ją było rozpoznać. Pytano ją o męża, a ona odpowiedziała po prostu:

– Nie mam już męża.

– Jakieś nieszczęście, nie daj Boże?

Ona zaś odrzekła, że nie, że się rozwiedli.

Jest takie powiedzenie o prawdzie, co jak oliwa na wierzch wypływa. I tak też się stało. W ciągu tych trzech godzin, kiedy Getsel i Todrus siedzieli zamknięci w biurze, Todrus wszystko przekazał Getselowi – swój dom, posiadłość, cały dobytek, a przede wszystkim własną żonę. Tak, Fogel poślubiła Getsela. Getsel podarował jej ślubny kontrakt na dziesięć tysięcy rubli i przepisał na nią dom – faktycznie wciąż należący do Todrusa – jako zabezpieczenie. Dla córek ustanowił wielkie posagi.

Wrzawa, która podniosła się w inieście, była czymś strasznym. Jeśli nie znacie Zamościa, nie macie pojęcia, jak wzburzone potrafi stać się to miasto. Książkę można by o tym napisać. Nie jedną, dziesięć książek. Nawet goje nie robią takich rzeczy. Ale to był cały Todrus. Dokąd tylko mógł, zachowywał się jak król. Przegrywał, tracił, no a potem koniec; zniknął. Wyglądało na to, że trafił do więzienia. Dziedzice mogliby go przecież zamordować. A w takiej sytuacji czego człowiek nie zrobi, by uratować swoje życie? Niektórzy sądzili, że Getsel już wcześniej uknuł to wszystko. Udzielił Todrusowi wielkiej pożyczki, a potem złapał go w swoje sidła. Nikt by się nie spodziewał, że Getsel jest taki sprytny. Ale jak to mówi przysłowie? Jak Pan Bóg dopuści i z kija wypuści.

Dziewczęta Todrusa wkrótce powychodziły za mąż. Diszke poszła mieszkać z teściami w Lęborku. Fogel prawie nigdy się nie pokazywała. Do posiadłości Todrusa należał ogród z pawilonem i tam przesiadywała całe lato. Zimą chowała się w domu. Todrus Broder przepadł jak kamień w wodę. Niektórzy twierdzili, że jest w Krakowie, inni, że udał się do Warszawy. Byli i tacy, co utrzymywali, że przechrcił się i poślubił bogatą dziedziczkę. Któż może zrozumieć takiego człowieka? Jeśli Żyd jest zdolny sprzedać swoją żonę w taki sposób, przestaje być Żydem. Fogel kochała go wielką miłością i jasne było, że zgodziła się na wszystko, by go ocalić. Przez wszystkie te lata nie dała na Todrusa powiedzieć złego słowa. W Rosz ha-Szana i w Jom Kipur stała w swej ławce w sektorze żeńskim, tuż przy barierce, i do nikogo nie szepnęła nawet słówka. Pozostała dumna.

Getsel przejął język Todrusa i jego maniery. Stał się wręcz wyższy, a może używał wkładek do butów. Został serdecznym przyjacielem dziedziców. Opowiadano, że pije z nimi zakazane wino. Odkąd przestał się jękać, mówił po polsku jak oni.

Diszke nigdy nie napisała do ojca ani słowa. O córkach Todrusa słyszałam, że nie najlepiej skończyły. Jedna umarła przy porodzie. Druga podobno się powiesiła. Ale Getsel został Todrusem, a ja na własne oczy widziałam, jak to się stało; od początku do końca. Tak, zabronione jest naśladowanie. Jeśli udajesz kogoś, jego los przechodzi na ciebie. Nawet z cieniem człowiek nie powinien robić sztuczek. Był w Zamościu pewien młodzieniec, który zabawiał się swoim własnym cieniem. Składał ręce tak, że cień na ścianie wyglądał jak kozioł z rogami, który jadł i bódł. Którejś nocy cień wyskoczył ze ściany i ugodził młodego człowieka jak prawdziwymi rogami. Tak go ubódł, że ten miał potem dwie dziury w czole. I tak się stało tutaj.

Getsel nie potrzebował pieniędzy innych ludzi. Swoich miał dość. Lecz nagle zaczął pożyczać od wdów i sierot. Gdzie tylko mógł dostać kredyt, brał go i płacił wysoki procent. Starego młyna nie musiał nawet odnawiać, mąka z niego była biała jak śnieg, jednak zbudował nowy i założył nowe młyńskie koła. Jego stary i oddany młynarz umarł, więc Getsel najął innego, byłego rządcę z długimi wąsami. Ten oszukiwał go na prawo i lewo. Getsel kupił także posiadłość od szlachcica, mimo że miał już jedną; ze stajnią i końmi. Do tej pory dotrzymywał żydowskich tradycji, ale teraz zaczął ubierać się jak dandys. Do synagogi przestał chodzić; z wyjątkiem najświętszych dni. Jakby tego nie było dość, otworzył browar i siał chmiel. Było mu to do niczego niepotrzebne, a przede wszystkim kosztowało go fortunę. Sprowadził maszyny, Bóg wie skąd, które czyniły w nocy taki hałas, że sąsiedzi nie mogli spać. Co kilka tygodni podróżował do Warszawy. Kto mógłby zrozumieć, co się naprawdę z nim stało? Dziesięciu wrogów nie wyrządzi człowiekowi tylu krzywd, ile on sam potrafi sobie wyrządzić. Pewnego dnia rozeszła się wieść, że Getsel zbankrutował. Drodzy przyjaciele, nie musiał zostać bankrutem; wszystko to było naśladowaniem Todrusa. Przejął cudzego pecha. Ludzie schodzili się z każdej strony i wybijali mu szyby w oknach. Tylko że Getsel nie miał naśladowcy. Nikt nie chciał jego żony; Fogel starsza była od Getsela o dobrych kilka lat. Zapewnił wszystkich, że nikt swego nie straci, lecz i tak go pobili. Przybył dziedzic i przyłożył mu pistolet do skroni, dokładnie tak samo jak zrobił to inny z Todrusem.

Mówiąc krótko, Getsel uciekł w środku nocy. Gdy odszedł, wierzyciele przystąpili do rzeczy i okazało się, że było tego więcej niż trzeba, żeby wszystkich obdzielić. Bóg wie, ile warta była fortuna

Getsela. Więc dlaczego uciekł? I dokąd poszedł? Niektórzy uważali całe to bankructwo za nic innego, jak tylko maskaradę. Podejrzewano, że chodzi o kobietę, ale czego taki starzec mógłby chcieć od kobiety? Wszystko musiało być tak, jak z Todrussem. Gdyby Todrus dał się pogrzebać żywcem, Getsel wykopałby swój własny grób. Cała ta sprawa to robota demonów. Czym są demony, jeśli nie naśladowcami? A cóż robi lustro? Oto dlaczego zakrywa się lustro, gdy w domu leży trup. Niebezpiecznie jest zobaczyć w lustrze odbicie ciała.

Dobra, które Getsel posiadał, rozebrano do ostatka. Wierzyciele nie pozostawili nawet okruszyny chleba dla Fogel. Poszła mieszkać w przytułku dla ubogich. Gdy to się stało, nie było mnie już w Zamościu. Ale takiej starości, jaka przytrafiła się Fogel, życzył tylko mym najgorszym wrogom. Legła na sienniku i nigdy już nie wstała. Mówiono, że przed śmiercią poprosiła, aby na nagrobku podpisać ją nie jako żonę Getsela, lecz jako żonę Todrusa. Nikt nie zadał sobie trudu, by położyć jej na grobie choćby kamień. Przez lata grób zarósł i w końcu zniknął.

Co się stało z Getselem? A co z Todrussem? Nikt nie wiedział. Niektórzy myśleli, że mogli się gdzieś spotkać, ale po co? Todrus chyba umarł. Diszke próbowała uszczknąć część majątku swego ojca, lecz nic nie zostało. Człowiek powinien pozostać tym, kim jest. Wszystkie nieszczęścia świata biorą się z udawania. Dzisiaj nazywają to modą. Szarlatani w Paryżu wymyślają sukienkę z trenem na przodzie i każdy się tak ubiera. Wszystko to małpy, cały ten tłum.

Mogłabym opowiedzieć wam także historię pewnych bliźniaczek, ale w nocy nie odważyłabym się o tym mówić. Nie miały wyboru. Były dwoma ciałami o jednej duszy. Obie siostry umarły w ciągu jednego dnia, jedna w Zamościu, druga w Kowlu. Kto wie? Może jedna z nich była prawdziwa, a druga tylko jej cieniem?

Boję się cienia. Cień to wróg. Mści się, gdy tylko trafi na właściwą okazję.

JANDA

„Pawi Ogon” stał przy ustronnej ulicy, niedaleko ruin greko-katolickiego kościoła i cmentarza. Był to dwupiętrowy budynek z cegły. Na spadzistym dachu obracał się kurek, a nad wejściem widniał sfatygowany znak, przedstawiający pawia z wyblakłym złotym ogonem. Od frontu mieścił się szynk pozbawiony okien, mroczny nawet w najjaśniejsze poranki. Wieśniaków nie obsługiwano tu nawet w dni targowe. Właściciel, Szalom Pinczower, nie miał cierpliwości do pospólstwa, ich tańców i dzikich śpiewów. Ani on, ani jego żona, Szajndełe, nie czuli się na siłach obsługiwać takich obwiesiów, a później, gdy się popijają, wyrzucać ich do rynsztoka. „Pawi Ogon” był przystanią dla dziedziców, żołnierzy podążających ku rosyjsko-austriackiej granicy i handlarzy, którzy przybywali do miasta, by sprzedać narzędzia rolnicze albo towary z Rosji. Nigdy nie brakowało tu gości. Czasem grupka wędrownych aktorów zatrzymywała się na noc. Niekiedy na krótko gościł w zajeździe magik albo treser niedźwiedzi. Czasami też mieszkał tu kaznodzieja czy jeden z podróżnych, o których tylko jeden Bóg wie, co ich sprowadza. Miejski woźnica nauczył się już, jakich klientów przywozić pod „Pawi Ogon”.

Gdy Szalom Pinczower, obcy w tych stronach, kupił hotel i sprowadził się z żoną do miasta, przywieźli ze sobą wiejską dziewczynę o imieniu Janda. Janda byłaby pięknocią, gdyby nie dziobata jak tarka do ziemniaków twarz. Swe czarne włosy plotła w warkocz, miała jasną skórę, zgrabny nos, rumiane policzki i oczy czarne jak wiśnie. Biust jej był bujny, talia wąska, a biodra krągłe. Będąc kobietą o wielkiej sile fizycznej, wykonywała w hotelu wszystkie prace: ścieliła łóżka, prała pościel, gotowała, opróżniała

nocniki i w dodatku odwiedzała męską część hotelowych gości, gdy sobie tego życzyli.

– Z... czy bez...? – pytał chytrze Szalom Pinczower, wpisując przyjezdnego do księgi. Puszczął przy tym oko spod swoich krzaczystych brwi.

– Z... – odpowiadał prawie zawsze podróżny, rozumiejąc, o co chodzi.

Szalom doliczał do rachunku odpowiednią kwotę.

Bywali goście, którzy zapraszali Jandę na kielicha albo na spacer, lecz nigdy się nie zgadzała. Szalom Pinczower nie miał zamiaru pozwalać, by ktoś zabierał jej czas czy ją rozpił. Raz na zawsze zabronił jej próbować alkoholu i nigdy nie wypita choćby kropli, nawet szklaneczki piwa w upalny letni dzień. Szalom uratował ją od ojca pijaka i macochy. W zamian służyła mu, nie upominając się o zapłatę. Co kilka miesięcy wręczał jej kieszonkowe. Janda chwytiała wtedy rękę Szaloma, całowała ją i chowała pieniądze w pończochę, nie przeliczywszy. Od czasu do czasu zamawiała sukienkę lub parę wysokich bucików zapinanych na guziki albo kupowała sobie szal, chustkę, grzebień. W niedzielę, będąc w kościele, niezmiennie wrzucała monetę do puszek z jałmużną. Niekiedy przynosiła podarunek dla księdza czy świeczkę, by ją zapalono w intencji świętego, jej patrona. Starsze kobiety nie miały ochoty wpuszczać jej do świętego miejsca, lecz i tak zawsze stała wewnątrz. Krążyły plotki o niej i o księdzu, mimo że mieszkała u niego piękna gosposia.

Żydzi pomawiali Szaloma o prowadzenie domu rozpusty. Gdy kobiety kłóciły się z Szajndełe, nazywały ją Jandą. Ale bez Jandy interes Szaloma byłby nic nie wart. Trzy służące nie dałyby rady robocie, którą wykonywała. Poza tym większość dziewczuch kradnie i trzeba ich pilnować. O to ani Szalom, ani Szajndełe nie musieli się kłopotać. Mąż i żona opłakiwali jedyną córkę. Zginęła w pożarze w mieście, z którego przybyli. Szajndełe cierpiała na astmę; Szalom miał chore nerki. To na barkach Jandy spoczywał cały interes. Latem wstawiała o świcie, zimą na dwie godziny przed wschodem słońca. Szorowała podłogi, cerowała kołdry i prześcieradła, nosiła wodę ze studni. Rąbała nawet drwa, gdy trudno było o drwa. Szajndełe była pewna, że Janda padnie kiedyś z przepracowania. Mąż i żona bali się także, by nie zaraziła się jakąś chorobą. Ale czuwał nad nią chyba diabeł czy inna siła nieczysta. Mijały lata, a ona nigdy nie chorowała, nie miała nawet kataru. Pracodaw-

cy nie oszczędzali na jej posiłkach, lecz ona wolała żywić się resztkami. Jadła zimną zupę, okrawki mięsa, czerstwy chleb. Oboje, Szalom i Szajndełe, cierpieli na ból zębów, a Janda miała ich pełne usta; silnych i białych jak u psa. Mogła nimi rozgryzać pestki brzoskwini.

– To nie jest ludzka istota – mówiła Szajndełe. – To zwierzę.

Kobiety pluły za Jandą, gdy przechodziła, i przeklinały ze złością. Chłopcy ją przezywali, obrzucali kamieniami i błotem. Młode dziewczyny chichotały, strzelały oczami i czerwieniły się, mijając ją na ulicy. Nieraz policja wzywała Jandę na przesłuchania. Ale mijały lata, a ona wciąż była służącą Szaloma Pinczowera. Z czasem zmieniała się klientela w zajeździe. Dopóki miasto należało do Rosji, gośćmi byli głównie Rosjanie. Potem przeszli je Austriacy i wtedy zjeżdżali się Niemcy, Węgrzy, Czesi i Bośniacy. Nareszcie, gdy Polska odzyskała niepodległość, hotel obsługiwał polskich urzędników, przybyłych z Warszawy i Lublina. Czegóż to miasto nie przeżyło – epidemie tyfusu i czerwonki, austriaccy żołnierze przywlekli cholera i zmarło sześciuset mieszkańców. Przez krótki czas, pod rządami bolszewików, zajazd przejęła Rada Robotnicza i zarządzali nim jacyś komisarze czy ktoś taki. Janda przetrwała ich wszystkich. Ktoś musiał pracować, prać, szorować, podawać gościom piwo, wódkę, przekąski. Jak by go jednak nie nazywano, w nocy każdy mężczyzna chciał mieć Jandę w swoim łóżku. Niektórzy ją całowali, inni bili. Byli tacy, co przeklinali ją i wyzywali, ale też i tacy, którzy wypłakiwali się przed nią i zwierzali, jakby była księdzem. Jeden z oficerów postawił jej na głowie kieliszek z koniakiem i strzelał do niego z rewolweru. Inny wgrzył się w jej ramię i ssał krew jak pijawka. A ona rankiem myła się i czesała, by rozpocząć dzień na nowo. Nie było końca brudnym talerzom. W podłogach roiło się od dziur i pęknięć, ściany były odrapane. Janda wciąż wylewała wrzącą wodę na karaluchy i pluskwy i używała różnego rodzaju trucizn, jednak robactwo rozmnażało się nieustannie. Co dnia nad zajazdem wisiała groźba rozpadu. To Janda trzymała wszystko w garści.

Sami właściciele coraz bardziej upodabniali się do hotelu. Twarz Szajndełe zbladła i skruszała jak gips, a sylwetka się przygarbiła. Nie można było zrozumieć jej mowy. Nie chodziła już, lecz człapała. Wyjmowała z kufra poniszczone kaftany i łatała je. Szalom krzyczał, że nie potrzebuje szmat, lecz ona, na wpuć ślepa,

siedziała całymi dniami w okularach na czubku nosa i naprawiała stare ubrania. Wciąż prosiła Jandę o nawleczenie nitki.

– To nie nitka, to pajęczyna! A ta igła wcale nie ma ucha! – mamrotała.

Twarz Szaloma Pinczowera stała się ziemista, a brwi jeszcze bardziej krzaczaste. Miał pod oczyma worki, z których zwisały jeszcze jedne. Pomiędzy zmarszczkami utworzyły się czarne bruzdy, których żadna woda nie mogła już usunąć. Głowa chwiała się na wszystkie strony. Niemniej jednak, gdy przyjeżdżali goście, Szalom sięgał drżącą ręką po swą hotelową księgę i pytał: „Z... czy bez...?”

– Z... – prawie zawsze odpowiadali przyjezdni.

2

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Najpierw Szajndełe zległa i wydała ostatnie tchnienie. Miało to miejsce w pierwszy dzień Rosz ha-Szana. Następnego dnia najstarsza kobieta w mieście podarowała jej swój własny całun, jako że w święte dni nie wolno było szyć. Kobiety z towarzystwa pogrzebowego przyjęły żałobników na cmentarzu ciastem i brandy. Złamany nieszczęściem Szalom zapomniał tekstu Kadyszu i trzeba mu było podpowiadać. Ci, którzy przybyli na pogrzeb, opowiadali, że nogi tak mu się trzęsły, że omal nie wpadł do grobu. Po śmierci Szajndełe Szalom Pinczower całkiem zgrzybiał. Wyjmował pieniądze z kasy i zapominał, co z nimi zrobić. Stał się już tak głuchy, że nie wystarczyło nawet krzyczeć mu wprost do ucha. Po święcie Szałasów nadeszły deszcze, jakich nie pamiętali najstarsi ludzie w mieście. Rzeka wylała. Trzeba było wstrzymać młyńskie koło. Dach zajazdu począł przeciekać. Goście, których pokoje znajdowały się na najwyższym piętrze, schodzili w środku nocy, skarżąc się, że woda kapie im na łóżka. Szalom leżał bezradnie w swojej własnej sypialni. To Janda przeproszała gości i przygotowywała im łóżka na dole. Wspięła się nawet po drabinie na dach, by załatać dziury. Ale gonty kruszały, gdy tylko ich tknęła. Rankiem goście wyjechali, nie płacąc rachunków. W sobotę rano, wybierając się do synagogi, Szalom Pinczower zakładał tafeś. Nagle zachwiał się i upadł.

– Janda, koniec ze mną – zapłakał.

Janda pobiegła po trochę brandy, ale było za późno. Szalom leżał rozciągnięty na podłodze, nieżywy. W mieście podniósł się

gwar. Szalom nie zostawił dzieci. Bezbożni ludzie, dla których świętość szabasu miała małe znaczenie, zaczęli szukać testamentu i próbowali rozbić sejf. Urzędnicy z ratusza sporządzili spis mienia i opieczętowali szufladę, w której Szalom trzymał pieniądze. Janda rozszlochała się w chwili, gdy Szalom upadł, i przestała dopiero po pogrzebie. Pracowała w zajeździe przez ponad dwadzieścia lat, a teraz została z sumą zaledwie sześćdziesięciu złotych. Władze kazały jej się natychmiast wynosić. Janda spakowała swoje rzeczy w tobołek, założyła buty, w których zwykle chodziła do kościoła, owinęła się szalem i ruszyła w długą drogę, do stacji kolei. Nikt nie powiedział jej „do widzenia”. Na stacji podeszła do okienka sprzedawcy biletów.

- Dobry panie, poproszę o bilet do Skibicy – powiedziała.
- Nie ma takiej stacji.
- Co ja teraz pocznę, jestem zagubioną sierotą – zawodziła Janda.

Chłopi na stacji drwili z niej, a kobiety opluwały. Żydowski handlarz wędrowny począł rozpytywać ją o Skibicę. To wieś czy miasto? W jakim leży powiecie lub okręgu? Z początku Janda niczego nie pamiętała, ale Żyd w podartym płaszczu i baraniej czapie dotąd dociekał, aż w końcu przypomniała sobie, że wieś znajduje się gdzieś koło Kielc, między Chęcynem i Sobkowem. Handlarz kazał Jandzie wyjąć banknoty, które miała zawiązane w chusteczkę, i pomógł jej policzyć pieniądze. Omówił rzecz z bileterem. Nie było bezpośredniego pociągu w tamte strony. Najlepszy sposób to podróż koniem i bryczką do Rozwadowa, stamtąd do Sandomierza, potem do Opolą, skąd mogła albo wziąć następną furmankę, albo iść pieszo do Skibicy.

Dźwięk nazw znanych Jandzie miejsc przywiódł ją do płaczu. W Skibicy miała kiedyś ojca, matkę, siostrę, krewnych. Matka umarła i ojciec, na krótko przed własną śmiercią, poślubił inną kobietę. Janda miała zamiar zaręczyć się z Wojciechem, chłopskim synem, ale zabrała jej go córka kowala, dziewczyna imieniem Zocha. Lata całe pracując dla Szaloma Pinczowera, Janda rzadko myślała o przeszłości. Wszystko to wydawało się jej tak odległe, jakby na końcu świata. Ale teraz, kiedy pracodawca nie żyje, nie pozostało jej nic innego, jak wracać do domu. Kto wie, może wciąż jeszcze żyje ktoś z jej bliskich? Może znajdzie się tam człowiek, który jeszcze pamięta jej imię.

Dzięki Bogu dobrzy ludzie pomogli. Gdy tylko Janda opuściła miasto, w którym żyła w hańbie, ludzie przestali ją wyśmiewać,

wytykać palcami, opluwać. Woźnica nie zdarł z niej skóry. Wydawało się, że Żydzi z brodami i pejsami znają całą Polskę jak własną kieszeń. Wspominali nazwy miejsc, o których Janda już zapomniała, i szukali skrótów. W gospodzie ktoś wyjął mapę, by znaleźć jej najkrótszą drogę do domu. Janda dziwiła się mądrości mężczyzn; ileż wiedzy nosili w swoich głowach i jak chętnie pomagali bezdomnej kobiecie. Jednak, mimo dobrych rad, Janda więcej szła, niż jechała. Zmoczyły ją deszcze, padał też śnieg i grad. Brnęła poprzez wypełnione wodą rowy, głębokie jak strumienie. Przyzwyczała się do spania na poduszkach, w czystych powłóczkach, na białych prześcieradłach, pod ciepłą pierzyną, a teraz musiała kłaść się na podłodze w spichrzach i stodołach. Ubranie miała zmoczone, ale jakimś sposobem udało się jej ochronić banknoty. Wędrując Janda rozmyślała o swoim życiu. Od czasu do czasu Szalom Pinczower dawał jej pieniądze, lecz straciły na wartości. Rosjanie mieli ruble i kopiejki. Gdy nadeszli Austriacy, ruble stały się bezwartościowe i wszystko zmieniono na korony i halerze. Bolszewicy mieli czerwonce, a Polacy złotówki. Jak ktoś taki jak Janda, prosta kobieta, mógł rozeznać się we wszystkich tych zmianach? Cud, że w ogóle coś jej zostało, żeby mogła wrócić do domu.

Boże na niebie, ci mężczyźni wciąż uganiali się za nią! Gdziekolwiek spała, nachodzili ją chłopcy i zabawiali się jej kosztem. Nawet w wagonie ktoś zdybał ją w nocy po cichu. „Co oni we mnie widzą – dziwiła się Janda. – To całe moje nieszczęście.” Janda przypominała sobie, że nigdy nie potrafiła nikomu odmówić. Ojciec bił ją za uległość. Macocha targała Jandę za włosy. Nawet gdy jako dziecko bawiła się z rówieśnikami, mazali jej twarz błotem, wręczali miotłę i kazali udawać babę-jagę. Z gośćmi w hotelu Szaloma przytrafiały jej się tak dziwne i głupie historie, że czasem nie wiedziała – śmiać się czy płakać. Lecz nie leżało w jej naturze, by powiedzieć nie. W młodości, jeszcze w wiosce swego ojca, dwa razy wydała na świat niemowlęta, ale umarły. Kilka razy poroniła z powodu ciężkiej pracy. Nigdy tak naprawdę nie zapomniała Wojciecha, wiejskiego chłopaka, z którym prawie się zaręczyła i który w ostatniej chwili ją rzucił. Również i Szalom Pinczower zauroczył Jandę, może dlatego, że zawsze podsyłał ją innym, a sam nigdy nie tknął.

– Janda, idź do trójki. Janda, zapukaj do drzwi numer siedem – mówił.

Sam zaś pozostawał wierny swojej starej żonie Szajndełe. Może

Janda mu się nie podobała, ale ona go pragnęła. Jedno życzliwe słowo od niego cieszyło ją bardziej niż te wszystkie dzikie harce z innymi. Lubiła nawet, gdy ją karcili. Co do gości, wielu z nich Janda zapomniała zupełnie, ale kilku utkwiło jej w pamięci. Jeden Rosjanin chciał, żeby Janda pluła na niego, targała za brodę i wyzywała. Inny, uczeń o rumianych policzkach, całował ją i nazywał matką. Spał na jej piersiach aż do świtu, choć czekali na nią goście w innych pokojach.

Teraz Janda była już stara. Ale ile miała lat? Sama nie wiedziała – prawdopodobnie po czterdziestce, a może koło pięćdziesiątki? Inne kobiety w jej wieku były babkami, a ona wracała samotnie do swej wioski, opuszczona przez Boga i ludzi. Postanowiła, że teraz, w domu, żadnemu mężczyźnie nie pozwoli zbliżyć się do siebie. W wiosce zawsze wszyscy plotkują i łatwo o awanturę. Po co jej to? Prawda jest taka, że z całej tej rozpusty nie miała ani krztyny przyjemności.

3

Żydzi, którzy pokazali Jandzie drogę, nie zakpili z niej. Doszła do Skibicy rankiem i chociaż sporo się zmieniło, poznała rodzinne strony. W kaplicy na skraju wsi stała figura Matki Boskiej z aureolą wokół głowy i Dzieciątkiem Jezus w ramionach. Figurka z biegiem lat zmurszała, a Matce Świętej odłupał się kawałek ręki. Na szyi miała zawieszony wieniec ze zwiędłych kwiatów. Jandzie łzy napłynęły do oczu. Uklękła w śniegu i przeżegnała się. Podążyła ku wiosce, gdzie dobiegł jej nozdrzy dawno zapomniany zapach: przemokłych ziemniaków, palonych piór, ziemi i czegoś jeszcze, co rozpoznawała powonieniem, ale czego nie umiała nazwać. Chaty z maleńkimi okienkami i niskimi drzwiami na wpół pozapadały się w ziemię. Słomiane dachy omszały i przegniły. Krakały wrony, dym unosił się z kominów. Janda szukała chaty, w której mieszkali jej rodzice, ale zniknęła. Na jej miejscu stała kuźnia. Zdjęła tobolek, który niosła na plecach. Otoczyły ją psy i zaczęły szczekać. Kobiety powychylały się z domostw. Młodsze nie znały przybyłej, ale starsze klaskały w dłonie i kręciły głowami.

– O Boże, o Matko, Jezus Maria! – wołały. – Tak, to Janda, jak mi Bóg miły!

Także i mężczyźni przyszli na nią popatrzeć; niektórzy powstawali z legowisk na piecach, inni powychodzili z gospody. Jedna

z wieśniaczek zaprosiła Jandę do swojej chaty. Dała jej kawał czarnego chleba i kubek mleka. Na brudnej podłodze stały kosze z kartoflami, burakami, czarną rzodkwią i żurawinami. W skrzyni półwierkiwały kurczęta. W piec wbudowany był kocioł na gorącą wodę. Przy kołowrotku siedziała stara kobieta o łysiejącej głowie, z której zwisały kępkę włosów białych jak len.

- Babciu, to Janda. Córka Pawła Kuźmy – ktoś krzyknął jej do ucha.
- Jezus Maria – przeżegnała się stara kobieta.

Wieśniaczki mówiły wszystkie naraz. Dom Pawła Kuźmy spłonął. Brat Jandy, Bolek, poszedł na wojnę i nigdy nie powrócił. Jej siostra, Stasia, wyszła za mąż za mężczyznę z Biczewa i zmarła tam podczas porodu. Opowiedziały też Jandzie, co się stało z Wojciechem, jej niedoszłym wybrankiem. Poślubił Zochę, a ona urodziła mu czternaścioro dzieci. Dziewięcioro z nich wciąż jeszcze żyje, ale matka umarła im na tyfus. Co do Wojciecha – pił przez wszystkie te lata. Zocha służyła u innych, by utrzymać rodzinę. Po jej śmierci, trzy lata temu, Wojciech całkiem popadł w ruinę. Wszystko szło na wódkę, a on stał się na wpół obłąkany. Jego chłopcy ganiają bez opieki. Dziewczęta piorą ubrania dla Żydów z miasta. Chata też bliska jest rozpadu. Gdy kobiety rozmawiały z Jandą, ktoś otworzył drzwi i wepchnął do środka wysokiego mężczyznę. Był chudy jak patyk, bosi, w podziurawionych spodniach. Miał na sobie rozpiętą marynarkę, a pod nią żadnej koszuli; włosy długie i zmierzwione – żywy strach na wróble. Nie chodził, lecz zataczał się jak na szczudłach. Miał nieprzytomne oczy, zasmarkany nos, a spod wykrzywionych ust sterczał jeden długi ząb.

- Wojciech, poznajesz tę kobietę? – zapytał ktoś.
- Dziobata Janda.

Rozległy się śmiechy i klaskanie. Po raz pierwszy od lat twarz Jandy pokrył rumieniec.

- Spójrz, jak ty wyglądasz!
- Słyszałem, że jesteś dziwką.

Znow śmiechy.

- Nie słuchaj go, Janda. On pijany.
- Od czego pijany? Nikt mi nie da kropli wódki!

Janda wlepiła w niego wzrok. Czy to może być Wojciech? Zostało jakieś podobieństwo. Chciało jej się płakać. Pamiętała powiedzenie Szajndele: „Leży w grobach kilku takich, którzy wyglądają lepiej niż on”. Janda pożałowała, że wróciła do Skibicy.

– Może pójdziesz zobaczyć jego dzieci? – zaproponowała jedna z kobiet.

Janda natychmiast podniosła swój tobołek. Chciała zapłacić za chleb i mleko.

– To nie miasto. Tu nie musisz płacić za kawałek chleba – ofuknęła ją wieśniaczka.

Chata Wojciecha stała niedaleko. Dach prawie dotykał ziemi. Z jego brzegów zwisały strąki słomy. W oknach brakowało szyb. Pozapychano je szmatami i pozabijano. Wchodziło się tam jak do jaskini. Podłoga zgniła, a ściany były czarne jak wnętrze komina. W półmroku Janda dostrzegła chłopców, dziewczęta. Śmierdziało brudną bielizną, zgnilizną i czymś zjeżdżającym. Zacisnęła nos. Dwie dziewczynki stały przy balii. Półnagie dzieci babrały się w rozmazanym na podłodze błocie, któreś z nich ciągnęło za ogon kota. Chłopak, ślepy na jedno oko, naprawiał pułapkę. Janda nie dowierzała własnym oczom. Nie była przyzwyczajona do takiej nędzy i brudu. W zajeździe prześcieradła zmieniało się raz w tygodniu. Co trzy dni goście dostawali świeże ręczniki. Resztek z posiłków wystarczyłoby, żeby wyżywić całą rodzinę.

W porządku, brud trzeba usunąć. Sam nie zniknie.

Janda zakasała rękawy. Wciąż jaszczce miała kilka złotych i wysłała jedną z dziewcząt, by kupiła coś do jedzenia. Pewien Żyd miał w wiosce sklep, w którym można było kupić bajgełe, śledzie, cykorię. Boże jedyny, jak te dzieci pożerały czerstwe bajgełe! Janda wzięła się za zamiatanie i szorowanie. Poszła do studni po wodę. Z początku dziewczynki nie zwracały na nią uwagi, potem upomniały, by nie wścibiała nosa do cudzych spraw.

– Niczego od was nie chcę. Wasza matka, niech spoczywa w pokoju, była moją przyjaciółką – odpowiedziała im Janda.

Pracowała do wieczora. Grzała wodę i myła dzieci. Starsze dziecko wysłała po mydło, grzebień i naftę do zabijania wszy. Co kilka minut wylewała pomyje. Zeszli się sąsiedzi; patrzyli i kręcili głowami. Wszyscy powtarzali to samo: Janda pracuje na próżno. Nigdy nie wytępi się robactwa w tej chacie. Wieczorem zbrakło oświetlenia i Janda kupiła małą naftową lampkę. Cała rodzina spała na drewnianym podwyższeniu, ale nie dla wszystkich starczało derek do okrycia. Janda poprzykrywała dzieci własnymi ubraniami. Późnym wieczorem otworzyły się drzwi i wtoczył się Wojciech. Dziewczęta zaczęły chichotać. Stefan, chłopiec bez oka, zdążył się już zaprzyjaźnić z Jandą.

- O, idzie śmierdziel – powiedział.
- Nie powinieś tak mówić o swoim ojcu.
- Jeśli twój ojciec jest psem, powiedz mu „do budy” – odparował Stefan słowami wiejskiego przysłowia.

Janda zachowała dla Wojciecha bejgełe i kawałek śledzia, lecz on był zbyt pijany, aby jeść. Zwalił się jak kłoda, mamrocząc i parskając. Dziewczęta dreptały wokół niego. Stefan wspomniał, że w szopie za chatą jest siennik, na którym Janda mogłaby spać. Zaproponował, że pokaże jej, gdzie. Za ledwie kobieta otworzyła drzwi szopy, chłopiec pchnął ją i upadła. Rzucił się na nią. Chciała mu powiedzieć, że to grzech, ale zasłonił jej usta ręką. Próbowwała się bronić, ale wymierzył jej pięścią ciężki cios. Leżała tak na trocinach, odpadkach, gnijących sznurach, gdy tymczasem chłopak się zadowolił. Janda przymknęła oczy. „A więc, tak czy inaczej, jestem zgubiona” – pomyślała.

- O, ja nieszczęsna, mogłabym być twoją matką – wymamrotała.

IGŁA

W dzisiejszych czasach, dobrzy ludzie, wszystkie małżeństwa kojarzy Pani Miłość. Młodzi ludzie zakochują się i zaczynają umawiać. Chodzą ze sobą, dopóki nie zaczną się kłócić i nienawidzić. W moich czasach zdawaliśmy się na ojca, matkę, no i swatkę. Jeśli o mnie chodzi, zobaczyłam swojego Toda dopiero na ceremonii zaślubin, kiedy uniósł mój welon. Stał tak z tą swoją rudą brodą i zmierzwionymi pejsami. Było już po Szawuot, a on miał na sobie futro, jakby była zima. Tylko cud boży sprawił, że nie wyzionęłam ducha. Pościłam przez cały ten długi letni dzień. Jednak życzym najlepszym przyjaciółkom życia nie gorszego, niż ja miałam z moim mężem – oby wstawił się za mną na tamtym świecie. Może nie powinnam tak mówić, lecz nie mogę się doczekać, kiedy nasze dusze znów będą razem.

Tak, miłość-płochosć. Cóż młody chłopak czy młoda dziewczyna mogą wiedzieć o tym, co jest dla nich dobre? Matki wiedzą to najlepiej. W Krasnymstawie mieszkała kobieta, Rejca Lea, i kiedy szukała narzeczonych dla swych synów, nachodziła przyszłe synowe wczesnym rankiem, by się co do nich upewnić. Jeśli zauważyła, że pościel jest brudna, a dziewczyna, o której mowa, wyszła do drzwi nie uczesana, ubrana w niechlujny szlafrok, to jej wystarczyło. W niedługim czasie ludzie z sąsiednich wiosek zaczęli na nią uważać i kiedy pojawiała się wczesnym rankiem na bazarze, każda młoda dziewczyna zamykała drzwi na cztery spusty. Miała sześciu uzdolnionych synów. Żadna z panien, które im wynalazła, nie była bez wad, lecz to już inna historia. Dziewczyna może być czysta i schludna przed ślubem, a potem staje się flejtuchem. Wszystko zależy od szczęścia.

Ale pozwólcie, że opowiem pewną historię. Mieszkał w Hrubieszowie bogaty człowiek, reb Lemiel Wagmeister. W tamtych czasach nie używaliśmy nazwisk, ale reb Lemiel był tak bogaty, że zawsze mówiło się o nim Wagmeister. Jego żona miała na imię Ester Roza i pochodziła zza Wisły. Mam ją przed oczami: piękna kobieta o wielkomięjskich manierach. Zawsze nosiła czarny koronkowy szal wokół peruki. Jej twarz była biała i gładka jak u dziewczyny. Oczy miała ciemne. Mówiła po rosyjsku, po polsku, niemiecku i może nawet po francusku. Grała na fortepianie. Nawet po zabłoconych ulicach chodziła w bucikach z lakierowanej skóry, na wysokim obcasie. Pewnej jesieni widziałam, jak przeskakiwała z kamienia na kamień, niczym ptaszek, unosząc nieco suknię – prawdziwą dama. Mieli jedynego syna, zwanego Ben Zajn. Podobny był do matki jak dwie krople wody. Byliśmy dalekimi krewnymi, nie z jej strony, lecz ze strony jej męża. Ben Zajn – zwano go Benze – posiadał wszelkie zalety: był przystojny, inteligentny, wykształcony. W dzień studiował Torę z rabinem, a wieczorem przemawiał go nauczyciel świeckich przedmiotów. Benze miał ciemne włosy i jasną cerę, jak matka. Gdy przechadzał się latem ubrany w swoją elegancką gabardynową marynarkę z modnym rozcięciem z tyłu i wytworne buty z koźlęcej skóry, wszystkie dziewczęta z okien śledziły go wzrokiem. Mimo że zwyczaj tylko córkom nakazuje dawać posagi, ojciec Benza odłożył dla syna kwotę dziesięciu tysięcy rubli. Bo czy miało to dla niego jakieś znaczenie? Benze był jego jedynym spadkobiercą. Próbowano swatać go z najbogatszymi pannami w okolicy, ale Ester Roza była bardzo wybredna. Nudziła się; cóż można mieć do roboty przy trzech posługaczkach, służącym i woźnicy na dodatek. Spędzała więc czas na poszukiwaniu narzeczonej dla syna. Pół Polski już zjeżdżała, oglądając najpiękniejsze dziewczyny, ale nie znalazła się taka, co by nie miała jakiejś wady. Jedna za mało piękna, druga nie dość inteligentna. Ale tym, czego przede wszystkim szukała, była szlachetność charakteru.

– Bo – powiedziała kiedyś – jeśli żona jest ordynarna, jej mąż na tym cierpi. Nie chcę, żeby jakaś kobieta wylewała żółć na mego Benze.

Byłam już wtedy mężatką. Wydano mnie, gdy miałam piętnaście lat. Ester Roza nie miała w Hrubieszowie prawdziwej przyjaciółki, a ja stałam się częstym gościem w jej domu. Nauczyła mnie robić na drutach, haftować i szyć. Miała złote ręce. Gdy ją wzięła

ochota, potrafiła uszyć sobie sukienkę albo i pelerynę. Dla mnie też kiedyś uszyła sukienkę; ot tak, dla przyjemności. W dodatku znała się na interesach. Mąż nie zrobił nawet kroku bez zasięgnięcia jej rady. Ilekroć mówiła mu, aby sprzedał lub kupił jakąś posiadłość, reb Lemiel natychmiast posyłał po agenta Lippego i mówił: „Moja żona chce kupić lub sprzedać to i tamto”. Nigdy się nie myliła.

Tak więc Benze miał już dziewiętnaście lat i nie był nawet zaręczony. W tamtych czasach dziewiętnastoletniego młodzieńca uważało się za starego kawalera. Reb Lemiel narzekał, że to wybredna matka tak się chłopcu przysłużyła. Benze nabawił się pryszczycy na czole – podobno dlatego, że potrzebował kobiety. Zwiemy to zachciewajkami.

Któregoś dnia poszłam do Ester Rozy pożyczyć kłębek włóczki, a ona zagadnęła.

- Zełdele, pojedziesz ze mną do Zamościa?
- Cóż będę robić w Zamościu? – spytałam.
- Co za różnica – odrzekła. – Będziesz moim gościem.

Ester Roza miała swój własny powóz, lecz tym razem wybrała się z kimś, kto jechał do Zamościa. Domyśliłam się, że podróż ma coś wspólnego z poszukiwaniem narzeczonej, jednak Ester Roza nie była osobą, którą można by wypytywać. Jeśli miała ochotę rozmawiać, proszę bardzo, w porządku. Jeśli nie, można było tylko czekać. Krótko mówiąc, pospieszyłam zawiadomić matkę o wyjeździe. Nie musiałam pytać męża; caluteńki dzień siedział w domu nauki. Kiedy wracał wieczorem, kolację podawała mu moja matka. W tamtych czasach młodzieniec studiujący Talmud ledwie wiedział, że ma żonę. Wątpię, czy rozpoznałby mnie, spotkawszy na ulicy. Spakowałam sukienkę oraz – proszę wybaczyć – parę długich majtek i byłam gotowa do drogi. Podróżowałyśmy z pewnym szlachcicem, który sam powoził. Dwa konie, niczym lwy. Droga była sucha i gładka jak stół. Gdy przybyliśmy do Zamościa, wysadził nas nie na targu, lecz dopiero w bocznej uliczce, gdzie mieszkali goje. Ester Roza podziękowała mu, a on musnął kapelusz i do brodusznie pomachał nam batem. Wyglądało na to, że wszystko było ukartowane.

Ester Roza miała zwyczaj ubierać się w podróż elegancko, jak hrabina. Tym razem założyła zwykłą bawełnianą sukienkę, a wokół peruki zawiązała chustkę. Jak to latem, dni były długie. Powędrowałyśmy na targ, a ona zasięgnęła języka o sklepie bławatnym

Berysza Lublinerka. Wskazano nam wielki magazyn. Teraz w takim magazynie można kupić tylko materiały, ale wówczas sprzedawano tam wszystko: nici, wełnę do dziergania, mydło i powidło. Czym to oni nie handlowali. Był to sklep wielki jak las, zapchany towarami pod sufit. Mężczyzna siedzący przy głównym kantorku pisał coś w księdze rachunków, jak to robią w wielkich miastach. Nie wiem, kim był, kasjerem czy księgowym. Za ladą stała dziewczyna o ciemnych oczach, które płonęły jak ogień. Byłyśmy akurat jedynymi klientkami w sklepie i podeszłyśmy do niej.

– Czym mogę służyć? – zapytała. – Wyglądają panie na przyjezdne.

– Tak, nie jesteśmy stąd – powiedziała Ester Roza.

– Co chciałyby panie obejrzeć? – spytała dziewczyna.

– Igłę – rzekła Ester Roza.

W chwili, kiedy dziewczyna usłyszała słowo „igła”, zmieniła się na twarzy. Jej oczy zapłonęły złością.

– Dwie kobiety po igłę – powiedziała.

Kupcy wierzą, że igła przynosi pecha. Nikt nigdy nie ośmiela się kupić igły na początku tygodnia, bo wie, że wtedy cały tydzień będzie nieszczęśliwy. Nawet w środku tygodnia właściciele sklepów nie lubią sprzedawać igieł. Kupuje się zazwyczaj szpulkę nici, parę guzików, a wtedy igłę dorzuca się mimochodem, nawet o niej nie wspominając. Igła kosztuje tylko pół grosza i więcej z nią kłopotu niż zarobku.

– Tak – rzekła Ester Roza. – Potrzebuję tylko igły.

Dziewczyna skrzywiła się, ale wyjęła pudełeczko igieł. Ester Roza przejrzała je.

– Może ma pani jakieś inne? – odezwała się.

– A te są niedobre? – zapytała niecierpliwie dziewczyna.

– Mają za małe uszka – odrzekła Ester Roza. – Trudno będzie nawlec nitkę.

– To wszystkie, jakie mam – powiedziała dziewczyna ze złością. – Jeśli pani źle widzi, niech pani kupi sobie okulary.

– Na pewno nie ma innych? – upierała się Ester Roza. – Muszę mieć igłę z większym uszkiem.

Dziewczyna z niechęcią wyciągnęła inne pudełko i huknęła nim o ladę. Ester Roza obejrzała kilkanaście igieł.

– Te również mają za małe uszka – stwierdziła.

Dziewczyna wyrwała jej pudełko.

– Niech pani jedzie do Lublina i zamówi sobie specjalną igłę z wielkim uchem! – wrzasnęła.

Mężczyzna zza kantorka zaczął się śmiać.

– Może pani potrzebuje szydła – podsunął.

– Jaki tupet – wtrąciła się dziewczyna – żeby naprzykrzać się ludziom o towar za pół grosza.

– Nie potrzebuję szydła ani też dziewcząt, które są tak ostre jak szydło – odpowiedziała Ester Roza. Później odwróciła się do mnie. – Chodź, Zełdele, oni nie są w naszym typie – oświadczyła.

– Wieśniaczki! Idźcie, idźcie, co za ulga – krzyknęła za nami dziewczyna, czerwieniejąc na twarzy.

Wysłżyśmy. Cała ta sprawa napełniła mnie niesmakiem. Ester Roza zapytała mijającą nas kobietę o sklep bławatny reba Zeliga Izbicera.

– Po drugiej stronie ulicy – powiedziała kobieta, wskazując nam drogę.

Przecięłyśmy targ i weszłyśmy do magazynu wielkości jednej trzeciej tamtego. I tutaj zastałyśmy młodą sprzedawczynię, tym razem nie brunetkę, lecz rudowłosą. Nie była brzydka, choć piegowata. Jej oczy zieleniły się jak agrest. Ester Roza spytała ją, czy sprzedaje igły.

– Dlaczego nie? Sprzedajemy wszystko – odpowiedziała dziewczyna.

– Szukam igły z wielkim uszkiem, bo mam kłopoty z nawlekaniem – rzekła Ester Roza.

– Pokażę pani wszystkie rozmiary, które mamy, aby mogła pani wybrać najodpowiedniejszy dla siebie – odparła dziewczyna.

Domyśliłam się już, o co w tym wszystkim chodzi, i serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Sprzedawczyni przyniosła około dziesięciu pudełek igieł.

– Czemu pani stoi? Tu jest taboret, proszę usiąść – odezwała się.

Przyniosła taboret i dla mnie. Zrozumiałam, że Ester Roza chce również i ją wypróbować!

– Dlaczego te wszystkie igły są tak pomieszane? – narzekała. – Każdy rozmiar powinien mieć swoje własne pudełko.

– Kiedy dostajemy je z fabryki, są posortowane – odpowiedziała dziewczyna przepraszającym tonem – ale później zawsze się mieszają.

Widziałam, że Ester Roza robi, co może, aby wyprowadzić dziewczynę z równowagi.

– Niezbyt dobrze widzę – powiedziała. – Ciemno tu.
 – Jedną chwilkę; przesunę taboret w stronę drzwi. Tam jest więcej światła – odparła dziewczyna.

– To ci się opłaca, tyle zachodu, żeby sprzedać jedną igłę za pół grosza? – zapytała Ester Roza.

– Po pierwsze igła kosztuje tylko ćwierć grosza, a po drugie, jak mówi Talmud, to samo prawo dotyczy grosza, co i stu talarów. A co więcej, dzisiaj pani kupuje igłę, a jutro może będzie kupowała satynę na ślubną wyprawę – odrzekła sprzedawczyni.

– Czyżby? Jakże więc się stało, że wasz sklep jest pusty? – chciała wiedzieć Ester Roza. – Sklep Berysza Lublinera, po drugiej stronie ulicy, jest tak pełen klientów, że szpilki nie wciśniesz. Kupiłam tam materiały, ale po igłę zdecydowałam się przyjść tutaj.

Dziewczyna spoważniała. Bałam się, że tym razem Ester Roza przebrała miarę. Nawet anioł może stracić cierpliwość.

– Wszystko z woli Boga – odpowiedziała jednak ta dziewczyna.

Ester Roza zrobiła gest, jakby chciała przenieść taboret bliżej drzwi, ale dziewczyna powstrzymała ją.

– Proszę się nie trudzić. Ja to zrobię.

– Chwileczkę – przerwała Ester Roza. – Chcę ci coś powiedzieć.

– Co takiego chce mi pani powiedzieć? – zapytała dziewczyna stawiając stołek.

– Córko moja, mazel tow! – wykrzyknęła Ester Roza.

Dziewczyna zbladła jak papier.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Zostaniesz moją synową – oznajmiła Ester Roza. – Jestem żoną reb Lemiela Wagmeistera z Hrubieszowa. Przybyłam tu w poszukiwaniu narzeczonej dla mojego syna. Nie po to, żeby kupić igłę. Córka reb Berysza jest jak słomiana wycieraczka, a ty jak jedwab. Ty będziesz żoną mojego Benza, tak Bóg chce.

Tylko cud boży sprawił, że dziewczyna nie padła bez zmysłów. Każdy w Zamościu słyszał o reb Lemielu Wagmeisterze. Zamość to nie Lublin. Weszło kilku kupujących i przyglądali się temu, co się działo. Ester Roza wyjęła z koszyka sznur bursztynów.

– Oto twój prezent zaręczynowy. Schył głowę.

Dziewczyna posłusznie skłoniła głowę, Ester Roza włożyła jej korale na szyję. Matka i ojciec dziewczyny wbiegli do sklepu. Były całusy, uściski, płacz. Ktoś natychmiast popędził opowiedzieć tę historię córce reba Berysza. Gdy usłyszała, co się stało, wybuchnę-

ła płaczem. Na imię było jej Itte. Miała olbrzymi posag i cieszyła się sławą bystrej sprzedawczyni. Zelig Izbicer ledwie wiązał koniec z końcem.

Oj, dobrzy ludzie, to były swaty. W rodzinie Ester Rozy to ona była głową domu. Zawsze musiało być tak, jak powiedziała. No i jak mówiłam, w tamtych czasach nikt nie pytał młodych o zdanie. Urządzono zaręczyny i zaraz potem ślub. Zelig Izbicer nie mógł pozwolić sobie na wielkie wesele. Ledwie starczyło mu na posag dla córki, miał przecież jeszcze dwie inne i dwóch synów uczących się w jesziwie. Lecz jak wiecie, reb Lemiel Wagmeister nie bardzo potrzebował jej posagu. Byłam na zaręczynach i tańczyłam na weselu. Ester Roza wystroiła dziewczynę jak księżniczkę. Okazała się naprawdę piękna. Blask szczęścia odbija się na twarzy. Kto nie zobaczył tej pary, stojącej pod chupą, a potem w tańcu czystości, ten nigdy się nie dowie, co to znaczy cieszyć się dziećmi. Potem żyli jak gołąbki, a dokładnie w rok później urodziła syna.

Od dnia kiedy Itte dowiedziała się, że Ester Roza przybyła, aby ją wypróbować, cierpiała okrutnie. Wciąż opowiadała o tamtej wizycie. Przystała obsługiwać klientów. Płakała dniem i nocą. Swatka zasypywała ją propozycjami, ale po pierwsze – Itte nie chciała już nikogo innego, a po drugie – to, co się wydarzyło, przyniosło jej złą sławę. Wiecie, jak to ludzie przesadzają. Wymyślano o niej najróżniejsze kłamstwa. Obraziła ponoć Ester Rozę w najgorszy sposób, napluła jej w twarz, a nawet pobiła. Ojciec Itte spał na pieniądzach, a w małym miasteczku zazdrości się sąsiadowi nawet skórki od chleba. Teraz wszyscy wrogowie mogli wziąć na nim odwet. Itte miała głowę do interesu, a bez niej magazyn się rozpadł. Niebawem poślubiła człowieka z Lublina, nawet nie kawalera, lecz rozwiedzionego. Przeniósł się do Zamościa i przejął sklep teścia. Ale taki był z niego kupiec, jak ze mnie muzyk.

Tak to się rzeczy mają. Jeśli ci szczęście dopisuje, dobrze ci się wiedzie. A gdy przestaje się szczęścić, wszystko schodzi na psy. Matka Itte z przygnębienia nabawiła się kamieni żółciowych, a może to była żółtaczką. Jej twarz żółkła jak szafran. Itte nigdy więcej nie przestąpiła progu sklepu. Stała się kurą domową. Spodziewano się, że kiedy zajdzie w ciążę i urodzi dziecko, zapomni. Ale dwukrotnie poroniła. Na wpół zwariowała, przeklinała Fridę Gittel – bo tak nazywała się żona Benza – i upierała się, że ktoś uknął przeciwko niej spisek. Któż może wiedzieć, co dzieje się

w głowie szalonej kobiety? Itte przepowiadała również, że Frida Gittel umrze, a wtedy ona, Itte, zajmie jej miejsce. Kiedy po raz trzeci zaszła w ciążę, ojciec zabrał ją do cudotwórcy. Zapomniałam wyjaśnić, że w tym czasie jej matka już nie żyła. Cudotwórca dał Itte leki i talizmany, jednak poroniła po raz trzeci. Poczęła biegać do lekarzy i wymyślać sobie najrozmaitsze choroby.

A teraz posłuchajcie. Pewnego wieczoru Itte siedziała w swoim pokoju, szyjąc. Skończyła jej się nitka i chciała nawlec nową. Biorąc do ręki szpulkę, wsunęła igłę między wargi. W pewnej chwili poczuła ukłucie w gardle, a igła zniknęła. Szukała jej wszędzie, lecz – jak to mówią – kto znajdzie igłę w stogu siana? Moi drodzy, Itte wyobraziła sobie, że połknęła igłę. Czuła kłucie w żołądku, w piersiach, w nogach. Takie „wędrujące szpile”. Odwiedziła znachora, ale cóż znachor może wiedzieć? Udała się do lekarzy w Lublinie, a nawet w Warszawie. Obmacywali jej żołądek, ale igły nie znaleźli. Boże uchronaj. Itte leżała w łóżku i jęczała, że ją kłuje. Miasto wrzało. Niektórzy mówili, że połknęła tę igłę, aby popełnić samobójstwo. Inni, że to była kara boska. Ale niby dlaczego miałyby być ukarana? Już i tak dość wycierpiała za swój brak ogłady. W końcu pojechała do Wiednia, do słynnego doktora. I znalazł wyjście. Uśpił ją i rozciął brzuch. Gdy się obudziła, pokazał jej igłę, którą rzekomo wyjął z jej wnętrzości. Nie było mnie tam. Może rzeczywiście znalazł igłę, ale ludzie mówią inaczej. Po powrocie z Wiednia była jak nowo narodzona. Sklep miał się ku upadkowi. Jej ojciec przeniósł się już na tamten świat. Jednakże Itte otworzyła nowy sklep. I znów jej się powiodło, lecz już nigdy nie miała dzieci.

Po tym, co zaszło między Ester Rozą i dwiema dziewczynami, sprzedawczynie w Zamościu stały się uosobieniem grzeczności, nie tylko dla obcych, lecz nawet dla swoich, mieszkańców miasteczka. No bo skąd można wiedzieć, czy klient przyszedł coś kupić, czy poddać je próbie. Domokrążny sprzedawca książek zrobił dobry interes na podręcznikach etykiety, a kiedy kobieta przychodziła kupić kłębek włóczki, zaraz proponowano jej krzesło.

Nie potrafię wam powiedzieć, co zdarzyło się potem, bo wyjechałam z Zamościa. W dużych miastach człowiek zapomina o wszystkim, nawet o Bogu. Reb Lemiel Wagmeister i Ester Roza dawno już pomarli. Benze i jego żona od długiego czasu nie dają znać o sobie. Tak, igła. Z powodu koguta i kury w Ziemi Świętej zniszczone zostało miasto, a z powodu igły nie powiodły się swaty. Pra-

wda jest taka, że wszystko zapisane jest w niebie. Możesz kogoś kochać do szaleństwa, ale jeśli nie jest ci to pisane, spali na panewce. Dziewczyna i chłopak mogą żyć w najlepszej komitywie przez siedem lat, gdy nagle zjawia się ktoś obcy i rujnuje wszystko. Mogłabym opowiedzieć wam o chłopaku, który na złość poślubił najlepszą przyjaciółkę swej dziewczyny, a ona, aby mu się odplacić, tkwiła w łóżku przez dwadzieścia lat. Opowiedzieć? Jest zbyt późno. Gdybym chciała opowiedzieć wam wszystkie historie, które znam, siedzielibyśmy tu przez siedem dni i siedem nocy.

JAK DWA TRUPY HARCOWAŁY

Igraszki z żywymi to jedno, ale z umarłymi też zawsze nieźle się bawię. Każdy wie, że nie mam mocy wskrzeszania. Od tego jest tylko Wszechmogący. Niemniej ja, Zły, potrafię na krótki czas tchnąć w zwłoki oddech życia, zwierzęcą duszę, jak to raczą określać filozofowie, i wysłać je na włóczęgę pośród żywych. Biada takiemu! Ani żywy, ani martwy, a tylko błąka się gdzieś na granicy światów. Jakaż rozkosz dla mnie – patrzeć, jak trup, całkiem nieświadom swego położenia, je, walczy o byt, żeni się i grzeszy, oszukując przy tym siebie i innych. Gdy gra staje się nudna, kończę ją.

– Wracaj do swego grobu, Panie Trupie – rozkazuję. – Dosyć tych igraszek.

I wtedy trup rozsypuje się w pył, bo choć przez chwilę dokazywał, ani przez moment nie przestał gnić.

Tym razem wybrałem młodego mężczyznę o imieniu Icze Godł. Umarł już ponad rok temu, a wdowa po nim, Tryna Ryca, powtórnie wyszła za mąż. Jako że mieszkał w tak wielkim mieście jak Warszawa i nie zostawił ani rodziców, ani dzieci, ani też żadnego majątku, kompletnie o nim zapomniano. Rzecz w tym, że już za życia był jak trup. Znacie stare powiedzenie: „Biedak jest jak umarły”. Cóż, Icze Godł był nędzarzem pierwszej wody. Utrzymywała ich żona, która handlowała na targu, domem im była piwnica, ciemna nawet za dnia. Icze Godł, w łachmanach, snuł się po domach nauki lub drzemał na ławce za piecem. Ten drobny przygarbiony człeczyna, o sennym spojrzeniu, z brodą jak kurzy grzebień, nosił spodnie, które wciąż opadały, wystrzępiony chałat związany sznurkiem, starą czapę naciśniętą na głowę, a na nogach rozczłapané buty. Tak dożył lat trzydziestu sześciu, kiedy to zapadł na jakąś

tajemniczą chorobę. Przez kilka tygodni leżał pod okryciem ze szmat, na swoim posłaniu ze zgniłej słomy, z twarzą coraz bardziej żółtą i wymizerowaną, aż wreszcie pewnego ranka, gdy Tryna Ryca szykowała na targ swój wiklinowy kosz, odkryła, że jej żywiciel, jej pan i władca, którego podnóżkiem będzie kiedyś w raj, już nie żyje. Przytknęła mu do nozdrzy pierze wyjęte z poduszki i czekała, czy pofrunie. Ale nie pofrunęło. Tak czy siak, uciułała parę groszy na pogrzeb i Icze Godł został wysłany do Prawdziwego Świata. Jako że pogrzeb odbywał się w piątek, sąsiedzi byli zbyt zajęci, by pójść w kondukcje. Ciało pospiesznie pogrzebano, nie stawiając nawet tabliczki na grobie.

Zwykle gdy człowiek umiera, staje przed aniołem Duma, który pyta o imię, a potem waży złe i dobre uczynki. Lecz Icze Godł leżał, gnijąc miesiącami, o nic nie pytany i zapomniany nie tylko przez aniołów, ale i przez diabły. Jedyne przypadek sprawił, że dowiedziałem się o tym zagubionym zewłoku i postanowiłem trochę się z nim zabawić.

– Słuchaj no, Icze Godł – zawołałem. – Po co masz tu gnąć pod ziemią? Czemu nie wstaniesz i nie pójdziesz na miasto? Mnóstwo trupów szwenda się po Warszawie. Jeden więcej nie zawadzi.

Icze Godł wstał, a ponieważ było późno i kościelny spał głęboko, więc wysłałem go do kostnicy, gdzie ukradł stróżowi spodnie, buty, kapelusz i chałat. Potem wyruszył w kierunku miasta.

Choć był ubrany jak każdy inny biedak, miał w sobie coś przerażającego. Psy wyły, a nocni stróże drżeli i kurczowo ściskali swe kostury, gdy zbliżał się bezgłośnie. Pijak idący naprzeciw niego chwiejnym krokiem natychmiast wytrzeźwiał i zawrócił. Jako że Icze Godł nie wiedział, że jest umarlakiem, i w domu nie gościł już od ponad roku, zrazu podążył w kierunku piwnicy. Doszedłszy do wąskiej uliczki, przy której mieszkał, przytrzymując się drewnianej poręczy, wymacał schodzące w dół piwniczne schodki.

– Ale późno! Aj-waj! Po co tak się zasiedziałem w domu nauki? – mamrotał. – Tryna Ryca pewnie zrobi ze mnie befszytk.

Pchnął drzwi, lecz ku swemu zaskoczeniu zauważył, że są zamknięte i zabezpieczone łańcuchem.

– Musi być wściekła – pomyślał.

Zakołatał raz i drugi. Nagle usłyszał zza drzwi jakiś dźwięk, jakby westchnienie mężczyzny.

– Co się tu dzieje? – zapytał sam siebie. – Czy to możliwe, by

Tryna Ryca zeszała na drogę grzechu? To idiotyczne. Musiałem się przesłyszeć.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i Icze Godł rozpoznał w ciemnościach postać mężczyzny. Przyszło mu na myśl, że może się pomylił i zastukał do niewłaściwych drzwi.

– Czy tu mieszka Tryna Ryca? – wykrztusił.

– Coś ty za jeden? – zachrypiał ordynarny męski głos. – Czego chcesz?

– Bo ja jestem jej mężem – oznajmił zmieszany Icze Godł.

– Jej mężem? – ryknął tamtem cofając się.

– Kto to? – zapytała Tryna Ryca, podnosząc się z łóżka.

Teraz już i ona stała w drzwiach. Rozpoznał jej znajomą sylwetkę, krok, słodko-kwaśny zapach jej ciała.

– To ja, Icze Godł – rzekł.

Zamiast odpowiedzieć, Tryna Ryca zaczęła wrzeszczeć. Mężczyzna zatrzasnął drzwi. Icze Godł został na zewnątrz. Drżał, gdy Tryna Ryca bez przerwy krzyczała. Potem nagle ucichła, jakby zemdląła. Nieco później usłyszał szepty, mamrotania, aż wreszcie Tryna Ryca i mężczyzna zaintonowali „Słuchaj, o Izraelu”.

– Co tu się dzieje? – zastanawiał się Icze Godł.

Tkwiąc pośród ciemności, rozmyślał, skubał brodę, marszczył brew, ale im dłużej się zastanawiał, tym bardziej zadziwiające wydawało mu się całe to zajście.

– Nie ma wątpliwości, kobieta popełniła cudzołóstwo – wytłumaczył sobie.

I choć było to okrutnie bolesne, zostawił żonę, swoje posłanie i poszedł szukać schronienia w domu dla ubogich. Jaki miał wybór? Nie potrafił robić awantur, nigdy się nawet nie nauczył, jak należy podnieść głos. Postanowił usunąć się.

– Cóż mogę począć, skoro tak mi było pisane? – pomyślał.

Na drżących nogach wspiął się z powrotem po schodach i ruszył w kierunku miasta.

2

O brzasku, gdy Icze Godł leżał w ścisku w kącie domu dla ubogich, przekonany, że śpi, ukazałem mu się w czerni i na gęsich nogach.

– Po co spać, Icze Godł? – powiedziałem. – Człowiek nie żyje wiecznie. Jeśli na tym świecie nie sięgniesz po swoje, na tamtym

będzie już za późno. Skoro twoja żona jest cudzołożnicą, ty musisz zostać rozpustnikiem.

– Przecież nie wolno – odpowiedział Icze Godł. – W piekle czeka za to kara.

– Nie ma żadnego piekła – pouczyłem go. – Trup nic nie wie i nic nie czuje. Nie istnieje ani Sędzia, ani Sąd.

– Ale jak ja, taki obdarty i parszywy, miałbym zostać hulaką? – zapytał Icze Godł.

– Bogaci mają mnóstwo pieniędzy – rzekłem. – Idź na targ i ukradnij trochę. Ja ci pomogę.

– A jak mnie złapią i wtrąca do więzienia?

– Nie bój się. Nie będą mogli cię tknąć.

Tego samego ranka Icze Godł udał się na targ i wszedł do sklepu. niby po sprawunki. Jednak, choć nie było innych klientów, właścicielka nie podeszła do niego. Nawet gdy krążył wokół worka z fasolą i zagłębił w nim rękę, nie zbesztła za dobieranie się do jej towarów. W pewnej chwili, kiedy kobieta wyszła na zaplecze, pozostawiając sklep bez nadzoru, Icze Godł podkraść się do lady, otworzył kasę i wyjąwszy pełną garść pieniędzy, wsunął je do kieszeni. Potem wymknął się ze sklepu i zniknął w tłumie.

Już po minucie usłyszał raban i płacz. Sklepową lamentowała, że ją okradli. Nastąpiło wielkie poruszenie. Każdy był podejrzany. Zatrzymano żebraka, przeszukano i choć niczego nie znaleziono, zdrowo go obito. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na Icze Godła.

– Co ja teraz zrobię? – zapytał.

– Nie jesteś wcale głodny?

– I tak, i nie.

– Nieważne. Idź do jadłodajni i zażycz sobie talerz flaków, nóżki cielęce, kluski, miskę marchewki i smażone ziemniaki oraz szklaneczkę brandy na dobre trawienie. Wychodząc zdejmij z wieszaka przyzwoite futro i sobolowy kapelusz. A potem zobaczymy.

Odkąd Icze Godł przestał figurować w Księdze Żywych, aniołowie nie interesowali się jego żywotem i podporządkowanie go własnej woli przychodziło mi z łatwością. Postąpił zgodnie z moimi wskazówkami i godzinę później znów pojawił się na ulicy, już jako dobrze przyodziany mężczyzna. Jego twarz, mówiąc szczerze, blada była i zapadnięta, a oczy wyglądały jak skrzepy wciśnięte w kościste oczodoły, lecz futrzany kołnierz skrywał niemal całą fizjonomię. Prezentował się jak bogacz, więc żebracy wyciągali do

niego ręce po jałmużnę, zaś on, niczym każdy, komu się powodzi, udawał, że ich nie widzi.

– Co mam teraz robić? – znów zapytał mnie Icze Godł.

– Chciałbyś się trochę zabawić z tą ladacznicą, twoją żoną? – zaproponowałem.

– Owszem, czemu nie?

– Więc chodź i rób, co ci powiem. Moja w tym głowa, żeby poszło jak z płatka.

Wysłałem go na targ, gdzie Tryna Ryca stała nad koszykiem na wópeł zgniłych jabłek. W przeciwieństwie do Icze Godła była zdrową dziewczuchą o rumianych policzkach i rozłożystych biodrach. Icze Godł był przekonany, że żona ledwie co wczoraj go opuściła, toteż nie mógł się nadziwić zmianom, które w niej dostrzegł. Twarz jej odmłodziła, a głos dźwięczał, gdy rozprawiła z innymi handlarkami, jednocześnie z upodobaniem wyjadając z glinianego spodka prażoną kaszę.

Najwyraźniej grzech jej służy – pomyślał Icze Godł.

Rzecz jasna, to ja przywiódłem go do takiego wniosku, zawładnąłem jego duszą bez reszty.

Zbliżył się.

– Przepraszam, kobieto, po czemu jabłka?

Tryna Ryca popatrzyła i zdębiała, widząc tak dystyngowanego pana w futrze i sobolowym kapeluszu.

– Po groszu za funt. Za dwa grosze trzy funty – wykrztusiła.

– Zbyt tanio! – rzekł Icze Godł. – W Gdańsku, skąd pochodzę, taki towar kosztowałby najmniej trzy grosze za funt.

– Aj... coś takiego? To mi dopiero cena! – wykrzyknęła Tryna Ryca, gapiąc się na przybysza w osłupieniu. – Tutaj wszystko jest paskudnie tanie.

– Dlaczego pracujesz na bazarze? – spytał. – Nie masz męża, żeby cię utrzymywał?

– Mam męża, oby żył sto lat i jeszcze dwadzieścia – odpowiedziała. – Ale muszę mu pomagać.

– A cóż on porabia? – zapytał Icze Godł, uśmiechając się do siebie.

Był przecież pewien, że mowa jest o nim, o Icze Godł.

– Można powiedzieć, że jest majstrem od wszystkiego – bagażowym, handlarzem starzyzną, wyrabia beczki, a czasem bywa też i szewcem. Ale wiecie, jak to mówią: „Mały interes, mały pieniądz!”

– Masz dzieci? – chciał jeszcze wiedzieć Icze Godł. Gdy odpowiedziała przecząco, zapytał chytrze: – A niby dlaczego?

– To mój drugi mąż – wytłumaczyła Tryna Ryca. – Z tego pierwszego, niech odpoczywa w pokoju, był, zechciejcie wybaczyć, słabeusz i głupek. Umarł rok temu. A drugi, niech go Bóg błogosławi, jest ze mną dopiero od kilku tygodni.

Icze Godł z całych sił powstrzymywał się od śmiechu. Jakże kobieta może kłamać tak bezwstydnie?

– Powiedz mi szczerze: którego z nich bardziej kochasz – tego drugiego czy pierwszego, niech święta będzie jego pamięć?

– Czemu, panie, pytasz mnie o to? – obruszyła się. – Ludzie z Gdańska muszą być bardzo ciekawscy.

– W Gdańsku, gdy ktoś pyta, zwyczaj nakazuje odpowiadać – rzekł, dziwiąc się swojej śmiałości.

Najwyraźniej doszedł do wniosku, że z pieniędzmi człowiek nabiera animuszu. Tryna Ryca zamyśliła się, przetykając ostatnią porcję prażonej kaszy.

– No dobrze, po co mam kłamać? – odpowiedziała po krótkim zastanowieniu. – Niech mi Bóg wybaczy, ale ten jest mężczyzną. Tamten drugi, oby spoczywał na wieki, niestety, był safandulą.

Nagle przyjrzała się bliżej człowiekowi stojącemu naprzeciw. Krew zastygła jej w żyłach, twarz zbladła, a gliniany spodek wypadł z rąk i stłukł się w drobny mak.

– Kim ty jesteś? Czego chcesz ode mnie? – wrzeszczała nieswoim głosem. Zanim Icze Godł zdążył odpowiedzieć, zemdląła. Handlarki płakały i lamentowały, a Icze Godł zmieszał się tłumem.

3

Na Rynku Starego Miasta mieścił się wielki sklep kolonialny, należący do wdowy zwanej Fejnkeł. Ogólnie znana ze swej mądrości i wykształcenia, mówiła po polsku i po niemiecku, a jej dowcipne powiedzonka kupcy powtarzali sobie z upodobaniem. Wdowa Fejnkeł była szczupłą kobietą o oliwkowej cerze, miała bystre oczy i wąski ostry nos. Utrefioną perukę zdobiła srebrnym grzebieniem, nosiła buty na wysokich obcasach i nawet w powszednie dni zakładała jedwabne suknie i biżuterię. Jej stroje szyte były na zamówienie przez krawca, który świadczył usługi moźnym.

Była wdową od ponad dwudziestu lat, lecz nigdy powtórnie się nie wydała. Dlaczego? To już jej tajemnica. Nikt nie ośmielił się

spytać. Zmarły mąż Fejnkeł, reb Józef Rapaport, odziedziczył majątek i był badaczem Talmudu, ale znał się też na sprawach tego świata. Z pewnością nie mogła o nim zapomnieć. Szeptano też, że przy mężowskim łożu śmierci z własnej woli poprzysięgła nigdy się powtórnie nie wydawać.

Pewnej zimy wdowa Fejnkeł Rapaport zapadła na jakąś chorobę i najwybitniejsi lekarze w Warszawie nie byli w stanie jej pomóc. Mieszkał wtedy w Wiedniu doktor, o którym mówiono, że dokonuje cudów, po prostu wskrzesza umarłych. Wdowa Fejnkeł wybrała się więc do Wiednia, pozostawiając sklep pod opieką trojga sprzedawców, młodego mężczyzny i dwóch dziewcząt. Wszyscy oni byli jej krewnymi, na których uczciwości mogła polegać.

Minęło kilka miesięcy bez wiadomości od Fejnkeł i zaczęto już snuć przypuszczenia, że nie żyje. Przed odjazdem sporządziła testament, zostawiając część majątku krewnym, resztę przeznaczając na dobroczynność. Jej kosztowne suknie i jedwabna bielizna miały być w wypadku śmierci rozdane ubogim pannom młodym. Odłożyła też pewną sumę na zatrudnienie dziesięciu pobożnych mężów, którzy przez okrągły rok po jej śmierci mieli odmawiać Kadysz i studiować Misznę. Zadbła też, aby w domu modlitwy podtrzymywano wieczny płomyk ku jej pamięci. Krótko mówiąc, zadbała o to, by nie stawić się z pustymi rękoma przed niebieskim Trybunałem Sprawiedliwości.

Tymczasem nikt nie wiedział, co się z nią stało, i warszawscy rabini zabronili choćby tknąć jej majątek, dopóki śmierć Fejnkeł nie zostanie wyraźnie stwierdzona. Minęło dziewięć miesięcy. Najbliżsi krewni zaczęli już ją opłakiwać i starym zwyczajem wysławiać jej imię, ilekroć padło. Niektóre kobiety widziały ją we śnie w całunie, jak błaga, by sprowadzić jej szczątki do Warszawy. Chciała spocząć obok swych przodków, bo na bezbożnym cmentarzu w Wiedniu, skarżyła się, jej dusza nie może znaleźć sobie miejsca.

Nagle gruchnęła wiadomość, że Fejnkeł wróciła. Pewnego wieczoru, gdy pracownicy właśnie mieli zamiar zapalić lampę oliwną, weszła Fejnkeł. Cała spowita w czerń, wydawała się wyższa i bardziej koścista niż przedtem. Sprzedawcy byli tak wystraszeni, że aż odjęło im mowę.

– Wygląda na to, żeście się już mnie nie spodziewali – rzekła Fejnkeł.

– Uchowaj Boże – odpowiedział główny subiekt, odzyskując równowagę.

– Dlaczego ciotka nie pisała? – zapytała starsza z dziewcząt, wybuchając płaczem.

– Skoro nie pisałam, to widocznie nie mogłam – po swojemu, surowo odcięła się Fejnkeł.

Opowiedziała zwięźle, że trzymali ją w wiedeńskim szpitalu, bo była śmiertelnie chora, ale teraz już wydobrzała. Najwyraźniej nie miała ochoty rozwodzić się nad swą nieobecnością. Wyglądała na zmienioną. Jej twarz wydłużyła się i pokryła pryszczami, nos jeszcze bardziej się zaokrążył, a oczy, choć bystrzejsze, patrzyły gdzieś w dal. Każdy dzień spędzała siedząc za ladą, zapatrzona w karty tomu „Lampy Świata”, choć, jak zaobserwowała młodsza z dziewcząt, nigdy ich nie przewracała i książka wciąż była otwarta na tej samej stronie. Kobiety przychodziły, aby się z nią zobaczyć i przepytały o to i owo, lecz przyjmowała je chłodno i w milczeniu. Wszystkim odpowiadała to samo, wciąż powtarzając, że była bardzo chora. Młode mężatki chciały dowiedzieć się od niej czegoś na temat Wiednia; jak tam kobiety chodzą ubrane, co nowego w modzie i czy rzeczywiście miasto jest tak wspaniałe, jak to niektórzy opisują.

– Prawie nie widziałam miasta. Skupiona byłam na innych sprawach – zbywała je wtedy po prostu.

Pewnego dnia, gdy Fejnkeł siedziała w sklepie, wpatrując się w „Lampę Świata”, z miarką po jednej stronie, a nożycami po drugiej, Icze Godł wstąpił, aby nabyć materiał na płaszcz, jak mu to wcześniej poleciłem. Nawiązawszy rozmowę z Fejnkeł, oznajmił jej, że jest wdowcem i kupcem z Gdańska.

– Czy dawno już pańska żona odeszła? – zapytała kobieta, a Icze Godł określił, kiedy to się stało.

– A co pan robi w Warszawie? – chciała wiedzieć Fejnkeł.

Wyłuszczył jej plany wzniesienia na rynku gmachu, wysokiego na cztery piętra, z trzema podwórzami.

– Po co taki wielki budynek? – zdziwiła się Fejnkeł.

– Nie buduje się przecież tylko dla siebie, lecz także i dla potomnych – odparł.

– Więc ma pan dzieci? – zagadnęła Fejnkeł.

– Moja pierwsza żona, niechaj spoczywa w pokoju, była bezpłodna – odpowiedział. – Ale zamierzam znów się ożenić.

Fejnkeł zapytała, ile łokci materiału potrzebuje jej klient.

– Co za różnica? – odparł. – Tyle, żeby okryć ciało.

I spojrział na nią beznamiętnie, w odpowiedzi otrzymując równe puste spojrzenie.

Następnego ranka zarządziłem, by Icze Godł posłał do Fejnkeł swatkę.

– Jakże to? – zaprotestował. – Przecież mam już żonę.

– Rób, co ci każe – rozkazałem. – Niczego nie masz.

A więc swatka porozmawiała z Fejnkeł, która zgodziła się. Subiekci i sąsiedzi byli wielce zadziwieni, gdy dowiedzieli się, że Fejnkeł rozmyśla o małżeństwie. Przychodzili z gratulacjami, lecz dziękowano im oschle.

– Kto jest wybrańcem? Skąd pochodzi? Co robi? – dopytywali się.

– Kto wie? Wznosi na rynku budynek. czy coś w tym rodzaju.

– odpowiedziała im krótko.

– Tam nie ma ani jednej wolnej parceli – stwierdzili jednogłośnie.

– Co do mnie, może sobie budować i w powietrzu – zakończyła rozmowę Fejnkeł.

I choć jej usta się uśmiechały, oczy pozostały nieruchome. Ponadto kobiety stojące tuż przy Fejnkeł poczuły, że wydziela dziwny zapach. Zwykle jednak pozostawały w pewnej odległości, bo Fejnkeł zawsze pospiesznie pochylała się nad pożółkłymi kartkami swej księgi.

– To już nie dawna Fejnkeł – szeptały między sobą kobiety, z ciężkim sercem opuszczając sklep.

Subiekci przypuszczali, że ślubna wyprawa pracodawczyni będzie bardzo kosztowna, lecz ona nie zamówiła żadnej nowej garderoby. Służąca również zauważyła dziwne zachowanie swej pani. Prawie nie jadła, nigdy nie załatwiała zwykłych ludzkich potrzeb, nie myła się i nie przebierała. Jej łóżko wyglądało rankiem, jakby nikt w nim nie spał, zawsze gładkie i chłodne, jak poprzedniego dnia. Gdy przechadzała się po domu, nie dało się słyszeć odgłosu jej kroków, a służąca, mówiąc do niej, często nie uzyskiwała odpowiedzi. Data ślubu była już ustalona, lecz Fejnkeł wciąż jeszcze nie czyniła żadnych przygotowań.

– Gdzie będzie spał pan? – zapytała któregoś razu służąca.

– Jaki pan? – odpowiedziała Fejnkeł pytaniem.

– To znaczy... no, po ślubie – wyjąkała służąca.

– Będzie spał tam, gdzie jego poprzednik – Fejnkeł wzruszyła ramionami.

W wieczór zaślubin Fejnkeł pojawiła się w rytualnej łaźni i kobiety, które nie liczyły przecież na jej przyjście, zdumiały się wielce. W swym czarnym stroju sprawiała wrażenie dziwnie wysokiej i bezcielesnej, a jej postać nie rzucała cienia na ścianę. Łazienka

nadbiegła, by pomóc wdowie przy rozbieraniu, ale Fejnkeł odepchnęła ją i siadając na brzegu ławki, sama zaczęła zdejmować ubranie. Podarte pończochy i poplamiona bielizna wywołały powszechne zaskoczenie. Kiedy już była naga, szybko zeszła po schodkach i cicho zanurzyła się w wodzie. Na jej wyniszczonym ciele zliczyć można było wszystkie żebra. Mimo że jakiś czas tkwiła pod wodą, na powierzchni nie pojawił się ani jeden bąbelek. Na koniec wynurzyła głowę, która nie była ogolona czy ostrzyżona, jak to jest w zwyczaju wśród pobożnych kobiet, lecz porośnięta kępkami zmierzwionych włosów.

Nadeszła noc zaślubin i narzeczona, ubierając się w czarną jedwabną suknię z trenem, stała przy oknie w oczekiwaniu na wybrańca. Dziewcząta pozapełniały już kandelabry i żyrandole zapalonymi woskowymi świecami. Icze Godł przybył nareszcie w towarzystwie pomocnika rabina i kilku ulicznych wycieruchów, którzy mieli stanowić kworum. Ceremonia odbyła się według obowiązującego porządku. Asystent rabiego gęsim piórem spisał kontrakt małżeński. Icze Godł wy dobył obrączkę z kieszeni na piersi i wsunął ją na wskazujący palec Fejnkeł. Gdy zwinięto chupe, a paliki ustawiono za piecem, służąca podała ciasta i brandy, podczas gdy goście składali młodej parze życzeniami.

– Obyśmy wkrótce świętowali obrzezanie! – powiedział do Fejnkeł pomocnik rabina.

Ta zaśmiała się bezgłośnie, odstawiając rząd szerniałych zębów. Zaś Icze Godł chichotał, pochyliwszy głowę.

– Udanej nocy! Szczęśliwej nocy! – zyczyli chórem wychodzący goście.

Zwolniona na noc służąca poszła spać do matki, a subiekci powrócili do swych mieszkań w suterenie, pozostawiając Fejnkeł i Icze Godł samym sobie.

– Czy mogę zgasić światło? – zapytała Fejnkeł.

– Jak sobie życzysz – odparł Icze Godł.

– Czemu masz taki grobowy nastrój? – zapytała go Fejnkeł.

– Tak ci się tylko wydaje – odpowiedział.

– Wolisz jeść czy spać? – szepnęła Fejnkeł.

– Spać – powiedział Icze Godł.

– Ja też – rzekła Fejnkeł ziewając.

Ruszyła w stronę sypialni i Icze Godł, na chwiejnych nogach, podążył w ślad za nią. W korytarzu było ciemno.

– Co z twoim domem? – spytała Fejnkeł.

– Mam już miejsce – odparł Icze Godł zduszonym głosem.
– Zawsze jest jakieś miejsce – surowo zauważyła Fejnkeł. Icze Godł poczuł nagle, jakby się od niego oddalała.

– Dokąd idziesz? – zawołał.
– Chodź, nie bój się – uspokoiła.

Sypialnia, nie tylko że była nieopisanie przestronna i ciemna, ale wydawało się, że nie ma ścian, a wiatr w niej hulał, jakby byli na dworze.

– Rozbieraj się – rozkazała Fejnkeł.
– Zimno mi – skarżył się Icze Godł.

Błądził dokoła wśród ciemności, szukając krzesła, na którym mógłby spocząć i zdjąć buty.

– Co robisz? Gdzie jesteś? – wołała Fejnkeł.
– A ty? Już leżysz w łóżku? – spytał Icze Godł.
– Tak mi się zdaje – wymamrotała Fejnkeł.
– Nie mogę znaleźć krzesła – narzekał Icze Godł.
– Ależ jesteś nieporadny – westchnęła Fejnkeł.

Nie mając wyboru, Icze Godł ułożył swój płaszcz i kapelusz na podłodze. Na drżących nogach ruszył w kierunku łóżka. Nagle wydało mu się, że zagląda w głąb jakiegoś dołu.

– Co się stało? Czemu nie idziesz? – gderła Fejnkeł.
– Zdaje mi się, że widzę dół – szepnęła Icze Godł.
– Co za dół? – wykrzyknęła Fejnkeł.
– Dół... to wygląda jak dół... a cóż by innego?

Z tymi słowami zapadł się i słychać było tylko klekot kości.

– Co z tobą? – dopytywała się Fejnkeł.
– Wpadłem! Ratuj mnie! – jęczał Icze Godł, któremu zaczął drętwieć język.

Fejnkeł chciała wstać, ale nie mogła ruszyć się z miejsca.

– Nie rozumiem! Gdzie mogłeś wpaść? Tu nie ma żadnych dołów! – krzyczała.

Przez długi czas oboje milczeli.

– O, ja nieszczęśliwa... – przemówiła Fejnkeł. – Zrobiliśmy z siebie głupców.

– O co chodzi? Jesteś chora czy co, uchowaj Boże? – stłumionym głosem zapytał Icze Godł.

– Gorzej niż chora! – odpowiedziała Fejnkeł głosem grobowym.
– Wielkie nieba! Słuchaj, o Izraelu: Pan naszym Bogiem, jeden jest Pan – dyszał Icze Godł, wymawiając swe ostatnie słowa.

– Niech będzie błogosławione Jego Imię, a królestwo Jego niechaj trwa na wieki... – odpowiedziała bogobojna wdowa Fejnkeł.

Następnego dnia rozniosła się po Warszawie wieść, że Fejnkeł i jej wybraniec zniknęli w noc poślubną. Z początku myślano, że para uciekła do Gdańska, ale dlaczego i przed kim mieliby uciekać, nikt nie wiedział. Jakiś czas potem nadszedł list z Wiednia z wiadomością, że Fejnkeł umarła trzy miesiące wcześniej i pochowano ją na miejscowym cmentarzu. Dopiero wtedy ludzie pojęli, że Fejnkeł, która wróciła, była niczym więcej, jak tylko duchem, a cała ta seria wypadków – złudzeniem. Przypomnieli sobie także, że rok temu umarł w Warszawie biedak Icze Godł. Dwukrotnie przychodził straszyć swoją żonę, która powtórnie wyszła za męża. Sprawdzono, czy w każdym z sąsiednich domostw wiszą mezuzy. Dziesięciu Żydów podążyło do grobu Icze Godła błagać go o wybaczenie i prosić, by odtąd spoczywał w pokoju na wieki i już nigdy więcej nie dręczył żywych. Aby udobruchać umarłego, gmina wzniosła na jego grobie pomnik. I tak Icze Godł, który odszedł ze świata nie oplakany, stał się sławny po śmierci. A gdy szczęśliwy los obdarował synem jego pierwszą żonę, Trynę Rycę, nadała mu imię po swym zmarłym mężu: Icze Godł.

I tyle o dwóch trupach, które posłałem w tany. Ale nie oni jedni, Icze Godł i Fejnkeł. Często tak się zabawiam. Świat pełen jest umarłaków w sobolowych czapach i futrach, którzy rozbijają się pośród żywych. Może to twój sąsiad, może żona, a może ty sam... Rozepnij koszulę. Może pod ubraniem twoje ciało jest spowite w całun.

PAPUGA

Księżyc rozświetlał noc, ale w celi więziennej panował prawie całkowity mrok. Jednak mimo że jedyne okno było zakratowane i osłonięte, przezierało przez nie dość światła, by rozróżnić rysy twarzy. Świeży śnieg, który właśnie spadł, odbijał się fioletowym refleksem o skrawek nieba, widoczny przez okno jak przez sito. Około północy zrobiło się prawie tak zimno jak na zewnątrz i więźniowie poprzykrywali się wszystkim, co mieli: bawełnianymi podkoszulkami, marynarkami, paltami. Spali w czapkach, a do butów powtykali szmaty. Latem z wiadra na odchody śmierdziało niemiłosiernie, ale teraz hulał tu zimowy wiatr i wywiewał wszystkie smrody. Zmrok zapadł o pół do czwartej po południu, a około szóstej strażnik Stach zapalił lampę naftową. Więźniowie porozmawiali ze sobą trochę, dopóki nie zmorzył ich sen. Chrapali potem smacznie, aż około pierwszej zaczęli się budzić.

Najpierw obudził się złodziej Lejbełe, żonaty człowiek, ojciec córkom. Ziewnął szeroko. Motełe Rojskes wstał, bo mu się odbiło; potem Berełe Zakełkower usiadł i poszedł się wysikać. Ci trzej tkwili tu od miesięcy i opowiedzieli sobie już wszystko. Ale tego ranka był wśród nich nowy więzień, kawał chłopca, wyprostowany, z zadartym nosem i wąsami koloru piwa. Ubrany był w nową marynarkę, wysokie buty z wąskimi cholewkami i czapkę obszytą futrem. Przyniósł ze sobą zwinięty koc i zapasową parę butów przewieszonych na ramieniu. Wyglądał na wielkiego zawadiakę, który ma plecy w policji. Z początku myśleli, że to goj. Mówili nawet o nim w złodziejskim żargonie. Jednak okazał się Żydem, cichym człowiekiem, odludkiem. Gdy go o coś spytali, ledwie raczył odpowiedzieć. Wyciągnął się na ławie i leżał tak godzinami bez sło-

wa. Stach przyniósł mu miszkę kaszy i kawałek czarnego chleba, ale nie kwapił się do jedzenia.

- Twoje słowo jest jak złota moneta, co? – zagadnął go Lejbele.
- Jak dwie – odpowiedział nowy.
- Dobra, dobra, jeszcze zmięknie, zarozumialec – orzekł Motele Rojskes.

Gdyby ten nowy był słabeuszem, inni wiedzieliby, co z nim zrobić. Ale jego ramiona i ręce wyglądały na zaprawione w bojach. Taki człowiek mógł mieć przy sobie nóż. Dopóki było widno, Lejbele, Motele Rojskes i Berele Zakełkower grali talią znaczących kart w sześćdziesiąt sześć. Potem z ciężkimi sercami poszli spać. Nie jest dobrze, gdy ktoś w więzieniu ma o sobie zbyt wysokie mniemanie, ale wcześniej czy później musi się złamać.

Ucichli teraz wszyscy trzej i nasłuchiwali, co z obcym. Jako że nie chrapał, trudno było stwierdzić, czy śpi, czy już się obudził. Kilka słów, które wypowiedział, artykułował z twardym „r”, co oznaczało, że nie pochodzi z okolic Lublina. Musiał przybyć z Wielkopolski, zza Wisły. Cóż więc robił w więzieniu w Janowie? Rzadko wysyłali kogoś tak daleko. Motele Rojskes odezwał się pierwszy.

- Która może być godzina? – zapytał.
- Nie było odpowiedzi.
- Co się stało z kogutem? – kontynuował. – Przestał pisać.
- Pewnie jest za zimno, żeby pisał – odpowiedział Berele Zakełkower.

- Za zimno? One rozgrzewają się od piania. Był kiedyś w naszym mieście nauczyciel, reb Iczele. Mówił, że gdy kogut pieje, ma płomień pod skrzydłami. I dlatego nimi macha – żeby się ochłodzić.

- Co za bzdura – zagrział Lejbele.
- Tak pewnie jest napisane w świętej księdze.
- W świętej księdze też mogą pleść głupstwa.
- To pewnie z Gemary.
- Jak Gemara może mówić o tym, co się dzieje pod skrzydłami koguta? Uczeni siedzą sobie w domu nauki i zmyślają różności.

- Wiedzą różne rzeczy. Przybył do nas kaznodzieja i powiedział, że wszyscy filozofowie zastanawiali się, jak długo trwa cięża węża, ale nikt tego nie wie. Zapytali więc tanna, a on odpowiedział: siedem lat.

- Tak długo?

Umilkli; urwała się rozmowa. Berele Zakełkower począł drapać

się w stopę. Cierpiał na egzemę. Drapał się i jednocześnie syczał cichutko.

– Cięża węża nie trwa siedem lat, pewnie nawet krócej niż siedem miesięcy – odezwał się nagle obcy niskim głosem.

Wszyscy zaczęli nasłuchiwać w napięciu. Uradowali się.

– Skąd wiesz, jak długo wąż jest w ciąży? – zapytał Lejbełe. – Hodowałeś węże?

– Żadne stworzenie nie chodzi w ciąży siedem lat. A wąż – jak długo żyje?

– Są różne rodzaje węży.

– Skąd to może być w Gemarze? Żeby to wiedzieć, trzeba trzymać dwa węże w domu, ją i jego, i pozwolić im ze sobą obcować.

– Może Bóg mu powiedział.

– Tak.

Znów ucichli. Obcy siedział teraz. Ledwie można było dostrzec kontur jego sylwetki, ale oczy odbijały złoto księżycy.

– Bóg nic nie mówi. Bóg milczy – powiedział po krótkiej chwili.

– Przemówił do Mojżesza.

– Nie było mnie tam.

– Niedowiarek, co?

– Skąd możecie wiedzieć, co Bóg powiedział do Mojżesza? – sprzeczał się obcy. – Napisane jest o tym w Pięcioksięgu, ale kto go pisał? Przy pomocy pióra można napisać wszystko. Pochodzę z Kalisza, gdzie jest dwóch rabinów. Gdy jeden mówi o czymś, że koszerne, drugi na to: niekoszerne. Przed Pesach młynarz poprosił jednego z nich, żeby stwierdził koszerność mąki. Wtedy ten drugi zezłościł się, bo nie dostał dziesięciu rubli, i orzekł, że mąka nie jest koszerne. Czy to ma coś wspólnego z Bogiem?

Motele Rojskes miał zamiar odpowiedzieć, lecz Lejbełe mu przerwał.

– Skoro jesteś z Kalisza, co tutaj robisz?

– To inna historia.

– Co masz na myśli?

Obcy nie odpowiedział. Zapanowała ciężka, pełna napięcia cisza.

– Macie papierosa? – zapytał obcy.

– Wszyscyśmy się splukali.

– Mogę wytrzymać bez jedzenia, ale muszę mieć co palić. Nie można by wziąć od strażnika?

– Nie mamy pieniędzy.

– Ja mam trochę.

– Za pieniądze możesz kupić wszystko. Nawet w mamrze – odpowiedział Lejbełe. – Ale nie teraz. Poczekaj do rana.

– Zimowe noce są straszne – zaczął Berełe Zakełkower. – Idziesz spać z kurami, a koło dwunastej już się wyspałeś. Leżysz w ciemności i różne myśli przychodzą ci do głowy. Musisz rozmawiać albo zwariujesz.

– O czym tu rozmawiać? – zapytał obcy. – Jak to mówią: sam o siebie nie zadbasz, to i Bóg ci nie pomoże. Nie jestem niedowiar-kiem, ale Bóg sobie siedzi w siódmym niebie i kpi ze wszystkiego.

– Dlaczego cię zamknęli? – spytał Lejbełe.

– Za śpiewanie psalmów.

– No nie, pytam poważnie.

Obcy milczał.

– Wielki skok, co?

– Nie było żadnego skoku. Nie jestem złodziejem i nie lubię, gdy mnie okradają. Jeśli ktoś próbuje to zrobić, rozgniatam go na miazgę. Właśnie dlatego tu jestem.

– W jakiej jesziwie trzymali cię przedtem?

– Najpierw w Kielcach, potem w Lublinie.

– Sprzątnąłeś kogoś?

– Tak. Strzeliłeś w dziesiątkę.

2

Obcy znów rozciągnął się na ławie. Berełe Zakełkower wciąż drapał się w stopę.

– Masz zamiar tu zostać? – zapytał Motełe Rojskes.

– Wyślą mnie pewnie na Syberię.

Lejbełe podszedł do okna.

– Zawieja – powiedział.

– Grzech wypuścić psa na taką pogodę – dodał Motełe Rojskes.

– Chciałbym być psem – zażartował Berełe.

Obcy znów usiadł. Oparł się plecami o ścianę i podciągnął kolana pod brodę. Załamane promienie księżyca połyskiwały na błyszczących cholewkach jego butów.

– Gdyby nawet cię wypuścili i tak za pół roku siedziałbyś tu z powrotem.

– Dobre i pół roku.

– To już mój ostatni raz – rzekł Lejbełe, nie tylko do obcego, ale

też do samego siebie. – Dość się najadłem nie dopieczonego chleba. Mam żonę i dzieci.

– To znana śpiewka. Wszyscy tak mówią – zauważył obcy. – Skąd jesteście, wy trzej? Z Piaska?

– A ty, jesteś złodziejem?

– Nie jestem złodziejem i do tej pory nie byłem mordercą. Przywykłem bronić swego, ale od wielu lat nie tknąłem nikogo, nawet muchy.

– Więc co się nagle stało? – zapytał Lejbeł.

– Tak było pisane – odrzekł obcy po chwili wahania.

– Kogo wykończyłeś? Jakiegoś kupca?

– Kobieta.

– Własną żonę?

– Nie. Nie była moją żoną.

– Złapałeś ją na gorącym uczynku?

Obcy nie odpowiedział. Zdrzemnął się chyba, siedząc na swojej pryczy.

– To się stało przez ptaka – powiedział nieoczekiwanie.

– Przez ptaka? Nie żartuj.

– To prawda.

– Jakiego ptaka?

– Papugę.

– Opowiedz nam o tym. Jeśli będziesz dusił to w sobie, oszalejesz.

– To nie byłoby takie najgorsze, lecz nikt sobie nie wybiera, kiedy ma oszaleć. Zajmuję się sprzedażą koni, a właściwie zajmowałem. Znany byłem w Kaliszu jako Szymon, handlarz końmi. Mój ojciec również prowadził ten koński interes i dziadek też. Gdy koniokradzy w Kaliszu próbowali dobić ze mną targu, posyłałem ich do diabła. Nie potrzebowałem niczego, co kradzione. Czasami kupowałem na wpół zdechłą szkapę, która odżywała pod moją opieką. Kocham zwierzęta, wszystkie. Handel końmi to u nas tradycja rodzinna. Moja żona zmarła w dwa lata po ślubie i przez trzynaście lat byłem sam. Kochałem ją i nie mogłem o niej zapomnieć. Nie mieliśmy dzieci. Ale był dom, stajnie; przyjąłem więc służącą, gojkę, starszą kobietę, nie jakąś szikse. I nie po to, co sobie myślicie. Mówili, że żyję przykładowie. Swatki proponowały mi różne kobiety, ale żadna mi się nie podobała. Jestem z tych, którzy muszą kochać, a jeśli nie pokocham kobiety, nie mogę z nią żyć. To proste.

– Aha...

– Lubię zwierzęta. Dla mnie koń nie jest po prostu koniem. Gdy sprzedaję któregoś, chcę wiedzieć komu. Był w naszym mieście woźnica, który chłostał konie batem i z nim nie handlowałem. Od szesnastu lat handluję końmi i nigdy nie podniosłem na nie ręki. Wszystko możesz ze stworzenia wydobyć, jeśli je dobrze traktujesz. Tak samo jest z koniem, psem czy kotem. Zwierzęta rozumieją, co się do nich mówi; odgadują nawet twoje myśli. Widzą w ciemności i pamięć mają lepszą niż człowiek. Wiele razy zgubiłem drogę, a moje konie prowadziły mnie prosto na miejsce. Śnieg mógł być i po kolana, a one wiozły mnie do chłopskiej chaty, zatrzymując się dopiero przed nią. Niekiedy mój koń potrafił nawet odwrócić łeb, jakby chciał powiedzieć: „To tutaj, szefie”.

Gdy jesteś samotny, masz czas obserwować wszystkie te stworzenia. Oprócz koni miałem psy, koty, króliki, krowę i kozę. Mieszkałem na przedmieściach, bo w mieście nie można mieć wielkiej stajni ani wypuścić koni na pastwisko. Owies i siano dobre są w zimie, ale latem koń potrzebuje świeżej zielonej trawy z kwiatami i całej tej reszty. Chłopi pętają swoje konie i zostawiają na całą noc na pastwisku, a spętane zwierzę to jak spętany człowiek. Czy dobrze być w więzieniu? Chłopi wyśmiewali mnie, że ogrodziłem swoje pastwisko. Nie opłaca się budować ogrodzenia wokół sześciu akrów ziemi – mówili, ale nie chciałem pętać swoich koni, a nie chciałem też, żeby błąkały się po obcych polach i obrywały razy. Tak właśnie żyłem, zanim zostałem mordercą.

– A co z ptakiem?

– Poczekajcie. Do tego zmierzam. Hodowałem drób, miałem też inne ptaki. Z początku nie w domu, lecz pod dachem i w spichrzu. Bociany wracały zwykle po Pesach z ciepłych krajów i budowały na moim dachu gniazda. Nie musiały nawet robić nowych, po prostu naprawiały zeszłoroczne po deszczach i śniegu. Szpaki zadomowiły się pod strzechą. Ludzie sądzą, że wrony przynoszą nieszczęście, ale przecież wrony to inteligentne stworzenia. Miałem też klatki z gołębiami. Niektórzy jedzą młode gołąbki, lecz ja tego nigdy nie próbowałem. Ile może być mięsa na takim pisklaku?

– Wygląda na to, że z ciebie prawdziwy święty.

– Nie jestem świętym, ale mieszkając na przedmieściu, widzisz różne rzeczy. Przyfrunie ptak ze złamanym skrzydłem, przybłąka się utykający pies. Nie jestem ckliwy, lecz gdy widzisz skaczącego po ziemi ptaka, który za nic nie może wznieść się w powietrze, masz ochotę mu pomóc. Wziąłem kiedyś jednego do domu i trzy-

małem, dopóki się skrzydło nie wyleczyło. Obandażowałem je jak lekarz. Oczywiście Żydzi śmiali się ze mnie, ale co Żydzi wiedzą o zwierzętach. Niektórzy goje rozumieli mnie. Latem moje okna otwarte były na oścież. Ptak mógł zostać u mnie, jak długo zechciał, i przez cały czas dostawać ziarno. Odleciał, gdy znów poczuł się zdrowy. Pewnego razu wrócił do mnie. Nie sam, lecz z żoną. Siedziałem na taborecie, naprawiając siodło, gdy nagle przyfrunęły dwa ptaki. Rozpoznałem samca od razu, bo miał bliznę na nóżce. Przycupnęły na półce i śpiewały mi na dzień dobry. To było jak we śnie.

Swatki wciąż przychodziły i proponowały mi rozmaite partie, ale gdy obejrzałem towar, nigdy nie byłem zadowolony. Jedna brzydka, druga gruba, trzecia znów za dużo mówiła – nie mógłbym wytrzymać z gadułą. Zwierzęta milczą: dlatego je kocham.

– Papugi mówią.

– Tak.

– No i co dalej?

– Nic. Mijały lata. Któregoś dnia nadeszła rocznica śmierci mojej żony, potem druga, potem ósma. Inni handlarze końmi wzbogacili się, a ja ledwie wiązałem koniec z końcem. Nie oszukiwałem klientów. Ustalałem zysk, który chciałem osiągnąć, i to wszystko. Przywykłem do samotności.

– Co robisz, gdy potrzebowałeś kobiety?

– A co wy robicie?

– W więzieniu nie masz wyboru.

– Jeśli nikogo nie kochasz, jesteś jak w więzieniu. Były dziwki w Kaliszu, lecz gdy na nie patrzyłem, robiło mi się niedobrze. Możesz mieć wiejską dziewczuchę albo nawet kobietę, ale wszystkie są zawszone. Moja żona była czysta. Czesła włosy każdego wieczora. Latem kąpaliśmy się w stawie. Umarła od guza na piersi. Wycięli go, ale znów odrósł. Takich cierpień nie życzę najgorszemu wrogowi.

– Piękna była?

– Jak księżniczka.

3

– Dobrze, a co z papugą?

– Zaczekajcie. Na czym skończyłem? Nie jestem babunią i nie opowiadam bajeczek dla grzecznych dzieci. Niekiedy przychodzili do mnie Cyganie z końmi do sprzedania, ale nigdy od nich nie ku-

powiałem. Po pierwsze, to złodzieje. Po drugie, ich konie rzadko kiedy są zdrowe, jeśli nie jesteś ekspertem, możesz odkryć wadę dopiero później. Ale ja dostrzegam wszystko w pierwszej chwili. Cyganie wiedzieli, że nie można mi niczego wcisnąć.

Siedziałem kiedyś, jedząc śniadanie: proso z mlekiem. Zawsze jem to samo na śniadanie. Lubię mieć w domu worek pełen prosa, dla siebie i ptactwa. Gdy tak siedziałem, ujrzałem cygankę, grubą czarnulkę z wielkimi kolczykami i mnóstwem koralików na szyi. Przyszła i powiedziała:

– Pokaż mi swoją rękę, panie.

Nigdy nie chodziłem do wróżki; nie wierzę w to. Poza tym, po co wiedzieć wszystko na zapas? Co ma się stać, to się stanie. A jednak, nie wiem dlaczego, podałem jej rękę, a ona obejrzała moją prawą dłoń i aż krzyknęła z przerażenia. Potem poprosiła o lewą.

– Do czego ci potrzebna moja lewa ręka? – zapytałem.

– Prawa pokazuje twój los, a lewa los twojej żony – odpowiedziała ona.

– Ale ja nie mam żony – rzekłem. – Moja żona umarła.

– Będzie następna – oznajmiła Cyganka.

– Kiedy się pojawi? – zapytałem.

– Przyfrunie do ciebie przez okno, jak ptak.

– Będzie miała skrzydła? – zgadywałem.

Uśmiechnęła się, pokazując białe zęby. Dałem jej kilka groszy oraz kromkę chleba i poszła. Nie przywiązywałem wagi do tego, co mi powiedziała. Kto by się przejmował paplaniem Cyganki? Ale w jakiś sposób jej słowa utkwiły mi w pamięci i często je wspominałem. Czasem wbijesz sobie do głowy jakąś myśl i nie możesz się jej pozbyć.

Posłuchajcie teraz, co się stało. Wezwali mnie właśnie na wieś, żebym kupił konie, i przenocowałem tam. Następnego dnia wracałem do domu z czterema końmi, jadąc wierzchem na mojej własnej klaczy i prowadząc trzy inne, które kupiłem od chłopca. Wszedłem do domu i ujrzałem papugę. Nie wierzyłem własnym oczom. Miejscowe ptaki przyfrunęły i odlatywały, ale skąd wzięła się papuga? Nie ma papug w tym kraju. Siedziała na szafie i patrzyła, jakby właśnie na mnie czekała. Była zielona niczym niedojrzała cytryna, na skrzydłach miała ciemne plamki i szyję koloru żółtego. Nie była to wielka papuga; mówiąc prawdę, wyglądała na młodego ptaka. Dałem jej trochę prosa, a ona zjadła. Napiła się też wody ze spodka, który jej podsunąłem. Gdy podałem jej palec, wzięła go w dziób,

jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Zapomniałem o wszystkich swoich sprawach. Pokochałem ją od razu jak własne dziecko. Z początku chciałem zamknąć okno, mogła przecież odfrunąć równie łatwo, jak się pojawiła. Ale było lato, a poza tym, pomyślałem, jeśli jest jej pisane zostać, zostanie.

Nie odfrunęła. Kupiłem dla niej klatkę, wstawiłem spodek z prosem, naczynko z wodą, trochę jarzyn, maleńkie lusterko i co tam jeszcze ptakowi potrzebne. Nazwałem ją Mezoze, pasowało do niej to imię. Z początku nic nie mówiła; ćwierkała tylko i krakała. Potem nagle zaczęła gadać w obcym języku. Musiał to być cygański, bo nie polski ani rosyjski, ani też nie jidysz. Najpewniej uciekała od Cyganów.

Odkąd przybyła, wiedziałem, że sprawdzi się to, co przepowiedziała Cyganka. Czułem po prostu, że tak się stanie. Lato minęło i nadchodziła zima. Pozamykałem okna, żeby utrzymać w domu ciepło. Mezoze zaczęła mówić w jidysz i nazywać mnie Szymonem, a gdy goje mówili po polsku, też ich naśladowała. Gdy tylko wchodziłem do pokoju, zaraz siadała mi na ramieniu. Chodziliśmy tak razem do stajni. Wkładała mi dziób do ucha i bawiła się, opowiadając sekrety w swym ptasim języku. Nie od razu wiedziałem, czy to on, czy ona, ale trafił mi się magik, który stwierdził, że to samiec. Zacząłem szukać mu żony, wiedząc jednocześnie, że znaję też narzeczoną dla siebie.

– Dziwna historia – wtrącił Motele Rojskes.

– Poczekajcie. Miałem kiedyś jechać do posiadłości, by dostarczyć konie. Ale odkąd tak bardzo pokochałem mojego Mezoze, ciężko mi było go zostawiać. Powiedziałem służącej – Tekla jej było na imię – że ma pilnować papugi jak oka w głowie. Właściwie nie musiałem nic mówić – sama też przywiązała się do ptaka, tak samo jak i mój stajenny. Słowem, nie zostawał wśród obcych. Sprzedałem konie po dobrej cenie i wszystko szło gładko jak po maśle. Chciałem wracać do domu, ale trafił się nowy interes. Ptak przyniósł mi szczęście. Musiałem spędzić noc w gospodzie, a kiedy tam wszedłem, ujrzałem kobietę: drobną, ciemną, o czarnych oczach i małym nosie. Patrzyła na mnie i uśmiechała się przyjaźnie, jakbyśmy znali się od dawna. Na dworze szalała zamieć, gorsza niż dzisiaj, a my byliśmy jedynymi gośćmi. Właścielka nastawiła dla nas samowar, ale zapytałem, czy nie ma trochę wódki. Nie jestem pijakiem, lecz robiąc interesy, musisz czasami się napić. Kiedy omówi się już szczegóły, kupujący ze sprzedającym ściskają

sobie dłonie i wychylają na zdrowie. Gospodyni przyniosła butelkę i miseczkę precli.

– Łaskawa pani spróbuje troszeczkę? – zwróciłem się do kobiety.

– Czemu nie? Wciąż jeszcze umiem cieszyć się życiem – odpowiedziała.

Nalałem jej pełną szklaneczkę, a ona przechyliła, jakby nigdy nic. Nawet nie zagryzła precliem. Widziałem, z jaką łatwością przełknęła. Gdy właścicielka wyszła zobaczyć się z chłopem w sprawie krowy, zostaliśmy sami. Ja podnosiłem szklaneczkę, ona podnosiła szklaneczkę. Nie upijam się prędko – mogę w siebie wlać wielką butelkę i wciąż jestem trzeźwy. Obawiałem się, że ona się upije, ale siedziała naprzeciw uśmiechnięta i byliśmy coraz bardziej radośni i coraz bardziej sobie bliscy. Rozmawialiśmy jak serdeczni przyjaciele. Powiedziała, że ma na imię Ester i pochodzi z Wołynia.

– Co robi młoda kobieta sama w gospodzie? – zapytałem ją.

– Czekam na szmuglera.

– Po co ci szmugler? – chciałem wiedzieć. Ona zaś wyjaśniła, że wybiera się do Ameryki.

– Co ci się tutaj nie podoba?

Opowiedziała, jak to miała romans i mężczyzna ją zostawił. Dowiedziała się, że był żonaty. Był podróżnym kupcem, jednym z tych, co to biegają za spódniczkami, myśląc, że kolejne podboje są powodem do dumy.

– No cóż – skwitowała. – Grałam i przegrałam. Straciłam twarz i już nigdy nie mogę pokazać się w domu.

Wyszło też na jaw, że miała męża, z którym wzięła rozwód. Było to poniżej godności jej ojca, pobożnego człowieka. Słowem, musi wyjechać. Jakiś szmugler miał ją przeprowadzić przez niemiecką granicę.

– Co będziesz robić w dalekiej Ameryce? – spytałem.

– Będę szyła bluzki. Jeśli zrobisz coś głupiego, musisz za to zapłacić – odpowiedziała.

Nalałem jej czwartą szklaneczkę, piątą.

– Czemu nie spotkałam cię wcześniej? – zapytała. – Taki człowiek jak ty byłby dla mnie dobrym mężem.

– Nigdy nie jest za późno – rzekłem. Po co miałbym zwlekać?

Zanim właścicielka wróciła od chłopca, wszystko było już między nami ustalone. Przyciągała mnie jak magnes i ona czuła to samo. Trzymaliśmy się za ręce, całowaliśmy, a jej pocałunki przy-

prawiąły o zawrót głowy. To nie była kobieta, to żywy ogień. Nie chciałem, żeby gospodyni zorientowała się, o co chodzi, więc poszedłem spać do swojego pokoju. Jednak leżałem tam jak w gorączce. Ona spała w pokoju obok i przez cienką ścianę słyszałem, jak rzuca się na łóżku. Zasnąłem o świcie, a raniem musiałem odjeżdżać. Zdecydowaliśmy już, że Ester jedzie ze mną. Odechciało jej się Ameryki. Nie potrzebowała już szmuglera.

Wyszedłem z pokoju i zobaczyłem, że moja kobieta jest spakowana i gotowa do drogi. Uśmiechała się do mnie, a jej oczy błyszczały. Gdy gospodyni usłyszała, że jedziemy razem, zrozumiała, co się stało, ale co mi tam. Moje serce należało do Ester. Zabrałem ją do sań i usiadła przy mnie na miejscu woźnicy. Obawiała się spaść, więc przyłgnęła do mnie, podniecając wciąż na nowo. Jadąc tak, postanowiliśmy się pobrać. Nie potrzebowaliśmy wielkiego zachodu. Ja wdowiec, ona rozwódka. Pójdziemy do Getsela, asystenta rabiego, i on poprowadzi nas pod chupę. Powiedziałem jej o ptaku.

– Będę mu matką – zapewniła.

Mówiliśmy o nim, jakby to miało być nasze dziecko.

– I rzeczywiście ją poślubiłeś? – zapytał Lejbele.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo ona była rozwódką, a ja kohenem. Zapomniałem o prawie.

– Kto ci przypomniał? Asystent rabina?

– Któż by inny?

– Co za historia!

4

Gdy rabi Getsel powiedział mi, że nie możemy się pobrać, chciałem rozedrzeć go na strzępy. Ale czy to jego wina? Nigdy nie chodziłem się modlić; tylko w Rosz ha-Szana i Jom Kipur. Nagle okazuje się, że jestem kohenem, potomkiem kapłańskiego rodu. Zabrałem Ester do domu.

– Udawajmy, że ja jestem katolickim księdzem, a ty moją gospodynią – zaproponowałem.

Mieszkałem z dala od miasta i nikt nie zaglądałby nam przez dziurkę od klucza. Z początku nie była zachwycona. Co napisze rodzinie? Ale byliśmy tak zakochani, że ledwie mogliśmy doczekać nocy. Mezoze od razu się z nią zaprzyjaźnił. Gdy tylko weszła,

przysiadł na jej ramieniu, a ona pocałowała go w dziób. Ptak odwzajemnił pocałunek.

– To nasz swat – stwierdziłem i opowiedziałem jej historię z Cyganką i całą resztę.

Z początku dobrze nam się wiodło. Żyliśmy jak dwa gołąbki. Gadali o nas w mieście, ale nie dbaliśmy o to. I co z tego, że Szymon, handlarz końmi, nie jest święty? Najwyżej nikt mnie nie wezwie do czytania zwojów. Tylko że Ester chciała dziecka. Nie byłem tym zachwycony. Chodzi o to, że dziecko byłoby bękartem. Jakiś student z domu nauki tłumaczył mi, że takie dziecko niezupełnie jest bękartem, lecz zwie się jakoś inaczej. Mimo wszystko, to nie byłoby dobre. Ester zawiadomiła rodziców o zamążpójściu, a oni zamierzali nas odwiedzić. No i zaczęły się problemy. Mnie było dobrze samemu z nią. Wystarczali mi Ester i Mezoze. Ale ona chciała wciąż do miasta. Pytała mnie, czy mam przyjaciół. Chciała zaprosić gości do domu i pochwalić się, jak gotuje i piecze. Przyrzęczała wyśmienite jedzenie. Potrafiła piec ciasto, jakiego nie kupisz w najlepszych cukierniach. Zawsze chodziła ładnie ubrana, ale dla kogo? Wychodząc wkładała gorset. Próbowwała mnie namówić na wyjazd z nią do Ameryki. Może bym jej i posłuchał, ale nie chciało mi się podróżować tysiące kilometrów. Miałem dom, stajnię, ziemię. Jeśli wszystko sprzedasz, nie masz już do czego wracać. Poza tym, po co miałbym jechać? Żeby tłoczyć się w tej Ameryce. W dodatku byłem tak przywiązany do ptaka, że nie mógłbym go zostawić. A ciągnąć papugę przez granice i oceany też nie jest rzeczą najłatwiejszą. Żal mi było również mojej kłaczy. Gdzie bym ją zostawił? Nie była już młoda i gdyby dostała się w ręce jakiegoś woźnicy, zachłostałby ją na śmierć.

– Kochamy się, żyjemy więc w spokoju. Kto by zważał na ludzkie gadanie? – powiedziałem do Ester, ale ona wciąż tylko ciągnęła do ludzi.

Pojechała do miasta, pozawierała znajomości, wplątała się w jakieś podejrzane towarzystwo i diabeł wie co jeszcze. Dałem się namówić na przyjęcie, na które zaprosiliśmy kilku handlarzy końmi. Jednak w czasach, gdy byłem wdowcem, stroniłem od wszystkich i teraz nikt nie chciał przyjechać do mnie na odludzie. Ci, którzy się stawili, zrobili nam wielką grzeczność. Po ich wyjściu Ester wybuchnęła płaczem i roniła łzy aż do świtu.

Co tu kryć: zaczęliśmy się kłócić. To znaczy, ona się kłóciła. Wyrzekała, klęła, płakała i wrzeszczała, że złapałem ją w pułapkę.

Dlaczego jej nie powiedziałem, że jestem kohenem? Nie pamiętałem, że jestem kohenem, tak samo jak się nie pamięta, co jadło się w brzuchu matki. Leżała obok mnie w nocy i gadała jak opętana przez dybuka. A to się śmiała, a to płakała. Grała coś, ale przed kim? Mówiła do siebie i robiła tak dziwne rzeczy, że nie uwierzyłbyś, że to ta sama Ester. Obrzucała mnie wyzwiskami, których nikt nie słyszał w moich stronach. Nagle zaczęła też okazywać wrogość ptakowi. Za głośno krzyczał, brudził w domu, nie dawał jej spać po nocach. Była zazdrosna, narzekała, że kocham go bardziej niż ją.

Gdy to się zaczęło, wiedziałem, że źle się skończy. Co tu zawinił Mezoze? Dobry był jak anioł: cichutki w nocy, ale rankiem ptak nie leży pod kołdrą i nie chrapie. Ptak zaczyna śpiewać o świcie. Natomiast Ester chodziła spać o drugiej nad ranem, a o jedenastej w nocy potrafiła myć włosy albo piec ciasto. Widziałem, że jestem w opałach, ale cóż mogłem zrobić? W jednej chwili była przy zdrowych zmysłach, za moment już szalona. Była taka kawiarnia w Kaliszu, w której zbierały się wszystkie szumowiny. Zaczęła mnie tam ciągnąć. Siedziałem, pijąc herbatę, gdy ona zawierała przyjaźnie z różnymi ordynarnymi typami. Przysiadła się do jakiegoś nie znanego kogoś i wygadała wszystkie nasze sekrety. Musiałem być chyba z żelaza, by nie spalić się ze wstydu. Potrafiła być mądra, ale gdy chciała, zachowywała się jak ostatni głupiec. Wszystko to robiła z niechęci do mnie. Ale czym sobie na nią zasłużyłem? Inny mężczyzna chwyciłby ją za włosy i wyrzucił precz, ale ja przyzwyczajam się do ludzi. Poza tym, czułem litość.

Powiem wam szczerze, z dnia na dzień było coraz gorzej. Nigdy nie wiedziałem, co to Gehenna, ale teraz miałem ją w swoim własnym domu. Kłóciła się ze służącą, gojką, i wypędziła ją. Nigdy jej nie tknąłem, ale Ester podejrzewała najgorsze. Szukała tylko pretekstów do awantur. Rozpoczęła też walkę ze stajennym. Lata całe tych dwoje pracowało dla mnie z oddaniem. Teraz musieli uciekać, a w moim fachu potrzebna jest pomoc. Nie da rady zrobić wszystkiego samemu. Konie trzeba szczotkować i opiekować się nimi. Są takie chochliki, które wchodzą do stajni nocą. Nie śmieście się ze mnie. I ja w nie nie wierzyłem, dopóki nie zobaczyłem na własne oczy. Gdy kupowałem konia, wprowadzałem go do stajni. Przychodzi rano, a koń stoi zlany potem, jakby przez całą noc cwałował po górach i dolinach. Toczy pianę z pyska. Spoglądam na grzywę, a ona cała w warkoczach. Kto mógł przyjść w nocy i za-

pleść koniowi warkocze? Zdarzyło się tak nie raz, lecz dziesięć razy. Te chochliki mogą zamęczyć konia na śmierć. Musiałem schodzić w nocy i pilnować. A gdy stajenny odszedł, trzeba było wykonywać też i jego robotę. Krótko mówiąc, źle się działo. Gdy odezwałem się do niej, wrzeszczała; gdy milczałem, skarżyła się, że nie zwracam na nią uwagi. Wciąż tylko szukała zaczepki. Nie umiem pisać, więc próbowała mnie uczyć. Dała mi jedną lekcję i na tym koniec. Graliśmy w karty, ot tak, dla rozrywki, a ona oszukiwała. Dlaczego musiała oszukiwać? Przecież dawałem jej dość pieniędzy.

– Na taką sztukę jest tylko jedno lekarstwo – odezwał się Lejbele – przyłożyć zdrowo w dziób.

– To samo chciałem powiedzieć – wtrącił Motete Rojskes.

– Też o tym myślałem. Ale mam ciężką rękę i gdy kogoś dosięgnę, mogę przyprawić o kalectwo. Gdybym ją tknął, musiałbym potem płacić za doktora. Straszyla też, że na mnie doniesie. Ciekawe tylko, w jakiej sprawie? Nie fałszowałem pieniędzy. Daleko jej było do religijności, ale kiedy chciała, robiła się pobożna. Dozwolone było rozpalanie ognia w szabas, ale zakazane wylewanie pompy. Zmieniała zasady, jak jej pasowało. Kobiety w mieście wiedziały o moim nieszczęściu i śmiały mi się w twarz.

To się stało zimą, dwa lata temu. Nie wiem jak tutaj, ale w okolicy Kalisza złapały straszliwe mrozy. Starzy ludzie nie pamiętali takiego zimna, a ogrzewanie nic nie pomagało. Wiatr przewracał drzewa. W moim obejściu wicher oderwał kawał ogrodzenia. Zwykle w stajni jest ciepło, ale wtedy bałem się o konie, bo gdy koń się przeziębii, to koniec. Nie pamiętam już dziś, o co się pokłóciliśmy tamtego wieczora, ale czy wtedy bywało tak, żebyśmy się nie kłócili? Wiedliśmy jedną wielką wojnę. Był czas, kiedy zawieraliśmy nocą rozejm na kilka minut, ale później już nawet i to się nie zdarzało. Ona spała w łóżku, a ja na ławie. Gdy ja musiałem wstawać, ona się kładła. Mam lekki sen – łatwo mnie obudzić. Ester krzątała się, parzyła herbatę, przesuwała krzesła; zaczynała odmawiać Szemę i nagle wybuchała śmiechem jak szalona. Nie była szalona – robiła to, żeby mnie rozzłościć. Wiedziała, że kocham papugę, i miała jej to za złe. Papuga żyje w ciepłym klimacie i jeśli ją zawieje, ginie. A ona otwierała drzwi i wpuszczała zimno do środka. Mógł odlecieć, to przecież tylko zwierzę, a nie myślący człowiek.

– Jeśli coś się stanie z Mezoze, koniec z tobą – powiedziałem jej otwarcie.

– Idź i ożeń się z nim. Kohenowi wolno poślubić papugę – wrzasnęła.

Wiedziałem już, że to przeznaczenie. Człowiek ma wypisane na dłoni lub na czole: będzie żył tyle i tyle, dokona tego czy owego. Ale co ona miała do mnie? Nie broniłem jej jechać do Ameryki. Gotów byłem nawet pokryć koszty.

Na czym skończyłem? Ach tak, ostrzegłem ją. Ze mną możesz zrobić, co zechcesz, ale trzymaj się z daleka od Mezoze. Ona jednak krzyczała na niego i przezywała, jakby był mężczyzną; że podły, wszawy, z piekła rodem i tak dalej. Wiecie, ptak potrzebuje w nocy ciemności. Gdy pali się lampa, myśli, że to dzień. Ona trzymała wciąż zapalone świece i ptak nie mógł wytrzymać światła w nocy, więc wtykał głowę pod skrzydła. Czego trzeba ptakowi? Kilku ziaren i odrobiny snu. Jak to możliwe, żeby człowiek torturował ptaka? Którejś nocy usłyszałem hałas w stajni. Wziąłem latarnię i poszedłem doglądnąć koni. Gdy tylko przestąpiłem próg, poczułem, że wydarzy się nieszczęście.

Wszyscy ucichli na chwilę.

– Co zrobiła? – zapytał w końcu Lejbele. – Wypuściła papugę? Obcy począł chrząkać, by oczyścić gardło.

– Tak, w środku nocy, na trzaskający mróz.

– I nie znalazła się?

– Odfrunęła.

– I wykończyłeś ją, co?

Obcy zrobił przerwę.

– Gdy wróciłem ze stajni i zobaczyłem, że nie ma papugi, poszedłem do niej i powiedziałem: „Ester, nadszedł twój koniec”. Chwyciłem ją za włosy, wywlokłem na zewnątrz i wrzuciłem do studni.

– Nie broniła się?

– Nie, szła spokojnie.

– Trzeba jednak być mordercą, żeby zrobić coś takiego – zauważył Motele Rojskes.

– Jestem mordercą.

– I co dalej?

– Nic. Poszedłem na policję i powiedziałem: „Zrobiłem to i to. Weźcie mnie.”

– W środku nocy?

– Właśnie dniało.

– Pozwolili ci pójść na pogrzeb?

- Nie było żadnego pogrzebu.
- Mówią, że kohen to zły człowiek – wykrztusił Berele Zakelkower.
- Na to wygląda.
- Ile ci dali?
- Osiem lat.
- Nieźle się wywinąłeś.
- Nigdy stąd nie wyjdę – powiedział obcy.
- Przez długą chwilę wszyscy milczeli.
- Mezoze wciąż kręci się w pobliżu – odezwał się wreszcie obcy.
- Co to ma znaczyć?
- Pomyślicie, że zwariowałem, ale nic mnie to nie obchodzi.
- Co to znaczy, w pobliżu?
- Przychodzi do mnie, siada mi na ramieniu.
- Chyba śniesz!
- Nie, to prawda.
- Wydaje ci się.
- Mówi. Słyszę jego głos.
- Jesteś pomyłony.
- Śpi na moim czole.
- A więc postradałeś zmysły.
- Papuga ma duszę.
- Bzdura – odpowiedział Lejbele. – Jeśli papuga ma duszę, to i kura ma. Jeśliby wszystkie kury, gęsi i kaczki miały dusze, świat byłby pełen dusz.
- Wiem tylko, że Mezoze mnie odwiedza.
- To dlatego, że tak bardzo za nim tęsknisz.
- Przychodzi, całuje mnie w usta, łaskocze ogonkiem w ucho.
- Tutaj też przyjdzie?
- Może.
- A skąd będzie wiedział, że wysłali cię do Janowa?
- Wie wszystko.
- Bzdura. Idź z tym do lekarza. Odeślą cię do domu wariatów. Stamtąd łatwo uciec. A co z Ester? Czy ona też cię odwiedza?
- Nie. Ona nie.
- Fantazje. Umarli to umarli. Tak samo ludzie, jak i zwierzęta.
- Już ja wiem, jak to jest – powiedział obcy, wyciągając się znów na swojej pryczy.

BROSZKA

Kiedy Wolf Ber wracał z podróży, zawsze kupował prezenty dla Celiny i dziewczynek. Tym razem szczęście mu dopisało. Włamał się do sejfu i ukradł siedemset czterdzieści rubli. W dodatku, podróżując koleją, drugą klasą, spotkał bogatego Rosjanina i wygrał od niego w karty jeszcze sto pięćdziesiąt. Wolf Ber już dawno temu doszedł do wniosku, że wszystko zależy od przeznaczenia: czasami źle się wiedzie, a czasami na odwrót. Ta ostatnia wyprawa od razu dobrze się zaczęła. Ot tak, dla zabawy, spróbował obrobić kieszeń (kasiarz to co innego niż kieszonkowiec) i wyciągnął pugilares pełen banknotów. Potem poszedł do tureckiej łaźni, gdzie znalazł złoty zegarek! Za taki „interes” zawsze dziękował Bogu i wrzucał monetę do puszek dla ubogich. Wolf Ber nie należał do żadnej szajki i był uczciwym złodziejem. Wiedział, że kradzież jest grzechem. Ale czy kupcy są lepsi? Czyż nie kupują taniej, a sprzedają drożej? Czy nie wysysają krwi biedaków do cna? Nie robią plajty, wychodząc z tego z zyskiem? Wolf Ber był kiedyś garbaczem w Lublinie. Nie mógł jednak wytrzymać kurzu, gorąca i smrodu. Nadzorca darł się na pracowników, próbując ich zmuszać do coraz to większego wysiłku. Zarobki ledwie starczały na chleb i wodę. Już lepiej gnść w więzieniu.

Wolf Ber od dawna już zarabiał na życie jako złodziej. Przyłapano go kilka razy, ale wywijał się bez trudu. Wiedział, jak przemawiać do „naczalników”: Jaśnie panie... mam żonę i dzieci! Nigdy się nie odszczekiwał, nie próbował zgrywać chojraka. W pudle obce mu były potyczki z innymi więźniami, dzielił się z nimi pieniędzmi, papierosami i pisał im listy. Wolf Ber pochodził z zanego domu. Ojciec, pobożny człowiek, malował mieszkania. Matka

sprzedawała flaki i nogi cielęce. Tylko on spośród całej rodziny stał się złodziejem. Już prawie czterdziestoletni, Wolf Ber był mężczyzną średniego wzrostu, szerokim w ramionach, o brązowych oczach i wąsach koloru piwa, które podkręcał po polsku. Nosił bryczesy i buty z obcisłymi cholewami. Wyglądał w tym jak goj; Polacy sądzili, że Żyd nie mógłby wcisnąć się w takie buty, bo żydowska noga zawsze rośnie szersza niż dłuższa. Czapka Wolfa Bera miała skórzany daszek. Wokół kamizelki zwiślał łańcuch od zegarka z przyczepioną do niego małą tyżeczką do czyszczenia uszu. Inni złodzieje nosili pistolety lub sprężynowe noże, lecz Wolf Ber nigdy nie miał żadnej broni przy sobie. Pistolet wcześniej czy później wystrzeli, nóż wcześniej czy później ugodzi. Po co przelewać krew? Po co się narażać na surową karę? Wolf Ber był powściągliwym i ostrożnym człowiekiem; miał skłonność do rozmyślań i lubił czytać powieści, a nawet gazety. Kobiety zawsze próbowały go czarować. Lecz Wolf Ber uznawał jednego Boga i jedną żonę. Co mógłby znaleźć takiego u innych, czego brakło Celinie? Do rozwiązyłych kobiet czuł obrzydzenie. Jego noga nigdy nie przestąpiła progu domu rozpusty, a alkoholu nie znosił. Miał wierną żonę, dwoje dobrze wychowanych dzieci i dom z ogrodem w Kozłowie. Dziewczynki chodziły do szkoły. Na Purim Wolf Ber wysyłał rabinowi prezent, a przed Pesach starszyzna przybywała do niego z gminy ze zbiórką na biednych.

Tym razem, wracając do domu, Wolf Ber kupił u jubilera w Lublinie parę złotych kolczyków dla Celiny, a dla swych córek, Maszy i Anki, dwa medaliony. Aż do Rzeszowa, ostatniej stacji, podróżował pociągiem; potem wziął powóz. Siedział na koźle z woźnicą i pomagał mu powozić. Wolf Ber nie miał cierpliwości do takich żartów i dwuznaczności, jakie wymieniali z kobietami jadący w środku mężczyźni. Zawsze próbowali wciągnąć Wolfa w konwersację, lecz on wolał patrzeć w ciszy na drzewa i niebo, słuchać świergotu ptaków. Śnieg topniał na polach, tu i ówdzie wzrastała ozimina, nisko zawieszone słońce lśniło żółto i złociście, jak malowane na płótnie. Gdzieniedzie widział krowy skubiące na pastwiskach świeżą trawę. Od strony lasu wiał ciepły wiatr, jakby wśród zarośli schowana była jakaś letnia kraina. Spomiędzy drzew co i rusz spozierał zając lub sarna. Czasem żółt w przechadzał się powoli w poprzek drogi, niczym żywy kamień.

Wolf Ber miał zasadę wyruszać z domu cztery razy do roku. Jeśli wszystko szło gładko, nigdy nie był w podróży dłużej niż sześć

tygodni. Jeździł do tych samych miast, chodził na te same jarmarki. W Kozłowie wiedzieli, w jaki sposób Wolf Ber zarabia na życie – ale nigdy nie okradł nikogo z miejscowych, a pod jego nieobecność Celina zawsze mogła brać kredyt w sklepach. Wszystkie długi wprowadzano do książki i gdy Wolf wracał, spłacał je co do grosza. Któregoś razu trafił do więzienia w Janowie na kilka miesięcy, lecz kozłowscy kupcy nie pozwolili Celinie zginąć. Wydali jej towarów za setki rubli. Celina często skarżyła się mężowi, że sklepikarze oszukali ją na wadze, przykrótco coś odmierzili lub zawyżali rachunek, ale Wolf Ber nie zamierzał się kłócić. Twierdził, że taki jest świat.

Jak zawsze, Wolf Ber wracał do domu stęskniony za Celiną i dziewczynkami, oblizując się na myśl o daniach, które mu żona przygotowuje. W drodze nie mógł nawet marzyć o takim jedzeniu. Myślał też o miękkim łóżku, lepszym niż w jakimkolwiek zajeździe. Powłoczki i prześcieradła Celinie były idealnie czyste, gładkie jak jedwab i pachniały lawendą. Celina zawsze przychodziła do sypialni świeżo wymyta i uczesana, ze splecionymi w warkocz włosami, w kapciach z pomponikami, przyodziana w fantazyjną nocną koszulę. Całowała go jak narzeczona i szeptała do ucha słodkie sekrety. Dziewczynki rośły: jedna miała dziesięć, druga jedenaście lat. Ale wciąż jeszcze, po dziecięcemu, rzucały mu się na szyję, okrywały pocałunkami, pokazywały zeszyty, wypracowania, stopnie, swoje rysunki. Pociechy Wolfa ubrane były jak dzieci z wyższych sfer, w wykrochmalone plisowane sukienki i alpako-we fartuszki. We włosach nosiły wstążki, a na nogach błyszczące buciki. Mówiły nie tylko w jidysz, ale też po polsku i po rosyjsku. Rozmawiały o obcych krajach i miastach, o których Wolf nigdy nie słyszał; obeznane były z historią królów i wojen i potrafiły recytować z pamięci poematy i wiersze. Wolf Ber nigdy nie mógł się nadziwić, jak tyle wiedzy może zmieścić się w takich małych główkach. O zawodzie ich ojca nigdy nie wspomiano – myślały, że jest wędrownym sprzedawcą. Dom Wolfa stał przy ulicy Kościelnej, nie opodal płatnego mostu. Sąsiedzi goje nie wiedzieli, czym Ber się zajmuje, a może tylko udawali. Na Boże Narodzenie i Wielkanoc Wolf wysyłał im prezenty.

Dorożka Wolfa Bera zatrzymała się na rynku. Choć Purim dopiero co minął, słońce przygrzewało już ciepłem Pesach. Złote strumyki połyskiwały wśród błota. Ptaki wydziobywały ziarna z końskich odchodów. Wiejskie kobiety, boso brnąc przez kałuże, sprze-

dawały chrzan, pietruszkę, buraki i cebulę. Wolf Ber zapłacił woźnicy, wielkomięskim gestem dodając dwadzieścia groszy „na piwo”. Dźwigając skórzaną walizę z miedzianymi zamkami i kieszonkami po bokach, skierował się ku ulicy Kościelnej. Odprawiały go oczy sklepikarzy, a dziewczęta uchylały zasłonek, przecierając zaparowane szyby. Nie wiedzieć skąd pojawił się głupek Czekele i Wolf dał mu kilka monet. Nawet psy spod domu rzeźnika machały ogonami.

Dzięki Bogu! Wolf Ber zjechał do domu przed Pesach. Celina przygotowuje Seder, a on wysączy ze cztery kielichy, jedząc ciastka i kulki z macy, i faszerowaną rybę. Jako że przyniósł do domu okazałą sumę pieniędzy, ubierze całą rodzinę. Przy takim fachu lepiej od razu wydać pieniądze. Wolf Ber poczuł nagle znajomy zapach. Mijał piekarnię macy i zatrzymał się, by spojrzeć przez okno. Kobiety o zarumienionych twarzach, ubrane w białe fartuchy i chustki na głowach, rozwijały mace, zatrzymując się co chwila, by podzielić je na wałeczki kawałkami szkła. Jedna z kobiet polewała wodę, druga zagniała ciasto, a trzecia nakłuwiała mace zaostrzonym patyczkiem. Mężczyzna przy piecu wydobywał łopata te, które już się upiekły. Obok niego inny, z pejsami i w jarmułce, gestykulował i wykrzywił się – nadzorca. Wolfowi nagle przypomnieli się jego rodzice. Gdzie są teraz? Najpewniej w raju. To prawda, że ich syn nie wybrał najlepszej drogi, lecz wystawił pomnik na ich grobie. Każdego roku zapalał pamiątkową świeczkę, odmawiał Kadysz i najmował człowieka do studiowania Miszny za ich pamięć. Bóg jest litościwy dla grzeszników. Gdyby tak nie było, już dawno zesłałby drugi potop.

2

Kiedy Wolf Ber doszedł nareszcie do ulicy Kościelnej, ogarnął go nagły strach. Siła, która wie więcej niż człowiek, zdawała się napominać, by powściągnął radość. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu: To jeszcze nie Pesach; nie zasiadłeś jeszcze do Sederu. Przystanął. Czyżby Celina była chora? Czy coś się stało z dziećmi? A może przeznaczone mu było skończyć w więzieniu? Ale jakim sposobem? Nigdy nie zostawił żadnych śladów. Próbując odpędzić przecucie, ruszył energicznie pomiędzy dwoma rzędami domów, budowanych jak dla karzełków, zamkniętych solidnymi ogrodzeniami. Poprzez na wprost stopniały, podziurawiony jak sito śnieg,

sterczały łodygi zeszłorocznych słoneczników. Na dach Marczyńskich już powróciły bociany i naprawiały stare gniazdo. Wkrótce Wolf Ber dotarł do swego domu o dachu w kształcie grzyba. Z kominu snuł się biały dym. Jedna z szyb frontowego okna odbijała południowe słońce. A więc wszystko jest w porządku, uspokoił się Wolf. Otworzył drzwi i ujrzał całą rodzinę. Celina stała przy kuchennym piecu w krótkiej halce, z jasnymi włosami szeszanymi w węzeł na czubku głowy, dziewczęcą, jasną twarzą i wciętą talią. Miała na nogach parę czerwonych kapci, a jej krągłe łydki zgrabnie zwęzły się ku dołowi. Nigdy nie wydała mu się tak świeża i czarująca. Dziewczynki siedziały przy stole, grając w kości.

Cóż to był za rwetes, gdy wszystkie rzuciły się na niego. Celina omal nie zawadziła o stojący na piecu garnek. Dziewczynki zawiśły na nim, okrywając pocałunkami. W drugim pokoju ozwał się skrzek papugi, która najwidoczniej rozpoznała głos swojego pana. W chwili gdy Wolf Ber dotknął ust Celiny, poczuł, że przepętnia go pożądanie. Pocałował ją znów i jeszcze raz. Masza i Anka walczyły o niego. Po chwili otworzył walizkę, aby wyjąć prezenty, i wtedy zaczął się drugi rwetes. Gdy Wolf Ber poszedł przywitać papugę, ptak, który wisiał przyczepiony jedną nogą do wierzchołka klatki, zatrzepotał skrzydełkami i wylądował na jego ramieniu. Wolf pocałował go w dziób i podetknął precla, którego specjalnie kupił w Lublinie. Papuga zgubiła już zimowe piórka i porastała jaskrawymi kolorami.

- Tatko, tatko, tatko – mówiła papuga.
- Kochasz tatkę?
- Kochasz, kochasz, kochasz.

A więc nie było powodu do obaw. Wolf Ber zlustrował dom okiem znawcy. Wszystko lśniło: podłoga, miedziane patelnie nad piecem, mosiężny samowar. Istniał obyczaj bielienia ścian każdego roku przed Pesach, ale Wolf nie dostrzegł najmniejszej plamy.

- Na całym świecie nie ma lepszej żony – powiedział głośno.

Wcześniej, za dnia, siedząc w dorożce, czuł się zmęczony i ledwie widział na oczy, ale teraz był całkowicie przytomny i wesół. Celina przyniosła mu szabasowe ciasteczka i kieliszek wiśniówki.

– Jak tam interes? – zapytała Celina z błyskiem w oku, gdy zostali na chwilę sami w pokoju.

– Dopóki mam ciebie, wszystko będzie dobrze – odpowiedział Wolf Ber, wstydząc się swojej profesji.

Zazwyczaj Celina nie pytała nigdy o to, co robił, gdy go nie by-

ło, a on rzadko mówił cokolwiek. Ale tym razem wydawało się, że zaakceptowała sposób, w jaki mąż zarabia na życie. Zaraz też Wolf Ber zaczął mówić o nowych ubraniach dla żony i dzieci. Celina wątpiła, czy jakiś krawiec przyjmie nową robotę na tak krótko przed Pesach. Niemniej zdecydowali, że przejdzie się po sklepach kolonialnych i wybierze materiały. Celina uwielbiała zakupy. Wolf Ber wręczył jej plik banknotów i wyszła, zabierając ze sobą dzieci. Robiąc zakupy, zamierzała popłacić również rachunki. Wolf Ber położył się na sofie, by odespać podróż. Wiedział, że Celina przygotowuje wystawną kolację, i chciał być wypoczęty. Natychmiast zapadł w drzemkę i śniło mu się, że jest w Lublinie. Stał w alkwowie na wpół rozebrany i mył się nad korytem. Jego ciało wydzielało nieprzyjemny zapach. Znów był garbarzem. Otworzyły się drzwi i weszła kobieta w zmierzwionej peruce i z brudną twarzą.

– Jak długo zamierzasz się myć? Już czas na Seder – rozglądając się, przemówiła do niego złym głosem.

Wolf Ber wzdrygnął się i obudził. Cóż to znowu za sen? Miał gorzki smak w ustach. Sen wydał mu się niezwykle żywy. Wciąż jeszcze czuł w nozdrzach zapach nie wyprawionej skóry. Wolf Ber sięgnął do kieszeni na piersi, by wyjąć hawańskie cygaro, podarowane mu przez Rosjanina, od którego wygrał sto pięćdziesiąt rubli. Wolf Ber nigdy nie palił cygar; sam skręcał sobie papierosy. Ale ciekaw był smaku cygara, które kosztuje pół rubla. Przypomniał sobie, że miał kiedyś bursztynową cygarniczkę zdobioną złotem. Jeśli już palić hawanę, to z klasą.

Wolf Ber wstał w poszukiwaniu cygarniczki, ale nie mógł jej znaleźć. Nienawidził gubić rzeczy. Otworzył wszystkie szuflady, przewracał wszystkie kąty i zakamarki, przeszukał dębową skrzynię. W szafce na pościel leżało małe pudełko, w którym Wolf Ber trzymał metryki urodzenia, akt ślubu, dokumenty hipoteczne i inne cenne papiery, do których rzadko się zaglądało. Choć było nieprawdopodobne, aby znalazł cygarniczkę właśnie tutaj, Wolf otworzył pudełeczko. Cygarniczki nie było, lecz na akcie ślubu leżała broszka z wielkimi diamentami. Wolf Ber oniemiał. Co to takiego? Znał się na biżuterii. Miał przed sobą nie imitację, a prawdziwe diamenty. Broszka wyglądała na antyk. Im dłużej się jej Wolf Ber przyglądał, tym bardziej rosło jego zdziwienie. Jak się ta broszka tutaj znalazła? Nie należała ani do niego, ani do Celiny. Czyżby z uciulanych pieniędzy sprawiła sobie broszkę za setki rubli? Ale czegoś takiego nie kupiłaby w Kozłowie! Wolf Ber

uważnie obejrzał broszkę i znalazł na odwrocie dwie wygrawerowane litery: alef oraz gimel. Po chwili wsunął broszkę głęboko do kieszeni. Poczł się przegnębiony. Wrócił na sofę i zamknąwszy oczy, próbował rozwiązać zagadkę, lecz w żaden sposób nie mógł znaleźć odpowiedzi. W końcu znów zasnął i jeszcze raz mył się w tej samej alkwie w Lublinie. Znowu śmierział nie wyprawioną skórą i chemikaliami używanymi w garbarstwie. Rozczochrana kobieta o pomarszczonej twarzy tak samo upominała go, że nie zdąży na Seder. Wolf Ber obudził się. Jak można to wytłumaczyć? Czyżby Celina miała kochanka, który podarował jej broszkę w prezencie? Wolf Ber poczuł gorycz na podniebieniu. Czknął i z żołądka dobył się nieprzyjemny posmak. Splunął w chusteczkę. No dobrze, przecież musi być jakaś odpowiedź. A co znaczą wygrawerowane litery? Czy znajdzie się w Kozłowie Żyd, który mógłby mieć romans z mężatką? A Celina, czy zdolna jest do czegoś takiego? Im dłużej Wolf Ber rozważał, tym bardziej zagadkowe wydawało mu się to wszystko. Przemierzył pokój.

– Ty znasz prawdę. Gadaj! – powiedział do papugi.

– Tatko, tatko, tatko! Kochasz, kochasz, kochasz!

Zapał zmierzch. Szyby w oknach pozieleniały. Purpurowe odblaski zachodzącego słońca tańczyły na ścianie. Papuga weszła do klatki, gotowa na spoczynek. Wolf Ber, siedząc w ciemności, zapalił hawańskie cygare i zaciągał się głęboko. Odurzył go egzotyczny aromat. Raz po raz wsuwał rękę do kieszeni, aby dotknąć broszki. Gdy tylko z zewnątrz dochodziły jakieś dźwięki, wsłuchiwał się uważnie. Gdzie jest jego żona? Co robi tak długo? Zdecydował nie wdawać się w żadne rozmowy, dopóki dzieci nie pójda spać. Po chwili usłyszał kroki i głosy. Celina wróciła. Ona i dziewczęta, wszystkie trzy, niosąc pakunki, tryskały radością.

– Wolfie Berze, jesteś tutaj? Czemu siedzisz po ciemku? Cóż ty palisz – cygare? – wypytywała uszczęśliwiona Celina.

– Rosjanin podarował mi je w pociągu.

– Ten zapach przyprowadza mnie o zawrót głowy. Wykupiliśmy sklep. Jedną chwilę, zapalę lampę.

– Miałem kiedyś bursztynową cygarniczkę. Gdzie ona jest?

– Gdzie jest? Nie wiem.

Dziewczynki podskakiwały z paczkami w rękach. Celina zapaliła najpierw lampkę na stole, a potem lampę zwisającą z sufitu na łańcuchach z brązu, ozdobioną gronami, do których, dla utrzymania równowagi, przyczepione były ołowiane kuleczki.

Celina kupiła niezliczone metry różnego rodzaju materiałów, jedwabi, wełen, aksamitów i zdążyła porozmawiać z krawcem Lejzerem, który obiecał skończyć kilka sukienek przed Pesach. Teraz, z wprawą gospodyni, zaczęła przygotowywać kolację. Zwykle dzieci chodziły spać wcześniej, ale dzień, w którym ich ojciec wracał do domu, był świętem. Celina już im przyobiecała, że nie pójdą jutro do szkoły.

3

Wolf Ber siedział przy stole, chwalił potrawy i żartował z dziećmi, ale nie był tak szczęśliwy, jak przedtem. Spieszył się z obiadem, nie jadł zbyt wiele i od czasu do czasu badawczo spoglądał na Celinę. Natychmiast po herbacie z dżemem i miodowym ciastem wysłał dziewczynki do łóżek. Zaprotestowały, że nie dość nacieszyły się przyjazdem ojca. Chciały pokazać mu książki, mapy, rysunki. Lecz Wolf Ber utrzymywał, iż wszystko to może poczekać do jutra, a dzieci nie powinny przesiadywać tyle godzin po nocy.

Po krótkich targach i ociąganiach dziewczynki powiedziały dobranoc. Wydawało się, że Celina trzyma jego stronę, lecz jednocześnie uśmiechała się tajemniczo. Najwyraźniej spieszyło mu się, by zostać z nią samą. Spragniony, co? – pytało jej spojrzenie. Wolf Ber poszedł do sypialni i rozebrał się. Jego buty o sztywnych cholewach stały obok łóżka w wojskowym ordynku. Usiadł na świeżo pościelonym łóżku. Celina była w kuchni, myła się i czesała włosy, jak zawsze, zanim przyszła do męża. Włożyła czystą nocną koszulę, skropiła ciało pachnidłem i umyła zęby pastą, jak to robią w wielkich miastach.

Z pewnością nie będzie miał po mnie zgagi... – pomyślała Celina, spoglądając na swe odbicie w lustrze.

Przypuszczała, że Wolf Ber natychmiast zgasi lampę i będzie się z nią kochał, lecz on wciąż siedział na łóżku i patrzył gdzieś w bok.

- Bądź tak dobra i zamknij drzwi.
- Coś się stało?
- Zamknij drzwi.
- Są zamknięte.

Wolf Ber wyjął broszkę spod poduszki.

- Skąd to masz?

Celina wzniosła oczy i jej twarz zmieniła wyraz. Popatrzyła na broszkę zaskoczona, z poważną miną.

- Mam to już od dawna.
- Jak długo?
- Kilka lat.
- Skąd?

Celina nie od razu odpowiedziała. W końcu uniosła brwi.

– Znalazłam – odpowiedziała tonem człowieka, który nie spodziewa się, że mu uwierzą.

- Znalazłaś? Gdzie?
- W żeńskiej części w synagodze.
- Jak często chodzisz do synagogi?
- To było w Rosz ha-Szana.
- I nie zapytałaś, kto to zgubił?

– Nie.

– I jak to, nigdy mi o tym nie mówiłaś? – zapytał Wolf Ber po chwili.

– Nie muszę ci mówić o wszystkim. – Celina potrząsnęła głową.

Mąż i żona rozmawiali przyciszonymi głosami, jako że dziewczynki jeszcze nie spały. Wolf Ber przemyślał wszystko od nowa.

– Na odwrócie są wygrawerowane inicjały: alef i gimel.

– Tak.

– Do kogo należą?

Celina milczała. Odwróciła się do drzwi i upewniła, czy są dobrze zamknięte. Poruszyła się, próbując jakby zasłonić dzieci przed odgłosami rozmowy. Po raz pierwszy Wolf Ber zobaczył w jej oczach ślad zuchwałości.

- Nie jesteś przecież sędzią śledczym!
- Czyje to jest? – Wolf Ber podniósł głos.
- Nie krzycz. Alte Giteł.

W jednej chwili Wolf Ber wiedział wszystko. Przypomniał sobie, jak to było.

– Alte Giteł zgubiła broszkę podczas Chanuki, nie w Rosz ha-Szana. Całe miasto huczało.

– Myśl sobie, jak chcesz.

– Jak ją zdobyłaś?

– Znalazłam.

– Gdzie?

– Na ulicy.

– Mówiłaś przedtem, że w synagodze.

– Cóż z tego?

– Alte Giteł zgubiła broszkę na ślubie Debory Lei – mówił Wolf

Ber na wpół do żony, na wpół do siebie samego. – Byłaś tam... Opowiadałaś mi nawet, że przeszukiwali każdego... Pamiętam... Więc gdzie ją schowałaś?

Celina zaśmiała się krótko.

– Patrzcie, jak to mnie przesłuchuje! Myślałby kto, że sam święty.

– Jesteś złodziejką, prawda?

– Jeśli ty jesteś, czemu ja nie miałabym być? – odpowiedziała Celina gwałtownym szeptem. – O co ta awantura? Całe miasto wie, co robisz. Drwią z naszych dzieci. Nauczyciele robią sobie z nich żarty. Gdy jakaś dziewczynka zgubi coś w szkole, to Masza i Anka są podejrzane. Nie mówiłam ci tego wszystkiego, bo nie chciałam cię zranić, ale jestem poniżana dziesięć razy na dzień. Więc czemu nagle udajesz uczciwego? Gdybym była taka święta, nigdy nie wysłałabym za ciebie. To chyba dość jasne?

– Ukradłaś, prawda?

– Tak, ukradłam.

Oczy Celiny zwróciły się ku niemu z mieszaniną wesołości i strachu.

– Jak to zrobiłaś?

– Odpięłam broszkę z peleryny, gdy recytowano Jester. Nie wiedziałam, dlaczego to robię. Leżała tutaj latami. Czemu szperasz po moich szufladach?

– Szukałem cygarniczki.

– Nie wzięłam twojej cygarniczki.

Zapanowała cisza. Wolf Ber siedział wyprostowany na łóżku z surową, stężałą twarzą. Nie, żeby był zły; ogarnął go raczej smutek, jakby usłyszał spóźnione wieści o śmierci kogoś bliskiego. Przez wszystkie te lata uważał Celinę za uczciwą kobietę i wyrzucał sobie, że przynosi wstyd córce zacnego domu. Niekiedy uskarżała się na gorycz drogi, którą wybrał w życiu. Opowiadała, jak mieszkańcy miasta ją ignorują, upominała, że dla dzieci najważniejsze jest dobre wychowanie i przyzwoite wykształcenie. Kilka lat temu, gdy był aresztowany w Janowie i groził mu surowy wyrok, to właśnie Celina przyjechała tam i wyciągnęła go. Opowiadała mu, jak rzuciła się do nóg prokuratorowi, płacząc i błagając, aż w końcu ją powstrzymał.

– Wstań, moja piękna, nie zniosę widoku twych łez ani chwili dłużej.

Nigdy przedtem nie zdarzyło się Wolfowi pomyśleć, że ta historyjka nie jest całą prawdą. Wiele razy w wielkich miastach roz-

wiązłe kobiety próbowały go uwieść, ale zawsze odpowiadał im, że ma wierną żonę w Kozłowie, wspianą kobietę, oddaną matkę ich dzieci. Ryzykował wolność, by niczego jej nie brakowało. Odmawiał sobie nawet drogich restauracji i teatrów. Teraz na nic to wszystko. Coś w jego wnętrzu naśmiewało się: Jesteś głupcem, Wolfie Berze, przeklętym głupcem! Poczłł mdłości i jakby postarzał się w ciągu ostatnich kilku minut.

– Czy mogę zgasić lampę? – usłyszał głos Celiny.

– Jak chcesz.

Celina wyłączyła nocną lampkę i wsunęła się do łóżka. Przez dłuższy czas panowała cisza. Wolf Ber wsłuchiwał się w siebie. Ogarnął go lodowaty chłód jak od zimnego okładu na piersi.

– Spałaś z tym prokuratorem okręgowym?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz bardzo dobrze.

– Musiałeś chyba postradać zmysły.

Wolf Ber przeciągnął się, zamknął oczy i w milczeniu leżał na chłodnym prześcieradle. W drugim pokoju dziewczynki wciąż szepotały i chichotały. Na dworze wiał wiosenny wiatr, targając okiennicami. Światło księżycy sączyło się promieniami poprzez szpary. Łóżko Celiny skrzypiało od czasu do czasu. Wolf Ber przyjechał do domu pełen pożądania, ale teraz żądza go opuściła.

– Wszystko skończone – powiedział sobie. – Minęło siedem lat tłustych.

Coś w nim skowyczało. Kto wie – może dzieci nie są jego własne? Nie ma już po co tłuc się w pociągach, spać w hotelach, narażać życie na jarmarkach.

– Jeśli ona jest złodziejką, ja muszę stać się uczciwym człowiekiem – mamrotał. – Nie ma miejsca w rodzinie dla dwóch złodziei!

Wolf Ber poczuł się zdruzgotany swym dziwnym pomysłem. A jednak czuł, że nie ma innego wyjścia. Przez jakiś czas leżał spokojnie i wsłuchiwał się w ciemność. Potem opuścił nogi na podłogę.

– Dokąd się wybierasz?

– Do Lublina.

– W środku nocy?

– Tak, w środku nocy.

– Co zamierzasz tam robić? – zapytała Celina.

– Zostać garbarzem – odpowiedział jej Wolf Ber.

KORESPONDENT

Herman Gombiner otworzył jedno oko. W taki sposób budził się co rano – stopniowo, najpierw odmykał jedno, dopiero potem drugie. Jego spojrzenie padło na popękany sufit i część budynku po drugiej stronie ulicy. Położył się nad ranem, około trzeciej. Długo nie mógł zasnąć. Teraz dochodziła już dziesiąta. Herman Gombiner cierpiał ostatnio na coś w rodzaju amnezji. Gdy obudził się w nocy, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest, kim jest, ani nawet jak ma na imię. Dobrych kilka chwil upłynęło, zanim zrozumiał, że nie jest już w Kołomyi czy w Warszawie, lecz w śródmieściu Nowego Jorku, na jednej z ulic pomiędzy Columbus Avenue a Central Park West.

Była zima. W kaloryferach syczała para. Druga wojna światowa dawno już się skończyła. Rodzina Hermana (czy też Chaima Dawida, jak zwano go w Kołomyi) zginęła z rąk nazistów. On zaś został redaktorem, korektorem i tłumaczem w hebrajskim wydawnictwie „Syjon”, mieszczącym się przy Canal Street. Był starszym się, schorowanym kawalerem.

– Która godzina? – wymamrotał.

Miał obłożony język, a wargi spękane. Czuł ból w kolanach, pulsowanie w głowie i gorzki smak w ustach. Wstał z wysiłkiem, stawiając stopy na zniszczonym dywanie, który pokrywał podłogę.

– Co to takiego? Śnieg? – mruknął pod nosem. – Tak... przecież jest zima.

Przez chwilę stał przy oknie i wyglądał na ulicę. Zepsute samochody zaparkowane wśród śniegu wyglądały jak relikty umarłej cywilizacji. Zwykle ulica pełna była śmieci, zgiełku i dzieciaków – Murzynów i Portorykańczyków. Ale teraz chłód zatrzymał wszy-

stkich w domach. Ten spokój i biel przywiodły Hermanowi na myśl jego dawny dom w Kołomyi. Poczłapał do łazienki.

Sypialnia była rodzajem alkowy – stało w niej tylko łóżko. Pokój dzienny wypełniały książki. Przy jednej ze ścian stał rząd regałów, od podłogi aż po sufit, a do innej przylegały szafy i półki z książkami. Książki, gazety, magazyny leżały wszędzie, piętrząc się w stosy. Zgodnie z umową właściciel domu zobowiązany był odnawiać mieszkanie co trzy lata, ale Herman Gombiner przekupił nadzorcę, aby zostawił go w spokoju. Wiele z jego książek rozpadłoby się na części, gdyby je ruszyć. Dlaczego świeżo malowane ściany miałyby być lepsze niż stare? Kurz ułożył się już w warstwy. Jakaś samotna mysz trafiła do mieszkania Hermana, a on każdej nocy zostawiał dla niej kawałek chleba, cienki plasterek sera i spodek z wodą. Wszystko po to, by utrzymać ją z dala od książek. Dzięki Bogu, nie rozmnażała się. Od czasu do czasu opuszczała swoją dziurę, nawet przy włączonym świetle. Herman nadał jej hebrajskie imię: Hulda. Jej małe wyłupiaste oczka patrzyły na niego ciekawie. Przestała się go bać.

Budynek, w którym mieszkał Herman, miał wiele wad, ale był przynajmniej ciepły. Grzejniki buzowały od wczesnego ranka aż do późnej nocy. Właściciel, Portorykańczyk, nigdy by nie pozwolił, aby dzieci jego lokatorów marzły.

Nie było w łazience prysznic, więc Herman codziennie kąpał się w wannie. Pęknięte przez środek lustro wisiało na drzwiach i Herman przyjrzał się sobie – niski mężczyzna dobiegający pięćdziesiątki, w zbyt wielkiej piżamie, tylko skóra i kości. Po obu stronach dużej głowy osadzonej na cienkiej szyi wyrastały dwie kępki siwych włosów. Jego czoło było szerokie i wypukłe, nos zakrzywiony, a kości policzkowe wysoko osadzone. Tylko w ciemnych oczach okolonych długimi jak u dziewczyny rzęsami pozostał jeszcze ślad młodości. Czasami nawet migotał w nich przenikliwy blask. Wieloletnie czytanie i ślęczenie nad drobnymi literkami nie zepsuły mu wzroku, ani też nie uczyniły go krótkowidzem. Wydawało się, że siła, która pozostała jeszcze w ciele Hermana Gombinera – w ciele zniszczonym przez choroby i brak właściwej troski – skoncentrowała się w spojrzeniu.

Golił się wolno i ostrożnie. Jego dłonie o długich palcach drżały i łatwo mógł się skaleczyć. Jednocześnie wanna była już pełna gorącej wody. Rozebrał się i zdumiał swoją chudością – wąska klatka piersiowa, ręce i nogi kościste, głębokie wklęsłości pomiędzy

szyją a ramionami. Wejście do wanny stanowiło dla niego wysiłek, ale zaraz potem wyciągnął się wygodnie w ciepłej wodzie i odprężył. Herman zwykle gubił mydło. Wyślizgiwało mu się z rąk w zabawny sposób, jak żywa istota, a on szukał go w wodzie. „Gdzie mi uciekasz? – przemawiał do niego. – Ty łajdaku.” Wierzył, że życie tkwi we wszystkim, że tak zwane przedmioty nieożywione mają swoje własne kaprysy i zachcianki.

Herman Gombiner uważał się za jednego z tych uprzywilejowanych, którzy sięgali wzrokiem poza powierzchnię zdarzeń. Pewnego razu widział bibularz unoszący się z biurka wolno i niepewnie żeglujący w kierunku drzwi, a potem delikatnie opadający, jakby zawieszony na niewidzialnym sznurku, pociągany przez jakąś niewidoczną rękę. Cała ta sprawa była całkowicie nedorzeczną. Ile razy Herman o niej myślał, nie mógł wyobrazić sobie przyczyny tego, co się stało. To było jedno z tych niezwykłych zdarzeń, których nie może wytłumaczyć nauka ani religia, ani wierzenia ludowe. Później Herman schylił się, podniósł bibularz i ułożył go z powrotem na biurku, gdzie pozostaje do dzisiaj, przykryty papierami, zakurzony i wyschnięty – nieożywiony przedmiot, który na jedną chwilę w jakiś sposób uwolnił się od praw fizyki. Herman Gombiner wiedział, że to nie była halucynacja ani sen. Zdarzenie to przytrafiło się w dobrze oświetlonym pokoju o ósmej wieczorem. Nie był tego dnia chory, ani nawet nie czuł się źle. Nigdy nie pił alkoholu i był całkowicie przytomny. Stał właśnie tuż obok komody, chciał wyjąć chusteczkę z szuflady. Nagle coś przyciągnęło jego wzrok w stronę biurka i zobaczył unoszący się i latający bibularz. Ale to nie był jedyny przypadek. Takie rzeczy zdarzały mu się od dziecka.

Wszystko trwało tak długo – kąpiel, wycieranie, ubieranie się. On się nigdy nie śpieszył. Jego kompetencja to wynik rozwagi i przemyśleń. Korektorzy „Syjonu” pracowali tak pospiesznie, że nie zauważali błędów. Tłumaczom nie starczało czasu, aby sprawdzić w słowniku znaczenia, których nie byli pewni. Większość amerykańskich, a nawet i izraelskich hebraistów nic nie wiedziała o znakach samogłosek i innych subtelnościach gramatyki. Herman Gombiner znalazł czas, by przestudiować to wszystko. To prawda, że pracował wolno, ale starszek Morris Korver, właściciel „Syjonu”, a nawet jego synowie, na wpuł goje, zawsze doceniali fakt, że to właśnie Herman Gombiner zapracował na reputację firmy. Jednakże Morris Korver zestarzał się, zgrzybiał i „Syjonowi” groziło

zamknięcie. Mówiło się, że synowie nie mogą się doczekać, aż stary umrze, bo chcą zamknąć interes.

Nawet gdyby Herman chciał, nie potrafiłby się spieszyć. Idąc stawiał małe kroczki. Pół godziny zajmowało mu zjedzenie miski zupy. Poszukiwanie w słowniku właściwego wyrazu lub sprawdzenie czegoś w encyklopedii oznaczało niekiedy godziny pracy. Kilka razy próbował się pospieszyć, ale koniec był zawsze tragiczny: złamał nogę, zwichnął rękę, spadł ze schodów, a nawet dostał się pod samochód. Każdy drobiazg stał się dla niego problemem – golenie, ubieranie, odnoszenie prania do chińskiej pralni, posiłek w restauracji. Przechodzenie przez ulicę też sprawiało kłopot, bo ledwie zapalało się zielone światło, znów powracało czerwone. Ci za kierownicami samochodów działali prędko jak automaty i odznaczali się podobną moralnością. Jeśli ktoś nie potrafił biec dość szybko, zdolni byli po prostu go rozjechać. Ostatnio zaczął cierpieć na drżenie dłoni i stóp. Kiedyś skrupulatnie przepisywał wszystko ręcznie, teraz nie był w stanie. Używa więc maszyny, pisząc wskazującym palcem prawej ręki. Stary Korver utrzymywał, że wszystkie kłopoty Gombinera brały się z faktu, iż jest on wegetarianinem: bez kawałka mięsa człowiek traci siły. Herman nie zjadłby nawet kawałka mięsa, choćby od tego zależało jego życie.

Założył jedną skarpetkę i odpoczął. Potem drugą i znów odpoczął. Tętno miał niskie – pięćdziesiąt uderzeń na minutę, czy coś takiego. Najmniejszy wysiłek powodował zawrót głowy. Jego duszy ciężko było zmieścić się w tym ciele. Niekiedy zdarzało się, gdy leżał w łóżku lub siedział na krześle, że jego odcieleśniony duch wędrował po pokoju, lub nawet wychodził oknem. Widział swoje własne ciało zemdlone, jakby umarłe. Któż mógłby zliczyć wszystkie przywidzenia, telepatyczne zdarzenia, wizje przepowiadające przyszłość i prorocze sny, których doświadczał Herman! I kto by mu uwierzył? Na przykład jego współpracownicy kpili z niego. Wystarczyło, że starszy Korver wypił szklaneczkę brandy i już nazywał go przesądnym żółtodziobem. Traktowali go jak kogoś nie z tej ziemi.

Herman Gombiner dawno doszedł do wniosku, że nowoczesny człowiek jest tak fanatyczny w swym niedowiarstwie, jak starożytny w swojej wierze. Racjonalizm współczesnej generacji jest sam w sobie przykładem uprzedzeń. Komunizm, psychoanaliza, faszyzm i radykalizm to slogany dwudziestego wieku. No dobrze!

Cóż on, Herman Gombiner, mógł zrobić w obliczu tego wszystkiego? Nie miał wyboru; obserwować i siedzieć cicho.

– Tak, zima, zima! – powiedział do siebie Herman Gombiner głosem na wpół śpiewnym, na wpół jęklwym. – Kiedy będzie Chanuka? Zima zaczęła się wcześniej tego roku.

Herman miał zwyczaj mówić do siebie i zawsze to robił. Wuj, który go wychowywał, był głuchy. Jego babka, niech spoczywa w pokoju, potrafiła budzić się w środku nocy, by odmawiać pokutne modlitwy i lamenty, które znaleźć można było tylko w przestarzałych modlitewnikach. Ojciec umarł, zanim się Herman – Chaim Dawid – urodził. Matka wyszła za mąż gdzieś w dalekim mieście i miała dzieci z drugim mężem. Chaim Dawid zawsze był zamknięty w sobie, nawet gdy uczęszczał do chederu czy studiował w jesziwie. Teraz, odkąd Hitler wymordował mu całą rodzinę, nie miał żadnych krewnych, do których mógłby pisać listy. Pisał więc do całkiem obcych ludzi.

– Która godzina? – Herman znów spytał sam siebie.

Założywszy ciemny garnitur, białą koszulę i czarny krawat, przeszedł do kuchni. Stała tu chłodziarka bez lodu i piekarnik, którego nigdy nie używał. Dwa razy w tygodniu mleczarz zostawiał pod drzwiami butelkę mleka. Herman miał kilka puszek z jarzynami, które jadł, gdy nie wychodził z domu. Odkrył, że istota ludzka potrzebuje bardzo niewiele. Pół kubka mleka i precel może wystarczyć przez cały dzień. Jedna para butów służy Hermanowi przez pięć lat. Jego garnitur, palto czy kapelusz nigdy się nie niszczy. Tylko bielizna zdradza ślady zużycia, ale to z powodu chemikaliów stosowanych w chińskiej pralni. A już na pewno nie niszczy się meble. Gdyby nie wydatki na taksówki i podarki, Herman mógłby odłożyć niezłą sumkę.

Wypił szklanekę mleka i zagryzł biskoptem. Potem ostrożnie włożył swoje czarne palto, wełniany szalik, kalosze i filcowy kapelusz z szerokim rondem. Spakował aktówkę z książkami i rękopisami. Z dnia na dzień stawała się cięższa, nie dlatego, że zwiększała jej zawartość, lecz dlatego, że ubywało mu sił. Wsunął na nos ciemne okulary, by uchronić oczy przed połyskującym śniegiem. Zanim opuścił mieszkanie, pożegnał się z łóżkiem, biurkiem zawalonym papierami (pod którymi leżał bibularz), z książkami i myszą w dziurze. Wylał wczorajszą nieświeżą wodę, znów napełnił spodek i położył krakersa oraz mały kawałek sera.

– Trzymaj się, Hulda, bądź zdrowa!

Dźwięk radia rozbrzmiewał na całą klatkę schodową. Ciemnoskóra kobieta z rozczochranymi włosami i złym wzrokiem mówiła coś po hiszpańsku z wyjątkowo prostackim akcentem. Dookoła biegały na wpół nagie dzieciaki. Mężczyźni, najwidoczniej bezrobotni, snuli się po swoich zatłoczonych klitkach, jedli na stojąco lub brzdąkali na mandolinach. Zapachy dolatujące z mieszkań przyprawiały Hermana o mdłości. Smażyli tam chyba wszystkie rodzaje mięs i ryb. Korytarze cuchnęły czosnkiem, cebulą, dymem i czymś ostrym i mdłym. W nocy sąsiedzi Hermana tańczyli i śmiali się rubasznie. Niekiedy zdarzały się bójkі, a kobiety wołały o pomoc. Jedna z nich przyszła kiedyś do niego w środku nocy i wałać w drzwi szukała obrony przed mężczyzną, który usiłował dźgnąć ją nożem.

2

Herman zatrzymał się na dole przy skrzynkach pocztowych. Inni mieszkańcy rzadko dostawali jakiegokolwiek przesyłki, ale skrzynka Hermana Gombinera wypchana była każdego ranka po brzegi. Wyjął klucz drżącymi palcami, włożył go do zamka i wy dobył korespondencję. Potrafił rozpoznać nadawców po kopertach. Różowa – od Alice Grayson z Salt Lake City. Pani Roberta Hoff z Pasadena w Kalifornii całą swoją pocztę wysyłała w urzędowych kopertach przedsiębiorstwa, dla którego pracowała. Pannie Bercie Gordon z Fairbanks na Alasce najwyraźniej zostało wiele kopert na bożonarodzeniowe kartki. Herman znalazł też dzisiaj list od nowej korespondentki, pani Rose Beechman z Louisville w Kentucky. Jej imię i nazwisko były wypisane ręcznie, a koperta ozdobiona na odwrocie. Wśród listów znalazło się też kilka czasopism okultystycznych, które Herman Gombiner prenumerował – z Ameryki, Anglii, a nawet z Australii. W jego aktówce nie było już miejsca na wszystkie te listy i magazyny, więc Herman wepchnął je do kieszeni płaszcza. Wyszedł i czekał na taksówkę.

Trudno było o taksówkę (szczególnie pustą), która by jechała w dół tej ulicy, ale zbyt wielkim byłoby dla Hermana wysiłkiem przejść kawałek do Central Park West czy do Columbus Avenue. Gombiner zwalczał swą słabość modlitwami i autosugestią. Stojąc w śniegu, szeptał modlitwę o taksówkę. Wciąż wkładał rękę do kieszeni i dotykał palcami listów w kopertach. Te listy i czasopisma stały się kwintesencją jego życia. Za ich pośrednictwem nawiązywał kontakt z duszami. Zyskiwał przyjaźń, a nawet miłość kobiet.

Odpowiedzi, które od nich otrzymywał, umacniały jego wiarę w moc ludzkiej psychiki i w świat niematerialny. Wysyłał swoim korespondentkom prezenty i od nich też otrzymywał podarki. Zwracały się do niego po imieniu, wyjawiały swe myśli, sny, nadzieje i wiadomości, które otrzymywały drogą telepatii, poprzez automatyczne pisanie, obracające się stoliki i z innych nadprzyrodzonych źródeł.

Herman Gombiner rozpoczął korespondencję z tymi kobietami za pośrednictwem pism, które prenumerował. Publikowano tam nie tylko doświadczenia czytelników, lecz także ich nazwiska i adresy. Artykuły pisane były przeważnie przez kobiety. Herman Gombiner zawsze wybierał mieszkające daleko. Wolał unikać spotkań. Ze sposobu, w jaki opisane było doświadczenie, z nazwiska i adresu umiał wywnioskować, czy kobieta będzie potrafiła utrzymać korespondencję. Prawie nigdy się nie mylił. Krótka notka od niego powodowała czterokrotnie dłuższą odpowiedź. Niekiedy dostawał prawdziwe manuskrypty. Jego korespondencja tak się rozrosła, że kosztowała go już kilkanaście dolarów opłaty pocztowej tygodniowo. Wiele z listów wysyłanych było ekspresem lub poleconym.

Cuda zdarzały się na co dzień. Nie zdążył skończyć modlitwy, gdy pojawiła się taksówka. Kierowca zajechał pod dom, jakby drogą telepatii otrzymał rozkaz. Wsiadanie do taksówki wyczerpało Hermana i długą chwilę siedział, oparłszy głowę o szybę auta. Zamknął oczy, składając dziękczynne modły tej sile, która usłuchała jego błagań. Kto nie dostrzega ręki Opatrzności, czy jak by to nazwać, musi być chyba ślepy. Taki ktoś za bardzo jest zajęty najprymitywniejszymi ludzkimi potrzebami.

Odcieleśniony duch Hermana potrafił wędrować do najdalszych miejsc. Zobaczył się ze wszystkimi korespondentkami. Jednej nocy był w Los Angeles i Mexico City, w Oregonie i w Szkocji. Zdarzało się, że Hermana nawiedzała myśl o chorobie jednej z jego dalekich przyjaciółek. Po pewnym czasie otrzymywał wiadomość, iż rzeczywiście zaniemogła i leży w szpitalu. Przez te wszystkie lata wiele z nich już umarło, a on za każdym razem to przewidział.

Od ostatnich kilku tygodni Herman miał silne przeczucie, że „Syjon” zostanie zamknięty. Co prawda mówiło się o tym od lat, ale Herman zawsze wtedy wiedział, że to tylko plotki. Natomiast ostatnio pracownicy byli dobrej myśli; interes szedł lepiej. Stary mówił wprawdzie o deficycie, lecz wszyscy wiedzieli, że kłamie, aby unikać podwyżek płac. Wydawnictwo opublikowało modlitewnik, który był bestsellerem. Zanosilo się na to, że nowy słownik

hebrajsko-angielski, który Herman Gombiner właśnie kończył, sprzeda się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Niemniej Herman przeczuwał nieszczęście z taką pewnością, z jaką jego schorowane stawy przeczuwały zmianę pogody.

Taksówka jechała w dół Columbus Avenue. Herman wyjrzał przez okno i znów zamknął oczy. Na co w Nowym Jorku można patrzeć w zimowy poranek? Siedział tak, spowity w smutek. Marzył ustawicznie, niezależnie od ilości swetrów, które na siebie nałożył. Poza tym, gdy jest zimno, człowiek mniej jest świadomy swej duszy, wszystkich psychicznych procesów. Herman podniósł wyżej kołnierz i wsunął ręce do kieszeni. W zimnych krajach rozwija się drapieżna cywilizacja. Nie powinien był osiedlać się w Nowym Jorku. Gdyby mieszkał w południowej Kalifornii, nie byłby w takim stopniu zniewolony przez pogodę. Taaak... Ale czy w południowej Kalifornii znalazłby żydowskie wydawnictwo?

3

Taksówka zatrzymała się przy Canal Street. Herman zapłacił, dając pięćdziesięciocentowy napiwek. Sobie żałował, lecz gdy chodziło o taksówkarzy, kelnerki i windziarzy, potrafił okazać wspaniałomyślność. Na Boże Narodzenie kupował prezenty nawet swoim portorykańskim sąsiadom. Zdarzyło się dzisiaj, że windziarz Sam siedział właśnie przy filiżance kawy w kafeterii po przeciwległej stronie ulicy, a Herman musiał czekać. Sam robił, co mu się żywnie podobało. On i Morris Korver pochodzili z tego samego miasta. Sam pracował jako jedyny windziarz i gdy nie chciało mu się przyjść, mieszkańcy musieli wspinać się po schodach. Poza tym był komunistą.

Herman czekał dziesięć minut, zanim nadszedł Sam – niski, szeroki w barach mężczyzna, z twarzą jakby poskładaną z nie pasujących do siebie kawałków: niskie czoło, krzaczaste brwi, wyłupiające oczy podkrążone wielkimi worami, a do tego bulwiasty nos pokryty jaskrawoczerwonymi brodawkami. Stawiał niepewne kroki. Herman wręczył mu napiwek, ale ten gderał pod nosem w odpowiedzi. Z tylnej kieszeni wystawała mu gazeta żydowskiej lewicy. Nie od razu zamknął drzwi windy. Najpierw odkaslnął kilka razy, potem zapalił cygaro.

- Słyszał pan nowiny? – zawołał nagle, splunąwszy.
- Co się stało?

– Sprzedali budynek.

„Więc jednak!” – powiedział Herman do siebie, a głośno zapytał:

– Sprzedali? Jak to możliwe?

– Jak możliwe? Bo mądry stary jest już zgrzybiały, a synalce wie gwizdzą na wszystko. Zrobią z tego garaż. Rozwalą budynek, a książki wylądują w śmietniku. Nikt nie dostanie złamanego grosza od tych faszystowskich bękartów.

– Kiedy to się stało?

– Stało się, i już.

„A więc jestem jasnowidzem” – pomyślał Herman. Milczał. Od lat mówiło się w wydawnictwie, że trzeba wstąpić do związku, wypracować plan emerytalny, ale skończyło się na gadaniu. Starszy Korver tego dopilnował. Płace były niskie, lecz on dorzucał swym ulubieńcom jakieś okazyjne pięcio-, czy dziesięciodolarowe premie. Wypłacał pieniądze w Chanukę, słał prezenty w Purim i w ogóle postępował jak rasowy europejski szef. Ci, którzy mu się sprzeciwiali, byli zwalniani. Księgowi i inni pracownicy mogli może znaleźć zatrudnienie gdzie indziej, ale pisarzom i redaktorom groziło, że nie będą mieli dokąd pójść. Judaistyka zaczynała być w Ameryce ginącą specjalizacją. Gdy Żydzi umierali, ich religijne i hebrajskie książki przekazywane były do bibliotek lub po prostu wyrzucane. Hitlerizm i wojna podniosły koniunkturę na jakiś czas, ale nie dość, by uczynić hebrajskie wydawnictwa religijne opłacalnymi.

– A więc siedem tłustych lat dobiegło końca – wymamrotał Herman do siebie.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Drzwi otworzyły się na wprost redakcji – wielkiego pomieszczenia z nisko zawieszonym sufitem, zastawionego starymi biurkami i staromodnymi maszynami do pisania. Nawet telefony były staroświeckie. Pokój cuchnął kurzem, woskiem, czymś dusznym i nieświeżym.

Raphael Robbins, redaktor naczelny, siedział na wyściełanym krześle i czytał jakiś rękopis, a okulary zsunęły mu się na czubek nosa. Cierpiał na hemoroidy i miał problemy z prostatą. Był mężczyzną średniego wzrostu, szerokim w barach, o okrągłej głowie, wystającym brzuchu i obwisłych fałdach skóry pod oczami. Jego twarz zdradzała ojcowską życzliwość i spryt starej kobiety. Od lat jego szefowanie polegało na jedzeniu obiadów ze starym Korverem. Robbins znany był jako pyszałek, kłamca i lizus. Posiadał biblioteczkę z książkami pornograficznymi – pozostałość po la-

tach młodości. Tak jak Sam, pochodził z miasta Morrisa Korvera. Syn Raphaela Robbinsa, fizyk, pracował nad bombą atomową. Córka poślubiła bogatego maklera z Wall Street. Raphael Robbins sam też zgromadził niezły kapitał, a był już wystarczająco stary, by otrzymywać emeryturę. Czytając manuskrypt, Robbins podrapał się po łysinie i potrząsnął głową. Rzadko oddawał rękopis i wiele z nich leżało dookoła, gromadząc kurz na stole, w jego dwóch szafach z książkami oraz na kredensie w kuchence, gdzie pracownicy parzyli herbatę.

Człowiekiem, który uczynił Korvera bogatym i na którego barakach od lat spoczywał dom wydawniczy, był profesor Johanan Abarbanel, autor słowników. Nikt nie wie, skąd wziął się jego tytuł. Nigdy nie otrzymał stopnia naukowego, ani nawet nie studiował. Mówiło się, że to stary Korver zrobił go profesorem. Oprócz kilku słowników Abarbanel wydał zbiór kazań z cytatami dla rabinów, podręczniki dla chłopców przed Bar-Micwą i inne poradniki, które wyszły w wielu edycjach. Jako siedemdziesięcioletni kawaler Johanan Abarbanel miał atak serca i przeszedł operację na przepuklinę. Pracował za półdarmo, mieszkał w tanim hotelu i każdego roku martwił się, że mogą go odstawić na boczny tor. Miał kilku ubogich krewnych, których wspierał. Był małym człowieczkiem z białymi włosami, białą brodą i drobną twarzą, czerwoną jak zmrożone jabłko. Małe oczka ukrywały się pod białymi krzaczkastymi brwiami. Siedział przy stole, oddychając świszcząco i kaszląc, i bez wytchnienia drobił piórem maleńkie literki. Przez ostatnich kilka lat nie można było mieć pewności, że rozpoczną pracę doprowadzi do końca. Herman odczytywał każde słowo i cały rękopis musiał być przepisany.

Z niewyjaśnionej przyczyny nikt w biurze nie mówił innym „cześć” albo „dzień dobry” na powitanie, ani też nic na odchodnym. W ciągu dnia czasami tylko pracownicy wymieniali kilka przyjacielskich słów. Zdarzało się nawet, że całymi miesiącami nie odzywali się do siebie, a potem ktoś potrafił podejść do kolegi i otworzyć przed nim serce lub zaprosić go na kolację. A następnego dnia znów zachowywali się, jakby byli na siebie zagniewani. Po latach zaczęli nudzić się sobą nawzajem. Nagromadziły się żale i urazy, z tych, co to nigdy do końca nie zostają zapomniane.

Panna Lipszyc, która zaczęła pracować w „Syjonie” świeżo po ukończeniu college’u, całkowicie teraz posiwiła. Siedziała za swą maszyną – małą, pulchną i zgorzkniałą, z krótką szyją, wybujałym

biustem i spłaszczonym nosem. Wydawało się, że nigdy nie patrzy na rękopis, który przepisyje, ale gdzieś w dal, poza ściany. Dni mijały i nikt nie słyszał jej głosu. Do telefonu szeptała. W restauracji naprzeciwko siadała sama przy stoliku, jadła swój lunch, pałac i czytając gazetę jednocześnie. Był czas, kiedy wszyscy w biurze – nie wyłączając starego pana Korvera – otwarcie czy skrycie kochali się w tej inteligentnej dziewczynie, znającej angielski, jidysz, hebrajski, potrafiącej stenografować i posiadającej sporo innych zalet. Zwykli byli zapraszać ją do teatru czy do kina i kłócili się, kto powinien pójść z nią na lunch. Ale lata już temu panna Lipszyc odizolowała się. Stary Korver mówił, że schowała się za niewidzialnym murem.

Herman skinął głową w jej kierunku, jednak nie odpowiedziała. Minął biuro Bena Melnicka. Melnick był menadżerem – wysoki, śniady, o młodej twarzy, czarnych wyłupiastych oczach i głowie z czupryną mlecznobiałych włosów. Cierpiał z powodu astmy i grał na wyścigach. Schodziły się do niego najrozmaitsze typki – bukmacherzy. Żył w separacji z żoną i miał romans z panną Potter, główną księgową, krewną Morrisa Korvera.

Herman Gombiner wszedł do swojego biura. Przejść przez redakcję, nie usłyszawszy pozdrowienia, stanowiło dla niego nie lada wysiłek. Korver zatrudnił człowieka do sprzątania. Nazywał się Zajnwele Gitzis i zaniedbywał robotę; ściany były brudne, okna nie umyte. Pudła z zakurzonymi rękopisami i gazetami przez lata piętrzyły się dookoła. Herman zdjął ostrożnie palto i położył je na stercie książek. Usiadł na krześle z oparciem splecionym z końskiego włosia. Pracować? Po co pracować, skoro firma jest zamknięta? Siedział, potrząsając głową – po trosze ze słabości, po trosze z żalu.

– W porządku, wszystko przecież musi mieć swój koniec – wymamrotał. – Zostało zapowiedziane, że żadna ludzka instytucja nie będzie trwać wiecznie.

Odwrócił się i wyciągnął z kieszeni dzisiejszą pocztę. Oglądał koperty, żadnej z nich nie otwierając. Powrócił do listu Rose Beechman z Louisville. W magazynie zwanym „Wiadomość” pani Beechman opisywała kontakty, które od ponad piętnastu lat utrzymuje ze swą zmarłą babką, panią Eleanor Brush. Babka zwykle materializowała się nocą, jednakże czasami potrafiła ukazać się i w świetle dziennym, ubrana w strój pogrzebowy. Udzielała wnuczce mnóstwa porad, a kiedyś dała jej nawet przepis na smażonego kur-

czaka. Herman napisał do Rose Beechman, ale minęło siedem tygodni bez odpowiedzi. Prawie stracił nadzieję, lecz wciąż wysyłał jej telepatyczne sygnały. Zachorowała – był tego pewien.

Teraz list od niej leżał przed nim w jasnoniebieskiej kopercie. Nie było łatwo ją otworzyć. Musiał skorzystać z pomocy zębów. W końcu wyjął sześć złożonych kartek jasnoniebieskiego papieru i czytał:

Drogi panie Gombiner.

Piszę ten list do pana dzień po powrocie ze szpitala, gdzie spędziłam prawie dwa miesiące. Byłam operowana w celu usunięcia guza kręgosłupa. Wisiała nade mną groźba paraliżu lub nawet czegoś gorszego. Ale przeznaczenie, jak widać, wciąż chce mnie tutaj... Najwyraźniej moja historyjka z „Wiadomości” narobiła hałasu. Podczas choroby otrzymałam wiele listów z różnych części kraju i z Anglii. Tak się złożyło, że moja córka włożyła pański list na sam spód pliku innych i chcąc przeczytać je po kolei, przez kilka tygodni zbliżałam się do niego. Ale przecucie – jak inaczej mogę to nazwać? – spowodowało, że otworzyłam ostatni list. Wtedy zorientowałam się po znaczku, że nadszedł jako pierwszy. Wygląda na to, że zawsze czynię nie tak, jak sama zamierałam, lecz zgodnie z jakimś rozkazem od kogoś czy czegoś, czego nie jestem świadoma. Mogę tylko powiedzieć: to „coś” było ze mną zawsze, odkąd pamiętam, prawdopodobnie zanim zdolna byłam myśleć.

Pański list jest tak logiczny, tak szlachetny i fascynujący, że wprost rozświetlił mi powrót do domu. Moja córka pracuje w biurze i nie ma czasu ani cierpliwości zajmować się domem. Gdy wróciłam, zastałam wszystko w żalonym stanie. Z natury jestem pedantyczną gospodynią, która nie może znieść nieporządku, może więc pan wyobrazić sobie, co czułam. Ale pańskie głębokie i godne uwagi przemyślenia, emanujące przyjaznymi, ludzkimi uczuciami, pozwoliły mi zapomnieć o kłopotach. Przeczytałam pański list trzy razy i dziękowałam Bogu, że istnieją ludzie tak wyrozumiali i wierzący.

Pyta pan o szczegóły. Drogi panie Gombiner, żaden list nie pomieściłby wszystkich faktów, które chciałabym przytoczyć. Mogłabym napisać całą książkę. Proszę nie zapominać, że doświadczenia te trwają już od piętnastu lat. Moja święta babka odwiedzała mnie co dzień w szpitalu. Po prostu przejęła pracę pielęgniarek, które, jak może panu wiadomo, ani się zbytnio nie poświęcają swoim pacjentom – ani też nie mają na to czasu. Tak, opisanie wszystkiego

„dokładnie”, jak pan prosi, zajęłoby tygodnie, miesiące. Mogę tylko powtórzyć, że to wszystko, co napisałam w „Wiadomości”, było najuczciwszą prawdą. Kilku z moich korespondentów nazwało mnie „zwariowaną”, „szaloną”, „szarlatanką”. Oskarżają mnie o kłamstwo i poszukiwanie rozgłosu. Czemu miałabym kłamać i po co mi rozgłos? Dlatego właśnie tak miło było czytać pańskie wspaniałe zwierzenia. Wynioskowałam z nagłówka, że jest pan Żydem, związanym z hebrajskim wydawnictwem. Pragnę pana zapewnić, że zawsze darzyłam Żydów, ten wybrany przez Boga naród, najwyższym szacunkiem. Niewielu jest Żydów w Louisville, a ja osobiście znam tylko tych niezbyt zainteresowanych swą religią. Zawsze chciałam poznać prawdziwego Żyda, który szanuje tradycje Świętych Ojców.

Tymczasem przechodzę do najważniejszego punktu mego listu i błagam o zrozumienie, gdy wątek będzie mi się plątał. Ostatniej nocy przed opuszczeniem szpitala moja ukochana babka, pani Brush, gościła u mnie aż do świtu. Plotkowałyśmy o różnych sprawach i dopiero przed samym odejściem powiedziała do mnie: „Tej zimy pojedziesz do Nowego Jorku, gdzie spotkasz mężczyznę, który zmieni bieg twego życia”. To były jej pożegnalne słowa. Muszę tutaj dodać, iż w ciągu minionych piętnastu lat utwierdziłam się w przekonaniu, że moja babka nigdy nie rzuca słów na wiatr i wszystko, co mówi, ma swoje znaczenie. Jednak tym razem po raz pierwszy obudziły się wątpliwości. Jakiż interes mogłabym mieć ja, wdowa żyjąca z niewielkiej renty, w dalekim Nowym Jorku? I co za mężczyzna z Nowego Jorku miałby zmienić moje życie?

To prawda, że nie jestem jeszcze stara – mam dopiero koło czterdziestki – i uchodzę za atrakcyjną kobietę (proszę nie posądzać mnie o próżność. Pragnę po prostu naświetlić sprawę). Ale osiem lat temu, gdy zmarł mój mąż, zdecydowałam, że na tym koniec. Zostałam z dwunastoletnią córką i całą energię chciałam poświęcić na jej wychowanie. Tak też zrobiłam. Teraz jest urocza, skończyła szkołę biznesu i ma świetną pozycję w firmie od nieruchomości, a w dodatku jest zaręczona z niesamowicie interesującym i wykształconym człowiekiem (urzędnikiem państwowym). Czuję, że będzie bardzo szczęśliwa.

Po śmierci męża miałam propozycje od mężczyzn, ale zawsze je odrzucałam. Wygląda na to, że moja babka zgadzała się ze mną, bo nigdy nie usłyszałam sprzeciwu z jej strony. Wspominam o tym, gdyż wzmianka mojej babki o podróży do Nowego Jorku brzmiała

tak nieprawdopodobnie, że podejrzewałam, iż mówi to, aby mnie pocieszyć po chorobie. Później zapomniałam na dobre o jej słowach.

Proszę sobie wyobrazić moje dzisiejsze zdziwienie, gdy wróciwszy ze szpitala, otrzymałam list polecony od pana o nazwisku Ginsburg, prawnika z Nowego Jorku. Zawiadamił mnie o śmierci mej ciotki, Catherine Pennel, która zostawiła mi sumę około pięciu tysięcy dolarów. Ciotka Catherine była starą panną i zerwała stosunki z rodziną przeszło pięćdziesiąt lat temu, zanim się urodziłam. Według ostatnich wieści mieszkała w Pensylwanii. Mój ojciec czasami opowiadał o niej i jej dziwactwach, ale nigdy nie widziałam ciotki, a nawet nie byłam pewna, czy żyje, czy też umarła. Jakim cudem znalazła się w Nowym Jorku, jest dla mnie zagadką, tak samo jak powód, dla którego zostawiła pieniądze właśnie mnie. Ale takie są fakty i muszę przybyć do Nowego Jorku, by zająć się zapisem. Trzeba podpisać dokumenty i tak dalej.

Gdy przeczytałam list prawnika, a potem pański – tak interesujący i drogi – zrozumiałam nagle, jak głupia byłam, wątpiąc w słowa mojej babki. Nigdy nie przepowiedziałałaby mi czegoś, co by się nie sprawdziło, a ja nigdy więcej już w nią nie zwątpię.

Ten list jest już zbyt długi, a moje palce zmęczyły się od trzymania pióra. Po prostu chcę pana poinformować, że będę w Nowym Jorku przez kilka dni pod koniec stycznia albo najpóźniej w początkach lutego i uważałabym za honor i przywilej poznać pana osobiście.

Nie mogę wiedzieć, co niezbadane Moce szykują dla mnie, lecz wierzę, że spotkanie z panem będzie ważnym wydarzeniem w moim życiu. Mam nadzieję, że pan myśli o mnie tak samo. Mam do opowiedzenia niezwykle rzeczy. Tymczasem proszę przyjąć wyrazy najgłębszej wdzięczności i najczulsze pozdrowienia.

*Szczerze oddana,
Rose Beechman*

4

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Jednego dnia rozmawiali o zamknięciu wydawnictwa, a następnego już było po wszystkim. Morris Korver i synowie zwołali zebranie personelu. Przemawiał sam Korver; mówił w jidysz, wałąc pięścią w regał na książki, i krzyczał donośnym głosem młodego mężczyzny. Ostrzegał, że jeśli nie zaakceptują porozumienia, które opracował wraz z syna-

mi, nikt nie dostanie ani grosza. Jeden z synów (miał na imię Seymour i był prawnikiem) dodał kilka słów – po angielsku. W przeciwieństwie do swego krzyczącego ojca, Seymour mówił spokojnie. Starsi pracownicy, którzy mieli słaby słuch, przysunęli krzesła i włączyli aparaty. Seymour przedstawił listę cyfr. Stwierdził, że w ciągu ostatnich kilku lat wydawnictwo straciło kilkanaście tysięcy dolarów. Jak długo można tracić? Wszystko jest zapisane – czarno na białym.

Po wyjściu szefów pisarze i pracownicy biura głosowali, czy zgodzić się na zaproponowane warunki. Większość głosowała za przyjęciem. Niektórzy twierdzili, że Korver przekupił kilku pracowników, aby trzymali jego stronę, lecz w końcu co za różnica? Każdy miał otrzymać odprawę następnego dnia. Rękopisy leżały pozostawione na stołach, a Sam zdążył już sprowadzić ludzi do rozbiórki.

Raphael Robbins ostrożnie schował do teczki małą poduszeczkę, na której siedział, szkło powiększające i apteczkę. Poczęstował wszystkich jęczowatym uśmiechem człowieka, który wiedział wszystko od początku i teraz wcale nie jest zdziwiony. Johanan Abarbanel zabrał ze sobą do domu tylko słownik. Panna Lipszyc, sekretarka, cały ranek snuła się z czerwonymi, zapłakanymi oczami. Ben Melnick przyniósł ogromną walizę i spakował prywatne archiwum, składające się z notowań wyścigów konnych.

Herman Gombiner nie czuł się na siłach, by spakować listy i książki nagromadzone w jego biblioteczkę. Otworzył szufladę, spojrzął na pokryte kurzem papiery i natychmiast zaczął kaszleć. Pożegnał się z panną Lipszyc, wręczył Samowi ostatni pięciodolarowy napiwek, poszedł do banku, by zrealizować czek, i wkrótce już czekał na taksówkę.

Przez wiele lat Herman Gombiner lękał się dnia, w którym zostanie bez pracy. Jednak gdy wsiadł do taksówki o pierwszej po południu, poczuł spokój rezygnacji. Nawet nie odwrócił głowy, by spojrzeć na miejsce, w którym stracił blisko trzydzieści lat życia. Padał mokry śnieg, a niebo było szare. Siedząc w taksówce, z głową opartą o siedzenie i zamkniętymi oczyma, Herman porównał siebie do trupa powracającego z własnego pogrzebu. Pomyślał, że prawdopodobnie w taki sposób dusza opuszcza ciało i rozpoczyna swą niematerialną egzystencję.

Począł rachować. Z prawie dwoma tysiącami dolarów, które miał w banku, pieniędzmi otrzymanymi od Morrisa Korvera i odszkodowaniem dla bezrobotnych, był w stanie przetrwać jakieś dwa lata – może nawet o kilka miesięcy dłużej. Później będzie mu-

siał przejść na zasiłek. Jakikolwiek próby znalezienia nowej pracy nie miały sensu. Już w dzieciństwie Herman prosił Boga, aby nie uczynił go zależnym od dobroczynności, ale najwidoczniej inaczej było postanowione. Jeśli, rzecz jasna, śmierć się o niego wcześniej nie upomni.

W domu było ciepło, dzięki Bogu. Herman zajrzał do mysiej norki. W czym on, Herman, był od niej lepszy? Hulda też zdana była na czyjaś łaskę. Wziął notes i ołówek, po czym zaczął obliczać. Nie potrzebuje już płacić dwa razy dziennie za taksówkę ani jeść lunchu w restauracji, ani też dawać napiwku kelnerce. Nie będzie już składek na rozmaite cele – na Palestynę, z okazji ślubu dziecka lub wnuka któregoś z pracowników, na prezenty dla odchodzących na emeryturę. Na pewno nigdy już nie będzie musiał płacić podatków. Wnikliwie przyjrzał się zawartości swej szafki na ubrania. Koszul i butów starczy mu jeszcze na dziesięć lat. Pieniądzy potrzebuje tylko na czynsz, chleb, mleko, czasopisma i znaczki. Swego czasu uważał, że powinien mieć telefon w mieszkaniu, ale dzięki Bogu nie zrealizował tej zachcianki. Za sześć dolarów może przecież przetrwać cały tydzień. Nie zdając sobie sprawy, że mogłoby się to do czegoś przydać, Herman latami doskonalił się w sztuce ograniczania wydatków do minimum, obniżania swej, by tak rzec, stopy życiowej.

Nigdy przedtem Herman Gombiner nie był tak zachwycony swym mieszkaniem, jak w ten zimowy dzień, wróciwszy do domu po zamknięciu wydawnictwa. Ludzie często skarżyli mu się na swą samotność, lecz on, dopóki były książki i papier, dopóki mógł siedzieć na krześle i rozmyślać, nigdy nie czuł się samotny. Z sąsiednich mieszkań dał się słyszeć śmiech dzieci, kobiece rozmowy i donośne głosy mężczyzn. Radia rozkręcone były na cały regulator. Na ulicy chłopcy i dziewczęta bawili się głośno.

Krótki dzień stawał się coraz bardziej mroczny, a dom wypełniały cienie. Na zewnątrz śnieg przybierał niezwykle, niebieskawy kolor. Zapadał zmierzch.

– A więc minął dzień – powiedział Herman do siebie.

Ten szczególny dzień, oznaczony swoją własną datą, nigdy już nie powróci, mimo że Nietzsche nie mylił się w swej teorii wiecznych powrotów. Nawet jeśli sądzić, że czas jest imaginacją, ten dzień się skończył jak przerzucona karta książki. Przeszedł do lamusa wieczności. A czego on, Herman Gombiner, dokonał? Komu pomógł? Nawet nie myśli. Nie wychyliła się z dziury ani nie pis-

nęła przez cały dzień. Czyżby zachorowała? Nie była już młoda; starość czyha na wszystkich...

Kiedy Herman siedział tak wśród zimowego zmierzchu, wydawało się, że oczekuje jakiegoś znaku od najwyższych Mocy. Niekiedy otrzymywał od nich sygnały, kiedy indziej znów skrywały się milcząc. Złapał się na tym, że myśli o rodzicach, dziadkach, siostrach, bracie, ciotkach, wujach i kuzynach. Gdzież oni wszyscy? Gdzie spoczywają, błogosławione dusze, umęczone przez nazistów? Czy myślą o nim czasami? A może wzniosły się do tych sfer, w których nie troszczą się już o niższe światy? Zaczął się za nich modlić, zapraszając do siebie w ten zimowy wieczór.

Para w grzejniku syczała, wyśpiewując jednostajny rytm. Wydawało się, że strumień przemawia w rurach, pocieszając Hermana: „Nie jesteś sam, jesteś częścią wszechświata, dzieckiem Boga, nieodłącznym elementem Stworzenia. Twoje cierpienie jest cierpieniem Boga, twoja tęsknota Jego tęsknotą. Wszystko jest tak, jak powinno. Pozwól, aby Prawda była ci objawiona, a przepełni cię radość”.

Nagle Herman usłyszał popiskiwanie. Mysz wychyliła się w mroku i rozejrzała ostrożnie, jakby w obawie, że kot zaczął się w pobliżu. Herman wstrzymał oddech. Nie bój się, święte stworzonko. Nie spotka cię krzywda. Patrzył, jak zbliża się do spodka z wodą. Pochłęptała, pomału zaczęła gryźć kawałek sera.

„Czyż może być coś wspanialszego – pomyślał Herman. – Oto mysz, córka myszy, wnuczka myszy, produkt milionów, miliardów myszy, które kiedyś żyły, cierpiały, rozmnażały się, a potem odeszły na zawsze, ale zostawiły następczynię, najwidoczniej ostatnią z rodu. Stoi tutaj, posilając się wodą i serem. O czym myśli przez cały dzień tam, w dziurze? Musi o czymś myśleć. Ma umysł, system nerwowy. Tak samo jest częścią Boskiego stworzenia, jak i planety, gwiazdy, odległe galaktyki.”

W pewnej chwili mysz podniosła łebek i zapatrzyła się w Hermana ludzkim spojrzeniem, pełnym miłości i wdzięczności. Herman wyobraził sobie, że stworzonko mówi mu „dziękuję”.

5

Od czasu kiedy przestał pracować, Herman Gombiner zrozumiał, jak wielkim wysiłkiem było dla niego ranne wstawanie, oczekiwanie na taksówkę, wszystkie te godziny spędzone przy słownikach, na pisaniu, redagowaniu i powrotach do domu każde-

go wieczora. Najwyraźniej pracował już ostatkiem sił. Zdawało mu się, że wydawnictwo zostało zamknięte dokładnie w tym dniu, w którym spożytkował resztki swojej energii. Już sam ten fakt był doskonałym przykładem na to, że Bóg nas prowadzi, a chroni ręka Opatrzności. Ale, niebiosom niech będą dzięki, wciąż jeszcze chciało mu się pisać i czytać listy.

Spadł śnieg. Herman nie pamiętał drugiej tak śnieżnej zimy w Nowym Jorku. Wszędzie tworzyły się ogromne zasy. Ulica, przy której mieszkał, była całkowicie nieprzejezdna. Aby złapać taksówkę, Herman musiałby przekopać się do Columbus Avenue lub Central Park West. Na pewno by tego nie przetrzymał. Na szczęście chłopak ze sklepu spożywczego nie zapomniał o nim. Każdego dnia przynosił mu bułki, czasem jajka, ser i wszystko, czego sobie Herman zażyczył. Sąsiedzi pukali niekiedy do jego drzwi, pytając, czy czegoś nie potrzebuje – kawy, herbaty, owoców. Dziękował im wylewnie. Choć biedny, Herman zawsze potrafił dać sąsiadce parę groszy, aby kupiła dzieciom czekoladę. Kobiety zaś nigdy nie odchodziły od razu; ociągały się chwilę i rozmawiały z nim łamaną angielszczyzną, patrząc, jakby im żal było odejść. Kiedyś jedna z nich delikatnie pogłaskała Hermana po głowie. Kobiety zawsze lgnęły do niego. Był czas, gdy beznadziejnie się w nim zakochiwały, ale małżeństwo i rodzina nie były dla Hermana. Myśl o wychowywaniu dzieci wydawała mu się absurdem. Po co przedłużać ludzką tragedię? A poza tym zawsze wysyłał każdy ostatni grosz do Kołomyi.

Utknął myślami w przeszłości. Znów był w Kołomyi. Chodził do chederu, studiował w jesziwie, po kryjomu uczył się nowożytnego hebrajskiego, polskiego, niemieckiego, brał lekcje, pomagał innym. Doświadczał pierwszych miłości, spotykał się z dziewczętami, przechadzał z nimi po lasach, do młyna, na cmentarz. Już jako młodzieniaszka ciągnęło go na cmentarz, potrafił spędzać tam długie godziny, rozmyślając między nagrobkami i wsłuchując się w ich kamienną ciszę. Zmarli przemawiali do niego ze swych grobów. Na kołomyjskim cmentarzu rosły wysokie brzozy o białych konarach. Ich srebrzyste liście drżały od delikatnych podmuchów wiatru, szmerząc po całych dniach w swym liścianym narzeczu. Gałęzie pochylały się ku sobie, przekazując szeptem sekrety.

Później przyszła podróż do Ameryki i włóczęga po Nowym Jorku w poszukiwaniu pracy. Wreszcie zatrudnił się w „Syjonie” i rozpoczął naukę angielskiego. Był wtedy zdrow jak ryba i miewał ro-

manse z kobietami. Trudno uwierzyć, jakie miał powodzenie. W samotne noce natchodziły go wspomnienia szczegółów dawnych zdarzeń i nigdy nie zapomnianych słów. Pamięć sama przez się dawała do zrozumienia, że nie ma zapomnienia. Słowa, które kobieta szeptała do niego trzydzieści lat temu i których nie potrafił zrozumieć, teraz nagle stawały się jasne. Dzięki Bogu miał dość wspomnień, by starczyły mu na sto lat.

Po raz pierwszy, odkąd przybył do Ameryki, ujrzał zamarznęte okna. Szron odmalował na szybach odwrócone palmy, egzotyczne krzewy i dziwaczne kwiaty, tak jak w Kołomyi. Mróz to artysta, tylko że jego malowidła są wieczne. Kryształ? Czym są kryształy? Kto wymyślił, że atomy i cząsteczki łączą się ze sobą w ten czy inny sposób? Co mają wspólnego cząsteczki w Nowym Jorku z cząsteczkami w Kołomyi?

Najdziwniejsze rzeczy zaczęły się dziać dopiero wtedy, gdy Herman zapadł w drzemkę. Zamknął oczy, a sny opadły go jak szarańcza. Widział wszystko jasno i dokładnie. Nie były to właściwie sny, lecz wizje. Frunął ponad orientalne miasta, unosił się nad kopułami, meczetami i pałacami, wylegiwał w dziwnych ogrodach, tajemniczych lasach. Odwiedzał nie znane plemiona, przemawiał w obcych językach.

Od czasu do czasu straszły go potwory.

Herman zawsze uważał, że prawdziwe życie człowieka odbywa się we śnie. Czuwanie jest niczym więcej, jak tylko mało znaczącym czasem przeznaczonym na wykonywanie czynności.

Teraz, gdy Herman był wolny, cały harmonogram dnia uległ odwróceniu. Stało się to jakby samo przez się. Czuwał w nocy i spał w ciągu dnia. Lunch jadał wieczorem, a kolację w ogóle pomijał. Budzik przestał chodzić, ale Herman go nie nakręcał. Co za różnica, która godzina? Czasami zbyt był leniwy, by włączyć wieczorem światła. Zamiast czytać, siedział wtedy obok piecyka i drzemał. Zawładnęło nim ustawiczne zmęczenie.

– Czy to choroba? – zastanawiał się.

Chłopiec ze sklepu niewiele mu przynosił, lecz Herman jeszcze mniej potrzebował.

Prawdziwym jego pożywieniem były listy, które otrzymywał. Herman wciąż jeszcze schodził kilka pięter do swojej skrzynki w holu. Zaopatrzył się w zapas znaczków i papieru. Skrzynka pocztowa wisiała o kilka kroków od wyjścia z budynku. Jeśli nie dawał rady przedrzeć się przez śnieg, prosił sąsiadów o wysłanie li-

stów. Ostatnio kobieta z jego piętra zaferowała się przynosić mu listy każdego ranka i Herman oddał jej kluczyk. Kolekcjonowała znaczki, one więc były jej zapłatą, Herman zaś miał z głowy wspinięcie się po schodach. Wysyłała jego listy, a te, które otrzymywał, wsuwała pod drzwi, czyniąc to tak cicho, że nigdy nie słyszał jej kroków. Często spędzał całą noc na siedząco, drzemiąc pomiędzy listami. Niekiedy sięgał po stary list do szuflady biurka i czytał go przez szkło powiększające. Tak, umarli wciąż są z nami. Przychoǳą doradzić swym krewnym w interesach, poratować w długach, uleczyć w chorobie, zniechęconych podnoszą na duchu, pomagają w sprawach podróży, pracy, miłości, małżeństwa. Niektórzy zostawiają bukiety kwiatów na pościeli lub przenoszą przedmioty z odległych miejsc. Inni objawiają się tylko po to, by towarzyszyć komuś w momencie śmierci, jeszcze inni powracają, gdy minie już wiele lat, odkąd odeszli. Herman pomyślał, że jeśli to wszystko prawda, również i jego krewni z pewnością żyją. Siedział, modląc się o ich przybycie. Dusza nie może być spalona, zagazowana, powieszona ani zastrzelona. Sześć milionów dusz musi gdzieś istnieć.

Którejś nocy Herman pisał listy do świtu, potem powkładał je do kopert, zaadresował, przykleił znaczki i dopiero położył się do łóżka. Gdy otworzył oczy, dzień był już w pełni. Głowę miał ciężką. Leżała na poduszce jak kamień. Czuł gorąco, choć po plecach przebiegały mu dreszcze. Śnił o swych umarłych krewnych; że przyszli do niego, ale nie zachowywali się, jak przystało na duchy. Kłócili się, krzyczeli, doszło nawet do okładania się słomianym koszykiem.

Herman zerknął w kierunku drzwi i spostrzegł, że sąsiadka już wsunęła pod nie poranną pocztę. Nie był jednak w stanie się poruszyć.

– Czyżbym był sparaliżowany? – zdziwił się.

Znów zasnął, a duchy wróciły. Matka z siostrą kłóciły się o metalowy grzebień.

– To niedorzeczne – powiedział do siebie. – Duchy nie potrzebują metalowych grzebieni.

Śnił dalej. Dostrzegł jakąś szafę w ścianie swego pokoju. Otworzył ją i posypały się listy – setki listów. Co to było – ta szafa? Na listach, które nigdy nie zostały otwarte, widniały stare daty. Przez sen-Herman poczuł zakłopotanie. Tak wielu ludzi napisało do niego, a on im nie odpowiedział. Zawyrokował, że to listonosz musiał schować je wszystkie, aby zaoszczędzić sobie kłopotu z dostarczaniem. Ale skoro listonosz pofatygował się już, by przyjść do domu Hermana, jaki miało sens chowanie listów w szafie?

Był wieczór, gdy Herman znów się przebudził.

– Jakim sposobem dzień minął tak szybko? – spytał sam siebie. Spróbował wstać do łazienki, lecz zawirowało mu w głowie i wszystko wokół stało się czarne. Upadł na podłogę.

– A więc to koniec – pomyślał. – Co się stanie z Huldą?

Długi czas leżał bez sił. Wreszcie dźwignął się i wzdłuż ścian dotarł do łazienki. Mocz był brunatny i oleisty, a do tego poczuł zgagę.

Powrót do łóżka zajął wiele czasu. Gdy znów się położył, wydawało mu się, że łóżko unosi się i opada. To dziwne – nie musiał już otwierać kopert z listami. Moc jasnowidza pozwoliła mu i tak odczytać ich zawartość. Otrzymał odpowiedź od kobiety z małego miasteczka w Kolorado. Pisała o swej umarłej sąsiadce, z którą zawsze się kłóciła i której duch, po śmierci, zepsuł jej maszynę do szycia. Jej dawny wróg rozlał też wodę na podłogę, rozdarł poduszkę i rozrzucił pierze. Umarli potrafią być złośliwi. Mogą też pałać mściwością. Skoro tak, myślał, wojna pomiędzy umarłymi Żydami a nazistami jest całkiem możliwa.

Tej nocy Herman drzemał, rzucał się w konwulsjach i budził co chwila. Na zewnątrz szalał wiatr. Przewiewał mieszkanie na wskroś. Herman przypomniał sobie o Huldzie; mysz nie miała jedzenia ani wody. Chciał zwlec się i przyjść jej z pomocą, ale czuł bezwład w każdej części swego ciała.

– Ja już nie potrzebuję pomocy, lecz nie pozwól temu stworzeniu umrzeć z głodu! – modlił się do Boga, ślubując pieniądze na dobroczynność.

Potem znowu zasnął.

Właśnie zaczynał się dzień, gdy Herman otworzył oczy – chmurny zimowy dzień, który ledwie mógł się przedrzeć przez oszronione szyby. W domu było równie zimno jak na dworze. Herman nasłuchiwał, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z grzejnika. Próbował się nakryć, lecz ręce były bezsilne. Z korytarza dobiegały krzyki i tupot stóp. Ktoś pukał do drzwi, lecz Herman nie miał siły odpowiedzieć. Pukanie powtórzyło się. Jakiś mężczyzna mówił po hiszpańsku i Herman usłyszał kobiecy głos. Nagle ktoś pchnął drzwi, aż się otworzyły, po czym do mieszkania Hermmana wszedł jakiś mężczyzna, Portorykańczyk, a za nim drobna kobieta ubrana w wełniany płaszcz i pasujący do niego kapelusz. Dźwigała olbrzymią mufkę, jakiej Herman nigdy dotąd nie widział w Ameryce.

Kobieta podeszła do jego łóżka.

– Pan Gombiner? – zapytała.

Wymówiła jego nazwisko tak, że ledwie je rozpoznał – z akcentem na pierwszej sylabie. Mężczyzna wyszedł. Kobieta trzymała w ręce listy podniesione z podłogi. Miała jasną skórę, ciemne oczy i maleńki nosek.

– Wiedziałam, że pan jest chory – powiedziała. – Jestem Rose Beechman.

Spośród znalezionych pod drzwiami listów wyjęła swój własny. Herman zrozumiał, ale nie mógł mówić. Słyszał tylko jej głos.

– Moja babka kazała mi tu przyjechać. Już od dwóch tygodni wybierałam się do Nowego Jorku. Jest pan chory i w waszym domu wybuchł piec. Proszę poczekać, nakryję pana. Gdzie telefon?

Owinęła go kocem, ale pościel była jak lód. Zaczęła się poruszać, dreptać nogami i poklepywać w dłonie.

– Nie ma pan telefonu? Więc jak wezwę lekarza?

Chciał jej powiedzieć, że nie potrzebuje doktora, był jednak zbyt słaby. Zamknął oczy i natychmiast zapomniał o gościu.

6

– Jak można tyle spać? – Herman pytał sam siebie.

Ta senność zamieniła go w bezradną istotę. Otworzył oczy, ujrzał obcą kobietę, przypomniał sobie, kim jest, i natychmiast zasnął z powrotem. Przyprowadziła lekarza – wysokiego mężczyznę, olbrzyma – który go odkrył, osłuchiwał serce stetoskopem, nagniół brzuch, zajrzał do gardła. Herman usłyszał słowa „zapalenie płuc”; powiedzieli mu, że powinien iść do szpitala, ale dobywając resztki sił, potrząsnął głową. Wołał raczej umrzeć. Lekarz pouczył go dobrodusznie, kobieta próbowała perswadować. Szpital to nic złego. Pomogą mu tam. Będzie go co dzień odwiedzała i opiekowała się nim.

Jednak Herman był niewzruszony.

– Każdy ma prawo decydować o własnym losie – powiedział do kobiety, przewyciężając słabość.

Pokazał jej, gdzie trzyma pieniądze: spojrzął na nią błagalnie i wyciągnąwszy rękę, zaklinał, by przyrzekła, że go stąd nie ruszą.

Przez moment przemawiał rozsądnie, jak zdrowy człowiek, a już po chwili pogrążył się w gorączce. Znowu śnił – we śnie czy na jawie – sam nie wiedział. Kobieta podała mu leki. Przyszła jakaś dziewczyna i zrobiła zastrzyk. Dzięki Bogu, znów było ogrzewanie. Piecyk szumiał przez cały dzień i pół nocy. Blask słońca ożywił pokój – mały promyczek, który rankiem ledwie dosięgnął ok-

na, teraz rozświetlił sufit jasnym płomieniem. Sąsiedzi odwiedzali go i pytali, jak się czuje. Były to przede wszystkim kobiety. Przyносиły mu miski kaszy, gorące mleko, filiżanki z herbatą. Nieznajoma towarzyszka Hermana zmieniała ubranie. Czasami zakładała czarną lub żółtą sukienkę, innym znów razem białą lub różową bluzkę. Chwilami wydawała mu się pełną powagi kobietą w średnim wieku, a kiedy indziej zabawną nastolatką. Wsunęła mu termometr do ust i przyniosła basen, po czym rozebrała go i natarła alkoholem. Poczł skrępowanie z powodu swego wynędzniałego ciała.

– Czego się wstydzić? Wszyscy jesteśmy tacy, jakimi stworzył nas Bóg – przekonywała jednak kobieta.

Mimo że tak chory, Herman miał świadomość zręczności jej dłoni. Czy to istota ludzka? A może anioł? Znów był dzieckiem, o które troszczy się matka. Bardzo dobrze wiedział, że mógł umrzeć od tej senności, ale przestał bać się śmierci.

Było coś, co absorbowowało uwagę Hermana – zdarzenie, wizja powtarzająca się w niezliczonych postaciach, której znaczenia Herman nie mógł pojąć. Jego sen wydawał mu się jakby długą książką. Czytał ją tak gorliwie, że nawet na minutę nie potrafił przestać. Picie herbaty i przyjmowanie lekarstw stanowiło jedynie dokuczliwe przerwy. Ciało ze swymi cierpieniami odłączało się od Hermana.

Znów się przebudził. Dzień zaczynał się blade. Na głowie Hermana leżał worek z lodem. Gdy kobieta podeszła, by go zabrać, zauważyła krew na bluzie od piżamy. Miał krwotok z nosa.

– Czy to śmierć? Czyżbym umierał? – pytał sam siebie, odczuwając tylko ciekawość.

Kobieta podała mu na łyżeczce lekarstwo, które miało moc i zapach koniaku. Herman zamknął oczy, a kiedy znów je otworzył, ujrzał śnieżną biel nocy. Kobieta siedziała przy stole od lat zawalonym książkami, które teraz były uprzątnięte. Oparła opuszki palców o krawędź stołu. Stół poruszał się; podnosił, stając na dwie nogi, a potem opadał z hukiem na podłogę.

Herman na chwilę całkowicie się rozbudził i tak jasno myślał, jakby był zdrowy. Czy rzeczywiście stolik sam z siebie się poruszył? Czy to kobieta go podniosła? Wpatrywał się, zdziwiony. Ona mamrotała coś; zadawała pytania, których nie mógł dosłyszeć. Chwilami narzekała, chwilami nawet się śmiała, rozchylając usta pełne małych ząbków. Nagle podeszła do łóżka.

– Będziesz żył. Wyjdiesz z tego – rzekła, pochylając się nad Hermanem.

Słuchał jej słów z obojętnością, która go zaskoczyła.

Zamknął oczy i znów znalazł się w Kołomyi. Wszyscy żyli – ojciec, matka, dziadek i babka, jego siostry, brat, wszyscy wujowie i ciotki, i kuzyni. Jakie to dziwne, że Kołomyja stała się częścią Nowego Jorku. Trzeba tylko dojść do ulicy prowadzącej do Canal Street. Wiodła wzdłuż stoku góry i trzeba było się wspinać. Zdało się, że musiał przechodzić przez piwnicę czy tunel, miejsce, które pamiętał z innych snów. Robiło się ciemniej i ciemniej, grunt stawał się coraz bardziej stromy i pełen wyrw, ściany niższe, a powietrze coraz bardziej duszne. Musiał otworzyć drzwi do maleńkiej izby pełnej kości i trupów, dobrze już podgniłych. Dotarł do podziemnego cmentarza i spotkał tam woźnego, czy też strażnika, a może grabarza, który doglądał kości.

– Jak można tak żyć? – zastanowił się Herman. – I w ten sposób zarabiać na utrzymanie?

Herman nie mógł mu się teraz przyjrzeć dokładnie, ale przywołał obraz z poprzednich snów. Zarośnięty i wynędzniały – zwiesił ramiona niczym butwiejące korzenie. Śmiał się, tajemniczo rozpromieniony. Herman próbował uciec z tego labiryntu. Czołgając się na brzuchu i wijąc jak wąż, zmęczył się aż do utraty tchu.

Obudził się zlany zimnym potem. Lampa nie była zapalona, lecz z niewiadomego miejsca dochodził jakiś słaby blask. Skąd wzięło się to światło, zastanawiał się Herman, i gdzie jest kobieta? Co za cud – poczuł się dobrze.

Usiadł powoli i dostrzegł kobietę śpiącą na kozetce. Była przykryta nie znanym mu pledem. Mdłe oświetlenie pochodziło z maleńkiej żarówki, podłączonej do gniazdka nad podłogą. Herman wciąż siedział, a pot wysychał na nim, potęgując uczucie zimna.

– Więc jeszcze nie jest mi przeznaczone umrzeć – wyszeptał. – Tylko po co ja tutaj?

Herman nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Położył się z powrotem na poduszce. Pamiętał wszystko: zachorował, przyjechała Rose Beechman i sprowadziła lekarza. Odmówił pójścia do szpitala.

Ocecił sytuację. Najwyraźniej kryzys minął. Jest słaby, ale już nie chory. Wszystkie bóle minęły. Mógł swobodnie oddychać. Gardło nie jest już zawałone flegmą. Ta kobieta uratowała mu życie.

Herman wiedział, że powinien dziękować Opatrzności, czuł się jednak zawiedziony, a nawet oszukany. Zawsze oczekiwał objawienia. Liczył, że w swym głębokim śnie zobaczy rzeczy niedo-

stępne dla zdrowych oczu. Myślał nawet, że śmierć mu pokaże, co jest po drugiej stronie. Często słyszał o ludziach, których ciała astralne wędrują podczas choroby ponad miastami, oceanami i pustyniami. Inni kontaktują się z krewnymi, mają wizje; ukazuje im się światło niebieskie. A Herman w trakcie długiego snu nie doświadczył niczego, prócz niezliczonej ilości poplątanych majaków. Pamiętał, że stolik którejś nocy podnosił i opuszczał nogi. Gdzie on jest? Stoi niedaleko łóżka, pokryty stosem listów i czasopism, które nadeszły prawdopodobnie wtedy, gdy był chory.

Herman obserwował Rose Beechman. Dlaczego przyjechała? Kiedy wniosła kozetkę? Widział teraz jej twarz wyraźnie – mały nos, zapadnięte policzki, ciemne włosy, wypukłe czoło, nieco zbyt wysokie jak na kobietę. Spała spokojnie, owinięta pledem. Oddychała bezgłośnie. Przemknęło Hermanowi przez myśl, że może nie żyje. Przypatrując się jej w napięciu, dostrzegł delikatny ruch nozdrzy.

Ponownie zapadł w drzemkę. Nagle obudził go jakiś bełkot. Otworzył oczy; kobieta mówiła przez sen. Wsłuchiwał się uważnie, lecz nie mógł zrozumieć ani słowa. Nie był nawet pewny, czy to angielski, czy inny język. Co to miało znaczyć? Wszystkiego domyślił się od razu: rozmawia ze swoją babką. Wstrzymał oddech. Znieruchomiał całym swym jestestwem. Usilnie próbował rozróżnić choćby jeden wyraz, ale nie udało mu się zrozumieć nawet pojedynczej sylaby. Kobieta umilkła, a potem znów zaczęła szeptać. Nie poruszała wargami; wydawało się, że jej głos wydobywa się z nozdrzy.

– Kto wie? Może ona wcale nie mówi prawdziwym językiem? – pomyślał Herman.

Wyobraził sobie, że kobieta tłumaczy coś niewidzialnej istocie i kłóci się z nią. To intensywne nasłuchiwanie wkrótce go zmęczyło. Zamknął oczy. Znowu zasnął.

Drgnął i obudził się. Nie wiedział, jak długo spał – minutę czy godzinę. Za oknem wciąż trwała noc, a kobieta na kozetce spała cicho. I nagle Herman przypomniał sobie. Co się stało z Huldą? To obrzydliwe, że w czasie swej długiej choroby całkowicie o niej zapomniał. Nikt jej nie karmił i nie poił.

– Na pewno umarła – powiedział do siebie. – Umarła z głodu i pragnienia.

Poczuł wielki wstyd. Powrócił do zdrowia. Moce, które rządzi światem, przysłały do niego kobietę – siostrę miłosierdzia, lecz z konieczności od niego zależne stworzenie zginęło.

– Nie powinienem był o niej zapominać. Nie powinienem. Zabiłem ją.

Hermana ogarnęła rozpacz. Zaczął się modlić za duszę myszy.

– A więc dopełniłaś żywota. Wypełnił się twój czas na tym zapomnianym świecie, najgorszym ze wszystkich światów, w tej otchłani bez dna, gdzie Szatan, Asmodeusz, Hitler i Stalin rządzą popołu. Już nie jesteś uwięziona w dziurze – głodna, spragniona i chora, lecz połączyłaś się z pełnym Boga Kosmosem, z Bogiem Samym... Kto wie, dlaczego musiałaś być myszą?

W swoich myślach Herman wygłaszał elegię do myszy, która dzieliła z nim fragment życia i która z jego winy zesłała z tego świata.

– Co oni wiedzą – wszyscy ci uczeni, filozofowie, władcy tego świata – o takich jak ty? Utwierdzają się w przekonaniu, że człowiek, największy grzesznik spośród wszystkich gatunków, jest ukoronowaniem Stworzenia. Wszystkie inne istoty zostały stworzone tylko po to, by dostarczać mu pożywienia, skór, aby mógł je torturować i tępić. W stosunku do nich wszyscy ludzie są nazistami; dla zwierząt trwa wieczna Treblinka. A do tego jeszcze żąda człowiek miłosierdzia z niebios. – Herman gwałtownie zasłonił dłonią usta. – Nie mogę żyć, nie mogę! Nie chcę już dłużej być częścią tego wszystkiego. Boże w niebiosach – zabierz mnie stąd!

Na krótką chwilę jego umysł stał się nie zapisaną kartą. Zadrżał. A może Hulda żyje? Może znalazła coś do jedzenia? Może leży nieprzytomna w swojej dziurze, ale da się ją jeszcze ocucić? Spróbował wydostać się z łóżka. Odrzucił koc i pomału zestawił jedną stopę. Łóżko zaskrzypiało.

Kobieta otworzyła oczy, jakby wcale nie spała, a tylko udawała.

– Dokąd idziesz?

– Jest coś, co muszę sprawdzić.

– Co takiego? Poczekaj sekundę – obciągnęła pod kocem nocną koszulę, wyszła z łóżka i bosa podeszła do niego.

Miała białe, dziewczęco drobne stopy o smukłych palcach.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Błagam, zechciej mnie wysłuchać! – przyciszonym głosem Herman opowiedział jej o myszy.

Kobieta słuchała. Jej twarz, ukryta w cieniu, nie wyrażała najmniejszego zdziwienia.

– Zgadza się, słyszałam w nocy jakieś myszy. Prawdopodobnie jadły twoje książki – uspokoiła go.

– Jest tylko jedna mysz. Urocze stworzenie.

- Co mam zrobić?
- Dziura jest tutaj... Zawsze stawiam jej spodek z wodą i kawałek sera.
- Nie mam sera.
- Trzeba nalać trochę mleka na mały talerzyk. Nie jestem pewien, czy ona żyje, ale może...

– Tutaj jest mleko. Tylko najpierw zmierzmy temperaturę. – Nie wiedzieć skąd przyniosła termometr, strąsnęła go i umieściła w ustach Hermana z pewnością siebie właściwą pielęgniarce.

Herman patrzył, jak krząta się w kuchni. Nalała mleka na spodek. Kilka razy odwracała głowę i obdarzała go badawczym spojrzaniem, jakby niepewna, czy dobrze go zrozumiała. Nie wyglądała na kobietę, która ma dorosłą córkę. Sama była jak dziewczyna. Jej rozpuszczone włosy sięgały ramion. Mógł odgadnąć jej kształty ukryte pod szlafrokiem: wąska w talii, niezbyt obszerna w biodrach. Twarz wyrażała łagodność i miękkość, do których nie pasował jej poważny, prawie surowy list. No cóż, gdzie jest napisane, że wszystko musi pasować? Każda osoba jest nowym doświadczeniem w bożym laboratorium.

Kobieta wniosła talerzyk i delikatnie postawiła go tam, gdzie Herman wskazał. Przechodząc obok kozetki, włożyła kapcie. Wyjęła termometr z ust Hermana i powędrowała do łazienki, gdzie paliło się światło. Wkrótce wróciła.

- Nie masz gorączki. Dzięki Bogu.
- Uratowałeś mi życie – powiedział Herman.
- Moja babka kazała mi tu przyjechać. Mam nadzieję, że przeczytałeś już mój list.

– Tak, czytałem go.

– Widzę, że korespondujesz z połową świata.

– Interesują mnie zawiłości ludzkiej psychiki.

– To twój pierwszy dzień bez gorączki.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Jak ja ci się odwdzięczę? – przerwał ciszę Herman.

– Nie ma potrzeby, żebyś to robił – odpowiedziała kobieta, marszcząc brwi.

7

Zasnawszy Herman znalazł się w Kołomyi. Był letni wieczór, gdy w towarzystwie dziewczyny przechodził przez most, drogą do

młyna i do prawosławnego cmentarza, gdzie na nagrobkach widniały fotografie pochowanych. Na niebie połyskiwała olbrzymia lśniąca luna, większa niż księżyc, potężniejsza niż słońce, nowe, nieporównywalne z niczym ciało niebieskie. Rzuciło zielonkawą poświatę na wodę, czyniąc ją przezroczystą, tak że widać było pływające w niej ryby. Nie zwykłe karpie i szczupaki, ale wieloryby, rekiny, ryby ze złotymi płetwami, czerwonymi czułkami, o skórze podobnej do skrzydeł nietoperzy.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał Herman. – Czy to jakaś zmiana w kosmosie? Czyżby Ziemia odwróciła się od Słońca, od całej Mlecznej Drogi? Czyżby miała właśnie zamienić się w kometę?

Próbował mówić do towarzyszącej mu dziewczyny, ale ona była jedną z dam pochowanych na cmentarzu. Odpowiedziała po rosyjsku, pomimo że to również był hebrajski.

– Czy Kantowskie kategorie czystego rozumu nie dotyczą już Kołomyi? – zapytał jeszcze.

Obudził się, drżąc na całym ciele. Za oknem wciąż była noc. Obca kobieta spała na kozetce. Herman przyglądał jej się teraz uważniej. Nie mamrotała już, ale wargi drżały od czasu do czasu. Marszczyła czoło, uśmiechając się przez sen. Jej włosy leżały rozrzucone po poduszce. Koldra ześliznęła się i mógł dojrzeć ściągnięte fałdy nocnej koszuli i wierzchołki piersi. Nie odrywał od niej oczu, oniemiały z zachwytu. Nie wiadomo skąd, z Południa, przybyła do niego kobieta – nie Żydówka, ale nawiedziła go jak Ruth Boaza, wysłana przez nieobecną już wśród żywych Naomi.

Skąd wzięła pościel? – dziwił się Herman. Już wniosła ład do tego mieszkania – powiesiła zasłonki, z dużego stołu sprzątnęła gazety i rękopisy. To dziwne, ale nie ruszyła bibularza, jakby wiedziała, że to jest cudowne narzędzie.

Herman patrzył, kręcąc z niedowierzaniem głową. Książki na półkach nie były już tak stare i obdarte. Również i pomiędzy nie wniosła jakiś porządek. Powietrze, którym oddychał, nie było już duszne i cuchnące pleśnią, lecz stało się chłodne i wilgotne. Herman wspomniął noc Pesach w Kołomyi. Brakło tylko widoku podwieszanej pod sufitem macy. Próbował przypomnieć sobie swój ostatni sen, ale mógł przywołać jedynie wspomnienie tego niezemskiego światła, które kładło się na jeziorze.

– Niestety, wszystkie sny stracone – powiedział do siebie Herman. – Każdy dzień zaczyna się od zapomnienia.

Usłyszał słabiutki dźwięk, podobny do dziecięcego kwilenia.

Usiadł i zobaczył Huldę. Wyglądała na chudsza, słabsza, a jej futerko poszarzało, jakby się zestarzała.

– Dobry Boże! Hulda żyje! Stoi tutaj, pijąc mleko z talerza! – Radość, jakiej rzadko doświadczał, opanowała Hermana.

Jak dotąd nie podziękował jeszcze Bogu za przywrócenie życia. Czuł nawet pewien żal. Ale za to, że pozwoliły żyć Huldzie, Herman powinien modlić się do Najwyższych Mocy. Czuł się wypełniony miłością do nich obu; do myszy i kobiety, Rose Beechman, która rozumiała jego uczucia i bez zbędnych pytań usłuchała prośby o mleko dla myszy.

– Nie jestem godny, nie jestem godny – powtarzał. – To wszystko czysta Łaska.

Herman nie należał do mężczyzn, którzy płaczą. Jego oczy pozostały suche nawet wtedy, gdy dowiedział się, że wszyscy z rodziny zginęli podczas zagłady w Kołomyi. Ale teraz jego twarz stała się wilgotna i gorąca. A więc nie musi ponosić winy za morderstwo. Opatrzność – świadoma każdej cząsteczki, każdej okruszyny i najmniejszego pyłku – zadbała o to, by mysz miała opiekę podczas długiego snu Hermana. Bo czy możliwe, aby stworzonko pościło przez tak długi czas?

Herman patrzył uważnie. Nawet teraz, po tak długiej głodówce, mysz się nie spieszyła. Chłęptała mleko powoli, odpoczywając od czasu do czasu, ufając całkowicie, że nikt nie odbierze jej tego, co się jej słusznie należy.

– Mała myszko, błogosławione stworzenie, święta – przemawiał Herman w myślach pośród łez. Przesłał jej całusa.

Mysz piła nadal. Niekiedy unosiła łebek i spoglądała na Hermana znad miseczki. Siłą wyobraźni zobaczył w jej oczach wyraz zdziwienia, jakby cichutko pytała: – Czemu pozwoliłeś mi tak długo głodować? I kim jest ta śpiąca tutaj kobieta?

Po chwili mysz wróciła do swej dziury.

– Ojej, wstałeś? Która godzina? – zapytała Rose Beechman, otwierając oczy.

– Hulda właśnie skończyła mleko – odparł Herman.

– Co takiego? Ach, prawda.

– Błagam, nie śmiej się ze mnie.

– Z nikogo się nie śmieję.

– Ocaliłaś nie jedno życie, lecz dwa.

– Tak, tak, wszyscy jesteśmy Bożymi stworzeniami. Zrobię ci herbaty.

Herman chciał już powiedzieć, że to zbędne, ale był spragniony i miał sucho w gardle. Poczłł nawet skurcz głodu. Powracał do życia, ze wszystkimi jego potrzebami.

Kobieta natychmiast zakrzętnęła się w kuchni i za chwilę przyniosła Hermanowi filiżankę herbaty i dwa biszkopty. Najwyraźniej kupiła mu nowe talerze. Usiadła na brzeżku krzesła.

– No cóż, wypij herbatę. Wygląda na to, że nie wiesz, jak bardzo byłeś chory.

– Jestem ci wdzięczny.

– Gdybym się tu zjawiła o dwa dni później, nic by już nie pomogło.

– Może tak byłoby lepiej.

– Nie. Potrzebni są ludzie tacy jak ty.

– Dzisiaj słyszałem, jak rozmawiasz ze swoją babką – napomknął Herman, niezbyt pewien, czy wolno mu o tym mówić.

Ona wysłuchała i przez chwilę milczała w zadumie.

– Tak, była ze mną tej nocy.

– Co powiedziała?

Kobieta spojrzała na niego dziwnie. Po raz pierwszy zauważył, że jej oczy są jasnobrązowe.

– Mam nadzieję, że nie będziesz sobie ze mnie żartował – upewniła się.

– Na Boga – nie!

– Chciała, abym się tobą opiekowała; potrzebujesz mnie bardziej niż moja córka – takie były jej słowa.

Dreszcz przebiegł Hermanowi po plecach.

– Tak, to może i prawda, ale...

– Ale co? Błagam, bądź ze mną szczerzy.

– Nie mam nic. Jestem słaby. Byłbym tylko ciężarem...

– Ciężary są po to, by je dźwigać.

– Tak, tak.

– Jeśli chcesz, zostanę z tobą. Przynajmniej dopóki całkiem nie wydobrzejesz.

– Tak, chcę.

– To właśnie chciałam usłyszeć. – Mówiąc to, wstała pospiesznie i odwróciła się.

Powędrowała w stronę łazienki, zawstydzona jak młoda narzeczona z Kołomyi. Zatrzymała się w drodze do drzwi i stała przez chwilę, zwrócona do niego plecami. Pochyliwszy głowę, ukazała szczupły kark i nie uczesane włosy.

Za oknem połyskiwało już szarawe światło. Padał śnieg – śnieg o świcie. Skrawki dnia i nocy mieszały się jeszcze ze sobą. Pokazały się chmury. Okna, dachy i schody pożarowe wynurzały się z ciemności. Pogasty światła. Noc minęła jak sen, a po niej przyszła szara rzeczywistość, zapatrzona w siebie, zatopiona w wiecznej tajemnicy bytu. Gołąb frunął wśród padającego śniegu, jakby miał do spełnienia jakąś misję. Strumień w grzejniku wręcz gwizdał, a z sąsiednich mieszkań dały się słyszeć pierwsze krzyki rozbudzonych dzieci, dźwięki radia, hiszpańskie ubolewania i przekleństwa znękanych gospodyń. Planeta zwana Ziemią jeszcze raz obróciła się wokół własnej osi. Szyby okienne pokryły się rosą – to znak, że na wschodzie niebo nie było całkowicie zachmurzone. Na ułamek sekundy książki skąpały się w purpurowym świetle, które ożywiło stare okładki i resztki na wpół czytelnych złotych tłoczeń tytułów. Wszystko to było jak objawienie.

OD AUTORA

Większość z tych opowiadań powstała w ostatnich latach – na przykład „Umarłego skrzypka” napisałem w ubiegłym roku. Jednakże jedno z nich, „Jak dwa trupy harcowały”, publikowano już w 1943 roku, w jidysz. Cieszy mnie, że trzy opowiadania – tytułowe, „Wykład” i „Korespondent” – związane są z wydarzeniami w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Tłumacze: Mirra Ginsburg, Cecil Hemley, Ellen Kantarov, Roger Klein, J.M. Lask, Elizabeth Pollet, Alizah Shevrin, Elizabeth Shub, Joseph Singer, Dorothea Straus, Ruth Whitman, Alma Singer niech przyjmą wyrazy wdzięczności. Czytelnik zauważy z pewnością, że uczestniczyłem w tłumaczeniu niektórych opowiadań. Opowiadania wydane zostały przez Roberta Giroux oraz Cecila Hemleya, Rachel MacKenzie i Elizabeth Shub. Pragnę im wszystkim serdecznie podziękować.

Z jidysz na angielski przełożyli:

Seans – Roger H. Klein i Cecil Hemley

Rzeźnik – Mirra Ginsburg

Umarły skrzypek – Mirra Ginsburg

Kukkurykuu – Ruth Whitman

Plagiator – J. M. Lask i Elizabeth Shub

Cejtl i Rejcl – Mirra Ginsburg

Ognista Henne – autor i Dorothea Straus

Getsel zwany małpą – autor i Ellen Kantarov

Janda – autor i Dorothea Straus

Igła – autor i Elizabeth Shub

Jak dwa trupy harcowały – Joseph Singer i Elizabeth Pollet

Papuga – Ruth Whitman

Broszka – Alma Singer i Elizabeth Pollet

Korespondent – Alizah Shevrin i Elizabeth Shub

SPIS TREŚCI

Seans	7
Rzeźnik	18
Umarły skrzypek	29
Wykład	55
Kukkurykuu	70
Plagiator	78
Cejtł i Rejctł	91
Magazyn	102
Ognista Henne	111
Getsel zwany małpą	122
Janda	130
Igła	140
Jak dwa trupy harcowały	149
Papuga	161
Broszka	177
Korespondent	188
Od autora	219

Bestseller Phantom Pressu w Twojej Bibliotece Domowej!

Szanowni Państwo.

W związku z trudnościami dystrybucyjnymi na rynku książki pragniemy zapewnić Państwu ułatwiony dostęp do naszych publikacji. Proponujemy nową formę zakupu książek za zaliczeniem pocztowym. Oferujemy wszystkie pozycje z naszego katalogu po cenach detalicznych plus opłata pocztowa za dostarczenie przesyłki. **ZAMÓWIENIE KSIĄŻEK JUŻ OD WARTOŚCI 60 000 ZŁ ZWALNIA KLIENTA Z OBOWIĄZKU OPŁACENIA KOSZTÓW DOSTARCZENIA PAKIETU.** Za zamówione książki prosimy płacić przy odbiorze. Nie stosujemy żadnych ograniczeń ilościowych.

Na ofertę wydawniczą Phantom Pressu składają się książki należące do wszystkich najpopularniejszych gatunków literackich: science fiction, sensacja, romans, kryminał, horror, erotyk.

Aby dokonać zakupu, należy podać tytuł książki i nazwisko autora na karcie pocztowej wysłanej na nasz adres.

Każda nowość, bestseller, książka, której szukasz od dawna bez skutku – wydana przez Phantom Press – od teraz bez kłopotu w Twoim księgozbiorze!

Nasz adres:

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

80-365 Gdańsk, ul. Czarny Dwór 8, tax., tel. (058)53-29-68, tel. centr. 53-00-71



proponuje:

JOSEPH HELLER

Nie ma się z czego śmiać • Namaluj to
• Bóg wie

ISAAC BASHEVIS SINGER

Szumowiny • Seans i inne opowiadania

WOODY ALLEN

Bez piór • Zagraj to jeszcze raz, Sam
• Porachunki

WILLIAM SAROYAN

Tracy i jego tygrys • Kocham cię, mamo

PHILIP ROTH

Dyplom z pożądania • Nasza klika

SALVADOR DALI

Dziennik geniusza • Ukryte twarze

WILLIAM S. BURROUGHS

Pedał

KEN KESSEY

Skrzynka demona

BORIS VIAN

Klecha w kąpielni

JOHN UPDIKE

Uciekaj, Króliku • Przypomnij się, Króliku •
Jesteś bogaty, Króliku • Odpocznij, Króliku

IRWIN SHAW

Hotel świętego Augustyna

ERICA JONG

Fanny, tom 1 i 2

JOHN STEINBECK

Złota czara



Boris Vian

KLECHA W KĄPIELI

cena 28000 zł

Zbiór opowiadań w większości nie publikowanych za życia autora, stanowi uzupełnienie polskiej edycji jego utworów.

Boris Vian, tropiciel przejawów zła, nietolerancji i głupoty, mimo że zmarł z górą trzydzieści lat temu, paradoksalnie wciąż może być zaliczany do grona pisarzy żywych i aktualnych. Dzieje się tak prawdopodobnie z racji, że świat, posądzany przez autora „Piany złudzeń” o okrucieństwo i bezsens, nie zmienił się ani na jotę.

Salvador Dali

UKRYTE TWARZE

cena 52000 zł

Dali, jeden z największych malarzy współczesnych, tylko raz spróbował swoich sił jako powieściopisarz. „Ukryte twarze” są bez wątpienia próbą udaną. Książką tą autor „Dziennika geniusza” dołączył do grona krytyków dwudziestowiecznej zachodniej cywilizacji. Podobnie jak jego znakomity poprzednik, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Dali ukazał wyczerpanie i upadek systemu demokratycznego na przykładzie perwersji i zwyrodnień środowiska arystokratów i intelektualistów. Miłość, sztuka, relacje międzyludzkie – wszystko to staje się miłą i nieważną w obliczu dziejowego kataklizmu, jakim jest druga wojna światowa.

John Updike

UCIEKAJ, KRÓLIKU

cena 80000 zł

Dobiegają końca lata pięćdziesiąte. Dwudziestoparoletni Harry Angstrom, były zawodnik akademickiej drużyny koszykówki, mozolnie buduje swe dorosłe życie. Jednak ani nieciekawa żona, ani mało atrakcyjna praca w domu towarowym nie są tym, czego naprawdę pragnie. Królik tęskni za wolnością, za prawem do wyboru własnej drogi, ale czy potrafi być wolny? Czy zasłużył na wolność?

ISAAC B. SINGER

SEANS

I INNE OPOWIADANIA

Przedstawiamy zbiór opowiadań I. B. Singera (1904-1991), laureata Nagrody Nobla 1978 roku.

Urodził się w Polsce, na Mazowszu, w rodzinie rabinackiej. Dzieciństwo spędził w Radzyminie, młodość – w Warszawie, dokąd udał się za przykładem starszego brata Izraela Joszuy Singera, który wprowadził go w środowisko pisarzy i dziennikarzy stołecznej prasy żydowskiej.

W 1935 roku – znów śladami brata – przeniósł się do USA, osiadł w Nowym Jorku i nawiązał współpracę z tamtejszą prasą żydowską. W latach pięćdziesiątych utwory jego – pisane aż po sam kres życia autora w języku jidysz (niekiedy współtworzył on ich przekłady angielskie) – przedarły się poza zamknięty krąg macierzystego środowiska etnicznego i uzyskały rozgłos, najpierw w krajach anglosaskich, później w przekładach na inne języki. Do Polski trafiły w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Singer stał się jednym z najszerzej u nas znanych i lubianych pisarzy żydowskich, wskrzeszającym w swych utworach obyczajowość i kulturę małomiasteczkowych środowisk żydowskich, unicestwionych przez holocaust, którą ukazywał z urzekającym liryzmem i subtelnym dowcipem.